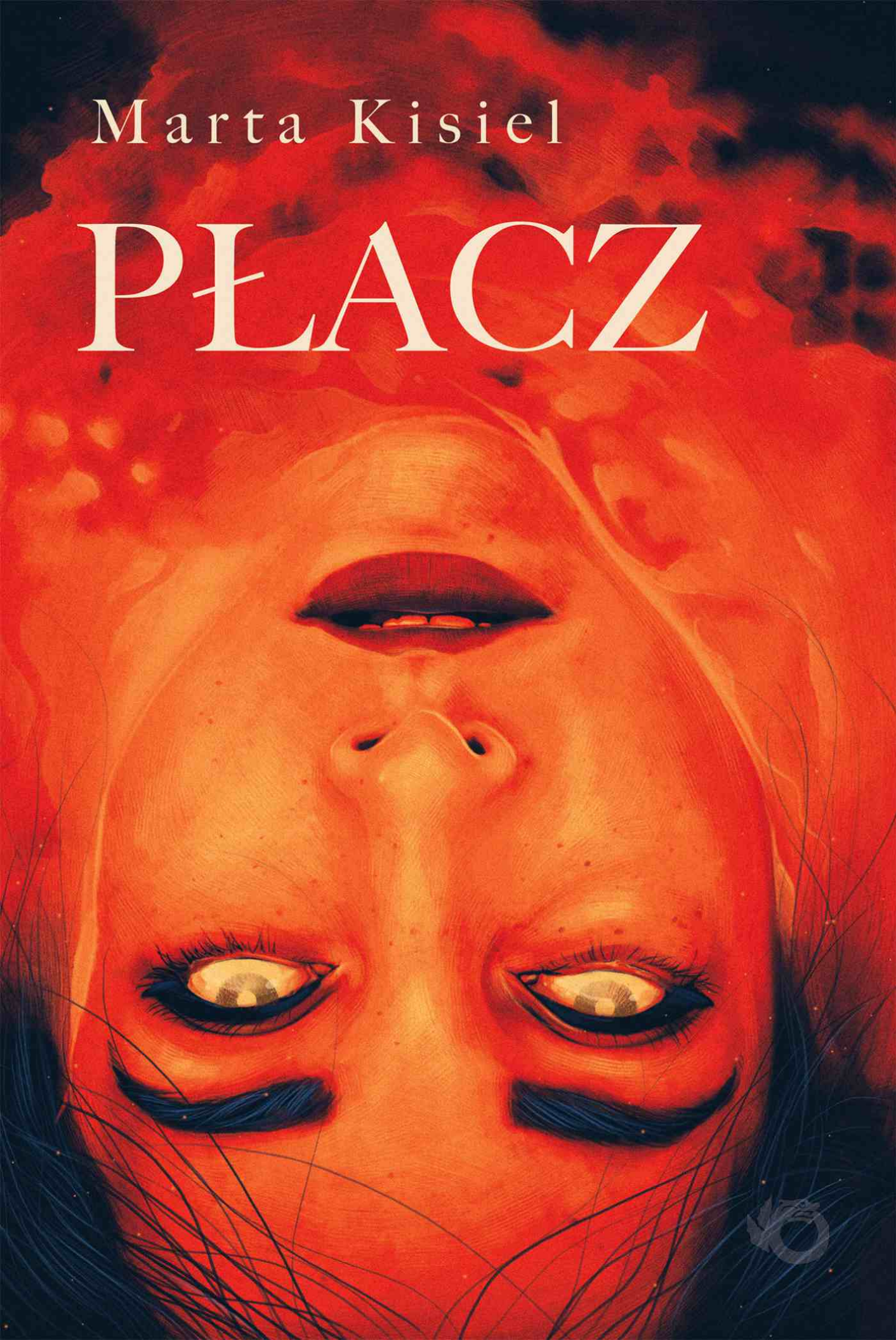


Marta Kisiel

PŁACZ



Marta Kisiel

PŁACZ



Copyright © by Marta Kisiel, MMXX

Wydanie I

Warszawa, MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Teraz

Przedtem

Teraz

Przedtem

Teraz

Przedtem

Teraz

Przedtem

Teraz

Wtedy

Teraz

Wtedy

Teraz

Podziękowania

Przypisy

Teraz

W zbierający gwizd wwiercał się w gęste, lepkie milczenie, jakie od kwadransa zalegało w kuchni, lecz Jadwiga Bolesna-Tupatajkowa zdawała się w ogóle nie zwracać na niego uwagi. Z nieodłącznym papierosem w dłoni spoglądała w zadumie przez okno.

Po miesiącach ciemności marcowe słońce przyniosło wytęsknioną jasność, choć jeszcze bez ciepła, które pieściłoby policzki. Na tę przyjemność trzeba było poczekać co najmniej do kwietnia, może nawet do maja, kto wie. Dość, że świat wyraźnie, choć pomału, budził się z zimowej martwoty. Krzew czarnego bzu, który zagarnął dla siebie cały kąt na tyłach ogrodu, jak zwykle zazielenił się pierwszy, dając tym samym sygnał okolicznej faunie i florze, że najwyższa pora wziąć się do roboty. Wkrótce potem na rosnących wzdłuż ulicy topolach zaroilo się od puchatych kotków. Płaczliwa wierzbowy korona z dnia na dzień gęstniała od pąków i młodych liści, mięsistych i soczyście zielonych. Spomiędzy gałęzi coraz głośniejsze, coraz śmielej niosło się ćwierkanie ptaków wijących gniazda. Również i koty, zarówno te dzikie, jak i te udomowione, chętniej wyłaniały się ze swych bezpiecznych kryjówek i przemierzały sąsiedztwo, gotowe do marcowania.

Tak. Cały świat, ten w ogrodzie i ten poza ogrodem, zaczynał buzować życiem, które na nowo wzbierało tuż pod powierzchnią zmarzniętej ziemi, pod poszarzałą korą, pod ścierpniętą od chłodu skórą. Nawet nie zauważył, że gdzieś po drodze coś się skończyło. I że w przeciwieństwie do wiosny z całym właściwym jej zamieszaniem – nie wróci.

Cóż.

Życie.

Dopaliwszy papierosa, pani Jaga zdusiła niedopałek w wyszczerbionej salaterce, która od lat służyła jej za popielniczkę. Może nawet zdusiła go trochę zbyt mocno, zresztą nie pierwszy raz – stąd też nieszczęsna szczyrba – ale cóż poradzić. Te bolesławieckie ciapki zawsze działały jej na nerwy.

Świdrujący gwizd czajnika najwyraźniej też miał tę ożywczą właściwość, gdyż naraz z drugiego końca korytarza doleciał do kuchni

doñośny, rytmiczny łoskot. Dość, dawał do zrozumienia. Dość. Dość. Dość.

Pani Jaga spokojnie podniosła się z krzesła, szeleszcząc warstwami barwnego jedwabiu, w którym zawsze chadzała po domu, sezon grzewczy czy nie. Zestawiła czajnik z płyty i jak gdyby nigdy nic wróciła na swoje miejsce za stołem, do wpatrywania się w czarny bez w kącie ogrodu, do obopólnego milczenia i czekania na słowo, które w końcu to milczenie przełamie. Albo i nie.

Na szczęście miała czas. Mnóstwo czasu.

Tak po prawdzie, nie miała już wiele więcej.

Gdyby ktoś zapytał, o czym tamtego poniedziałkowego przedpołudnia perorował profesor i czy to będzie potem na egzaminie, Dżusi miałyby spory problem z odpowiedzią. Prawdę mówiąc, nie umiałyby nawet określić, czy w ogóle trafiła na właściwy wykład. Zadziałał odruch stada, równie silny u studentów jak u owiec. Po ćwiczeniach z czegoś tam – z zasady starała się nie przywiązywać wagi do błahostek – zwyczajnie ruszyła za ludźmi do innej, większej sali, gdzie usiedli, więc i ona usiadła, wyciągnęła notatnik i otworzyła na przypadkowej stronie. Przez następne trzy kwadransy nie zwracała uwagi ani na monotony głos profesora, ani na rozmowy toczące się wokół niej szeptem, ani na stłumione buczenie, które kilkakrotnie rozległo się w czeluściach jej torebki. Nie myślała o niczym, jak gdyby żadna myśl, czy to cudza, czy własna, ważka czy całkiem błaha, nie była w stanie zagnieździć się w niej na dłużej. Jak gdyby miała głowę pełną chmur. Albo waty cukrowej, lepiącej się do wszystkiego. Bezwiedne kreślenie esów-floresów na marginesie notatnika nie wymagało refleksji, pochłonęło ją bez reszty. Pętla za pętlą, minuta po minucie.

Pamiętała tylko, że notatnik był w kratkę, a długopis niebieski.

Chyba.

Zresztą, czy to istotne? I tak ledwo wysiedziała do końca.

Mimo deszczu, który od rana siąpił w Opolu, początkowo zamierzała wracać do domu piechotą, lecz i tym razem poprowadził ją odruch, nawyk, schemat nie tyle utarty, ile wydeptany, nie kłopotząc się

pytaniem woli o zdanie. Nim Dżusi zorientowała się, co jest grane, stała już na przystanku. Autobus przyjechał po dwóch minutach.

Gdzieś w połowie trasy przypomniała sobie o pustkach, jakie panowały w lodówce. Karolek miał dziś ważne kolokwium, co wiązało się z intensywnym zakuwaniem przez weekend, zakuwaniu towarzyszyły wizje najczarniejsze z czarnych, wizjom stres, a stres w połączeniu z Karolkiem i swobodnym dostępem do kuchni zawsze kończył się tak samo – symfonią na gary, zawartość lodówki i palnik. Fakt, zapiekanka wyszła mu taka, że szło się zabić o talerz, nie mówiąc już o serniku na kruchym spodzie, w czapie z cytrynowej bezy, który wchodził zdecydowanie za łatwo, o czym teraz, bez krztyny litości, przypominał jej wpijający się w talię pasek spódnicy.

Akurat się przejaśniło, Dżusi wysiadła więc przystanek wcześniej i wpadła do spożywczego na szybkie zakupy. Chleb, mleko, jajka, żółty ser, dwa duże jogurty, kilka węzowych ogórków... Dwadzieścia minut później, z uwzględnieniem trzech żarliwych modlitw o opamiętanie przy czekoladzie i drażach kokosowych, ruszyła slalomem między kałużami w stronę wysokiego bloku dwie przecznice dalej.

Zanim doszła do pierwszego przejścia dla pieszych, klęła na czym świat stoi. Żeby przy takiej pogodzie założyć zamszowe botki na szpilce, to trzeba być... no cóż, nią. Zerknęła w dół. Czubki zdążyły nasiąknąć wodą, ale buty były przecież takie nowe, takie czerwone... i tak koszmarnie niewygodne. Syknęła przez zaciśnięte zęby. Wystarczyła krótka przebieżka, żeby obie pięty pulsowały bólem, zdarte do żywego mięsa. Na dodatek siatki w dłoniach ciążyły jej nie mniej niż głowa.

Naraz Dżusi poczuła, że coś wibruje jej pod pachą. Wyciszony na czas zajęć telefon znów ożył w torebce.

– Jak kocha, to zadzwoni – burknęła pod nosem, omijając slalomem następną pułapkę. Przeklęte kałuże, przeklęte buty, przeklęte ciśnienie.

Niemal pod samym blokiem, w cieniu starego kasztanowca, stał niski pawilon, niezbędny każdego osiedla z wielkiej płyty, w nim zaś mieściły się trzy źródła miejscowych rozkoszy: chemia z Niemiec, zakład fryzjerski Szecherezada Studio oraz wszystko po pięć złotych. „Szecherezada” w rzeczywistości miała na imię Waldemar i własny pogląd na ortografię, chemia była z Kauflandu lub Netto, w zależności od tego, gdzie akurat rzucili promocję, a pięć złotych wynosiło raz pięć dziewięćdziesiąt

dziwięć, raz sześć czterdzieści dziewięć – wciąż jednak na tyle blisko pierwotnego założenia, żeby się liczyło.

I gdyby ten ciekawski ktoś zapytał, jak to się stało, że Dżusi znalazła się w środku, pospiesznie przeliczając w myślach drobne, które zostały jej w portfelu, ponownie musiałaby przyznać, że nie ma bladego pojęcia. Zresztą nie pierwszy raz.

Rzuciwszy zdawkowe „dzień dobry” mniej więcej w stronę zaczytanej sprzedawczyni, Dżusi jak zwykle minęła plastikowe kwiaty i akcesoria kuchenne, przemknęła obok kwiecistych cerat i obrusów haftowanych z komputerowym kunsztem. Przy świecach, świeczkach i kadzidełkach na wszelki wypadek wstrzymała oddech. Potem były jeszcze złożone ramki, lampiony, doniczki we wszystkich rozmiarach i wściekle kolorowe ogrodowe wiatraczki, za nimi wstążki, samoprzylepne oczy z oczopląsem gratis, kleje z brokatem, gluty z brokatem oraz brokat w postaci czystej. Dopiero w najdalszym kącie pomieszczenia, na wąskim regale, cisnęła się tania ceramika.

Słonie, stada słoni w przeróżnych rozmiarach. Żaby i żółwie. Aniołki i kotki, a co drugi to zezowaty. Głuche małpki, pasterki z pastuszkami i baletnice z zaburzeniami proporcji. Bożonarodzeniowe mikołajki wymieszane z wielkanocnymi zajacami i pisankami. Świeczniki i cukiernice, szkatułki i puzderka, wszystkie szcudrze złożone i upstrzone kwieciem w kształtach, barwach i odcieniach nieznanym naturze. Istna orgia kiczu za parę złotych.

Dżusi zawiesiła sobie obie siatki z zakupami na łokciu i szybko dodając w pamięci groszowe końcówki, wybrała kilka figurek. Przyciskając łupy do piersi, zawróciła ostrożnie, żeby niczego nie stracić. Wtedy kątem oka wśród dominującej bieli dostrzegła zimny metaliczny błysk.

Z tyłu, za garbatym słoniątkiem z koniczyną w trąbie, przycupnęła posrebrzana sowa. Miała ze trzy, może cztery centymetry wysokości i oczy jak dwa bursztyny.

Zdawały się patrzeć wprost na Dżusi.

Dziewczyna zacisnęła zęby.

Kiedy przedarła się z powrotem na przód pomieszczenia i postawiła swe zdobycze przy kasie, sprzedawczyni nie od razu podniosła wzrok. Marszcząc w skupieniu brwi, najpierw dokończyła zdanie. Dopiero potem odłożyła książkę na półkę pod blatem i zaczęła nabijać należność na kasę. Jedna po drugiej kolejne figurki lądowały w niewielkiej foliówce.

– Dwa razy sześć czterdzieści dziewięć... trzy razy pięć dziewięćdziesiąt dziewięć... to będzie razem...

– Chwileczkę.

Dzusi wróciła do regału z ceramiką. Sowa wciąż stała na półce, spoglądając na świat bursztynowym wzrokiem.

– Dobra, bydlaku. Sam się prosisz – szepnęła dziewczyna i wyłowiła figurkę z za garbatego słonia, po czym wróciła do kasy. – Jeszcze ta.

– Ta jest obtłuczona – zauważyła sprzedawczyni, odwracając sowę i pokazując niewielki ubytek w ceramice.

– A to nawet lepiej.

– Jak pani chce. Żeby nie było, że nie mówiłam.

– Jasne.

– Razem trzydzieści pięć czternaście. Poproszę drobne.

Trzydzieści pięć złotych. Trzydzieści pięć złotych za kiczowate bibeloty. Karolek ugotowałyby za to obiad z deserem i jeszcze by mu zostało. Jak na dzieciaka z bogatego domu był zdumiewająco oszczędny. Ale cóż, są potrzeby ciała, są i ducha. Im także wypadałoby od czasu do czasu złożyć jakąś miłą ofiarę, choćby z tandetnej porcelany. Czy też, biorąc pod uwagę, ile zarabiała Dzusi, weekendowo animując rozwrzeszczane dzieciaki w kulkolandach – wyłącznie taką. Zapłaciła, zebrała wszystkie zakupy i ruszyła już prosto do domu.

Chyba znowu zepsuł się spowalniacz, bo drzwi windy zamknęły się za nią zdecydowanie zbyt dynamicznie. Ledwo zdążyła odskoczyć, żeby nimi nie oberwać, a huk metalu uderzającego z impetem o metal poniósł się echem po klatce. Piętro wyżej rozszczękał się pies – chyba ten zadziorny pekińczyk spod czwórki. Dzusi z powątpiewaniem rozejrzała się po drżącej kabinie, nie do końca przekonana, czy aby na pewno przeżyje tę przejażdżkę, czy może raczej skończy na dnie szybu w charakterze rozbryzanych szczątków.

W mieszkaniu, jak na złość, wciąż pachniało cytrynową bezą.

Dzusi odstawiła siatki i z ulgą ściągnęła but, kiedy usłyszała znajome buczenie na dnie torebki. Czyli jednak kochał. Szybko wygrzebała telefon i odebrała, balansując na jednym obcasie.

– Słucham?

Usłyszała monotony szum przerywany nieregularnymi trzaskami. A między nimi czyjś głuchy głos, osobliwie stłumiony, jak gdyby dobiegał głęboko spod ziemi. Nie umiałaby nawet rozpoznać, czy należał do

kobiety, czy do mężczyzny. Słaby zasięg, jakieś zakłócenia czy raczej rozmawiała z czyjąś kieszenią?

– Halo? – Nasłuchując odpowiedzi, zgięła się w paragraf, żeby uwolnić drugą stopę z zamszowego imadła. – Halo? Jest tam kto? Ostatnia szansa, haaalooo? – Odczekała jeszcze parę sekund na odzew. Bezskutecznie. – Nie to nie, łaski bez – mruknęła i rozłączywszy się bez żalu, wrzuciła telefon z powrotem w czeluść torebki. Odstawiła jeszcze botki do szafki, przysięgając, że po takim debiucie prędko nie zobaczą światła dziennego, i poszła rozpakować zakupy.

Z głową wciąż pełną otumaniającej pustki odgrzała sobie ostatni kawałek zapiekanki, przy okazji ogarniając kuchnię po porannym huraganie i niepostrzeżenie wchodząc w tryb monotonnej krzątaniny. Musiała coś zrobić, cokolwiek, byle nie myśleć, nie rozpamiętywać, byle nie zastygnąć w marazmie. Robiła więc. Po jedzeniu nastawiła pranie na krótki program – sam kolor, bo białego nie zebrało się nawet na pół bębna, chociaż w ładowanej od góry pralce mieścił się symboliczny wsad. Starła kurz z parapetów, podlała paprotki, zamiotła to, co z nich opadło, i najbliższe okolice, nie zwracając sobie głowy zaglądaniem pod meble. Rozwiesiła pranie. Przetarła lustro w łazience. Po namyśle poszła do małego pokoju, który służył im za sypialnię, zdjęła powłoczki z pościeli, razem z białymi niedobitkami też wsadziła do bębna i włączyła pralkę. Wyłączyła ją po kilku sekundach, wsypała zapomniany proszek do podajnika i włączyła ponownie. Umyła i wysuszyła włosy. Wpadła przelotem do kuchni, żeby pstryknąć czajnikiem i wrzucić torebkę z herbatą do kubka. Nie czekając, aż woda zacznie bulgotać, zgarnęła z blatu foliowe siatki po zakupach i poszła z nimi do przedpokoju, gdzie obok torebki wciąż leżały porcelanowe figurki.

Zawiązała dokładnie foliówkę, w którą spakowała je sprzedawczyni. Włożyła ją do drugiej foliówki, a tę następnie włożyła do trzeciej, wciąż pachnącej ogórkami.

Tak jak stała, w samych dzinsach i tunice z bawełny, Dżusi wyszła na balkon. Mimo skarpetek poczuła zimny beton. Zaciągnęła się mocno powietrzem, aż przez chwilę zakręciło jej się w głowie – może od smogu, może od wiosny. A może od czegoś zupełnie innego.

Zakręciła siatką, czując, jak folia skręca się coraz ciaśniej. Jak powróż. W końcu ucisk dotarł do dłoni. Dobrze. Bardzo dobrze.

Przesunęła stopę nieco w bok, ugięła kolana i wzięła zamach.

I jeszcze.

Jeszcze.

Jeszcze.

Brzęk. Chrzęst. Szmer. Z każdym uderzeniem tandetna ceramika z tandetnego sklepu pękała coraz ciszej, a lepkie chmury w głowie Dżusi rozstępowały się pasmo po paśmie. Choć na tych parę sekund, parę minut, parę myśli.

W końcu ostatnia warstwa folii pękła i odłamki w kłębach pyłu rozsypały się po całym balkonie. Dżusi jeszcze przez chwilę stała nieruchomo i stopniowo wyrównywała oddech. Spokojnie. Tylko spokojnie. Wdech, wydech. Dasz radę. Wdech, wydech.

Wtedy zauważyła, że spomiędzy szczątków spogląda na nią osamotnione bursztynowe oko.

Wściekłość wezbrała w niej nagle. Dżusi zacisnęła zęby i bez namysłu szurnęła stopą. Oko z brzękiem przeleciało przez balkon, zsunęło się za krawędź i spadło na trawnik sześć pięter niżej.

Zwinęła siatki w ciasną kulkę, wrzuciła do worka na plastik i poszła po zmiotkę. Starannie sprzątnąwszy pobojuwisko, wróciła do sklepu po te przeklęte draże.

O tym, że jej telefon przez cały ten czas był wyciszony, przypomniała sobie dopiero późnym wieczorem, kiedy podłączyła go do ładowarki i ekran ożył na sekundę czy dwie. Pięć procent baterii i siedemnaście nieodebranych połączeń. Sprawdziła – wszystkie z nieznanego numeru.

Ktoś tu kochał na zabój.

– Nie rób tak, bo ci tak zostanie.

Na te słowa Klara Stern znieruchomiała z dłonią wyciągniętą nad stołem. Wlepiała w panią Jagę zdeorientowane spojrzenie. Sprawiała wrażenie lunatyczki, która nagle odzyskuje świadomość i odkrywa, że wcale nie leży we własnym łóżku.

– Co?...

– Ach, więc ty żyjesz! A już miałam ci sprawdzać tętno. – Pani Jaga wyłuskała z paczki nowego papierosa i z wprawą przykleiła do kącika ukarminowanych ust. – Zostanie ci – powtórzyła półgębkiem, zanim zapaliła, i dla wzmocnienia przekazu wskazała zapalniczką na pionową

bruzdę, która przecinała czoło jej gościa dokładnie w połowie, biorąc początek między brwiami. – Wiesz, z twoją cerą zdążysz się dorobić głębokich zmarszczek – dodała. – Nie musisz zaczynać już teraz.

Jakby na przekór tym dobrym radom jeszcze bardziej ściągając brwi, Klara odetchnęła. Szukała odpowiedzi, która zabrzmiałaby na tyle grzecznie, żeby nie urazić żywej kopii kobiety, której zawdzięczała więcej niż komukolwiek innemu, lecz przy tym na tyle stanowczo, żeby starsza pani raczyła się z łaski swojej odchrzanić.

Nie było łatwo.

Leżący na stole telefon rozstrzygnął ten dylemat, bo nagle błysnął diodą i znów zaterkotał o drewniany blat. Który to już raz, odkąd usiadły dzisiaj przy kuchennym stole? Czwarty? Piąty? Tak jak poprzednio Klara pospiesznie wcisnęła czerwony przycisk i odrzuciła połączenie.

– Zaryzykuję i postawię dość śmiałą tezę – odezwała się pani Jaga bez większych emocji. – Przestanie tak wydzwaniać, jeżeli odbierzesz.

Klara Stern wzruszyła ramionami. Niby nonszalancko, tyle że w jej oczach błysnęła niepokonana irytacja, a do głosu wkradł się warkoczący ton.

– Pani sobie wyobrazi, pani Jago, że już na to wpadłam. Nic nie słyhać, same szумы, trzaski i... – Urwała i machnęła ręką. – Zresztą, szkoda gadać. – Poprawiła się na krześle, a potem wyszarpnęła papierosa z paczki i uciekła spojrzeniem za okno. – Pewnie się jakiejś idiotce telefon odblokował w torebce i teraz wydzwania w kółko na losowy numer.

– Pewnie tak... pewnie tak...

Przez następne minuty dym papierosowy rozsnuwał się po kuchni, docierając do wszystkich kątów, w których na powrót zaczęło zalegać milczenie. Zdawało się wszystko oblepiać – podłogę, ściany, meble – niczym kurz osiadający na wilgotnej powierzchni. Nie wystarczyło przesunąć dłonią, żeby je strzepnąć. Przerwać. Przełamać.

– Znowu to robisz, dziecko.

Tym razem Klara Stern nie zapanowała nad sobą.

– Przepraszam bardzo, czy pani nie ma nic lepszego do roboty?! – warknęła, piorunując panią Jagę spojrzeniem, lecz ta z niezmałym spokojem wpatrywała się w nią zza stołu. Pioruny już dawno nie robiły na niej wrażenia.

– Ja? Nie. A ty?

Klarze momentalnie zaschło w gardle. Skuliła ramiona i osunęła się parę centymetrów na krześle. Gdyby nie papieros, pewnie wcisnęłaby jeszcze dłonie między uda. Jak gdyby znowu miała naście lat, zapomniała wykuć koniugacje na blachę i teraz próbowała wtopić się w ławkę, podczas gdy jej kolega wylewał pod tablicą siódme poty, a żółte oczy profesorki już, już rozglądały się po sali w poszukiwaniu świeżej ofiary. Byle nie ja, nie ja, nie ja...

„Może Klara Stern zechce pomóc koledze. Proszę bardzo, kochamy, kochają, kochajcie”.

To, co czuła Klara Stern, wtedy i teraz, nie miało wiele wspólnego z miłością.

– Ani przez cztery lata liceum, ani przez następną dekadę z okładem nie bywałaś na Lipowej częściej niż raz w miesiącu, a i to niechętnie – ciągnęła tymczasem pani Jaga, zapatrzona w pomału gasnący żar na czubku papierosa. – To Matylda jeździła do ciebie, nosa nie wyściubiałaś z rodzinnego mauzoleum. A teraz? Dzień w dzień pokonujesz sześć i pół kilometra w jedną stronę, przez ścisłe centrum miasta, żeby wpaść do nas na tak zwaną kawę. Nie zrozum mnie źle, dziecko – dodała zaraz. – Ja ci kawy nie żałuję, choćby i z cukrem. Ale czy ty wiesz, ile tych kaw tu wypiałaś przez ostatnie dwa tygodnie?

– Nie, nie wiem. Proszę sobie wyobrazić, że nie liczyłam, ale skoro to taki problem, następnym razem przyjadę z własną.

– Jedną.

Niepozorne słowo spadło na Klarę z impetem, aż zadzwoniło jej w uszach. Przełknęła ślinę.

– Uznałam... – Odchrząknęła, by natychmiast spróbować raz jeszcze. Bardziej stanowczo, śmiało, jakby wcale nie miała ochoty zgłosić nieprzygotowania, bo kot zjadł jej pracę domową. – Uznałam, że przyda wam się towarzystwo. Tyle ostatnio przeszłyście... ta koszmarna sprawa sprzed lat, śmierć pani Mili... no i jeszcze pani Matylda...

– Pozwolisz, dziecko – gładko weszła jej w słowo Jadwiga Bolesna – że przykładem mej szacownej siostry łacinniczki zacytuję nieśmiertelnego klasyka.

– *Amicus certus in re incerta cernitur*¹?

– Tu się zgina dziób pingwina.

Choć brzmiało to absurdalnie, Klara poczuła się jak balonik. Jak napięty do granic wytrzymałości balonik, to szarpany, to nakłuwany raz

po raz przez bezlitosną dłoń starej lekarki. Gdyby nie Roy Keane, który ni stąd, ni zowąd wpadł do kuchni z awanturą z powodu poidła, przerywając kolejną rundę tej nierównej walki, pękłaby już teraz. W zasadzie nie była fanką tej wielkiej, hałaśliwej papugi, lecz tym razem powitała jej obecność z niewysłowioną ulgą.

– A co tam u dziewcząt? – zagaiła pani Jaga. Stała teraz plecami do kuchni, pochyłona nad zlewem, siłą rzeczy zatem nie mogła widzieć grymasu, który na moment wykrzywił twarz Klary.

Prawda?

– Nic. – Krótko i twardo. Właśnie tak. „Nic” nie zostawiało miejsca na emocje czy niedopowiedzenia. Z emocji i niedopowiedzeń w mgnieniu oka wykielkowałyby pytania, a pytań się bała. Wymagały odpowiedzi, których nie знаła. I nie była gotowa ich szukać.

Tyle że kolejne słowa wzbierały w niej jedno za drugim, buzowały, kipiały, wypychane wewnętrznym ciśnieniem napierały na usta, a ona nie wiedziała, jak je powstrzymać, jak przełknąć z powrotem. Więc płynęły.

– Co ma być. Dżusi siedzi w Opolu. Żyje. Dzwoniła chyba tydzień temu, wspominała coś o ślubie. Że będzie czy że nie będzie... nie wiem, nie słuchałam. Wie pani, jak ona zacznie trajkotać, to czasem...

Nie odwracając się do niej, pani Jaga pokiwała głową. Plastikowy zbiornik w jej dłoni pomalutku napełniał się zimną wodą, musiała uważać, żeby go nie upuścić.

– Ślub piękna rzecz. Rozumiem, że z naszym Karolkiem?

– Tak. Chyba. Tak sędzę. Nie wiem, nie moja sprawa.

Pani Jaga zakręciła kran i sięgnęła po kraciatą ściereczkę, żeby wytrzeć poidło. Roy Keane, wielka papuga przy jej nodze, zaskrzeczał ponagłajaco.

– Już, już, czekaj, już ci daję... – Jeszcze kilka ruchów i zbiornik ze świeżą wodą wreszcie znalazł się na właściwym miejscu. Spragnione ptaszysko rzuciło się do poidła najkrótszą drogą, dając nura między połami jedwabiu. O mało nie przewróciło przy tym starszej pani. – Psik! Zły nielot, zły! A Eleonora? Co u niej?

Spokojnie. Prawa dłoń Klary zacisnęła się na paczce, palce lewej już szukały w niej papierosa. Spokojnie. To tylko pytanie. Co u ciebie? A jak tam w pracy? Widziałaś, jakie korki?

Krótko i twardo. Bez emocji. Spokojnie.

– Wyjechała.

– Proszę?

– Wyjechała – powtórzyła Klara, głośno i wyraźnie, udając, że nie dostrzegła jej zdumienia, że pani Jaga po prostu nie dosłyszała. Tymczasem zniecierpliwione palce wciąż szukały papierosa. – Na... – Zmarszczyła czoło. Paczka była pusta. – Na początku marca.

– No proszę. A dokąd to?

– Nie wiem, nie mo...

– ...nie twoja sprawa, tak, tak.

– Tak. Właśnie tak. Eleonora jest dorosła, pani Jago, nie musi mi się spowiadać. Nikomu nie musi. Spakowała się i wyjechała. Odpocząć i... odpocząć. Jak wróci, to będzie – dodała, ucinając temat. A przynajmniej tak jej się wydawało.

Rzecz jasna, pani Jaga miała na ten temat zdanie zgoła odmienne. Splotła przed sobą dłonie i przechyliwszy głowę w barwnym turbanie, odparła cicho:

– O ile wróci. Prawda?

Stała, patrząc z góry na młodą kobietę przy stole ni to z kpina, ni to z przenikliwością w niewiarygodnie żółtych oczach, a Klarę kolejny raz przeszył dreszcz. Miała niepokojące wrażenie, że gdyby nie te jedwabie i woń papierosów, którymi się spowijała, pani Jaga mogłaby bez trudu uchodzić za swą starszą siostrę. Wpatrywała się teraz w Klarę tak samo jak pani Matylda, ilekroć stawała przed ich klasą i czekała, aż się przyznają. Zawsze się przyznawali. Nie umieli wytrzymać ani wzroku swojej profesorki, ani jej milczenia. A nade wszystko świadomości, że ona już wie.

I tak samo jak starsza siostra, pani Jaga też zdawała się wiedzieć wszystko. I widzieć wszystko. Blednącą twarz. Cienie pod oczami, maskowane makijażem. Bruzdę wyrytą w czole tak głęboko, jak gdyby sięgała samego dna jej myśli. Ciemny odrost, który coraz wyraźniej odcinał się od płomiennej czerwieni włosów. Dłoń zaciśniętą kurczowo na pustej paczce po papierosach, żeby nie zdradzała drżenia. Orz całą resztę, którą Klara tak panicznie ukrywała pod spodem.

A pani Jaga wciąż czekała.

Zawsze się przyznawali... Cokolwiek by jednak wywinęli, przemknęło Klarze przez myśl, koniec końców pani Matylda zawsze stawała po ich stronie. Jasne, najpierw były ochrzan i konsekwencje, sprawiedliwe, acz przykre. Lecz koniec końców...

– Zostawiły mnie – wyrzuciła z siebie, a potem słowa popłynęły same, kłębiąc się od emocji. – To chciała pani usłyszeć, tak? No to proszę! Proszę bardzo! Zostawiły mnie samą jak palec w dupie. Obydwie, najpierw jedna, a teraz druga. Nawet nie zadzwonią. Już nie potrzebują ciotki, mają własne sprawy. Po tym wszystkim, co przeszliśmy, co się stało, one...

Urwała, bo żal ścisnął jej gardło z taką siłą, że z trudem łapała oddech. Po tym wszystkim, co przeszły. Co odkryły...

Odkryły prawdę, której Klara tak długo strzegła w obawie, że odbiorą jej bratanicę, a ją samą wyślą do zakładu zamkniętego z łatką dręczonej urojzeniami psychicznie chorej. Prawdę o Ludwiku i Irenie Sternach, rodzicach Eleonory i Dżusi, o ich szabrowniczej działalności, która koniec końców zaprowadziła ich na samo dno czasu i tam utopiła. O Ramzesie, scytyjskim strzygoniu, którego zawsze się obawiała, a który strzegł ich na prośbę Matyldy Bolesnej. O Hugonie Falku, o Juniorze i krwi, jaką mieli na rękach. Prawdę o samej Klarze, młodszej siostrze Ludwika, o jej traumie i mocach psychopompa. Mocach, które po ciotce odziedziczyła starsza z bratanic, niepozorna Eleonora.

Odkryły całą okrutną prawdę o przeszłości i rodzinnych tajemnicach.

Prawie całą, poprawił cichy głos w jej głowie, zanim zdołała go zdusić.

Fala opadła, odsłaniając nagie dno. Klara siedziała przez chwilę z otwartymi ustami. Wreszcie pokręciła głową.

– Myślałam, że po tym wszystkim coś się zmieniło – szepnęła. – Między nami. A one... Zostawiły mnie. Tak po prostu. Nie rozumiem tego.

– Och, dziecko, dziecko... – westchnęła starsza pani. – To nigdy nie dzieje się tak po prostu.

Klara prychnęła i w mgnieniu oka odzyskała rezon.

– A co pani może o tym wiedzieć?

Pani Jaga otworzyła jedną z kuchennych szafek i wyciągnęła z niej nową paczkę papierosów. Po namyśle wzięła też drugą popielniczkę i usiadła przy stole.

– Nie chcę, by zabrzmiało to okrutnie – zaczęła, zrywając folię z paczki – ale w przeciwieństwie do nich miałaś czas, żeby wszystko przetrawić, Klaro. Całe długie lata.

– Długie lata życia w kłamstwie.

– Które dla nich było jedyną prawdą, jaką znały. Od dziecka. Co po części jest twoją zasługą, a po części... no cóż, winą. Kwestia

perspektywy. Teraz ich kolej, żeby się z nim zmierzyć, pogodzić i dostosować do nowych warunków. Po swojemu.

– No, jeżeli odgryzanie sobie kończyny nazywa pani dostosowaniem, to ja...

– Człowiek, drogie dziecko, zrobi nawet więcej, żeby przetrwać. Tak jak ty. Ogromnym kosztem, nie przeczę, ale jednak przetrwałaś. Utrzymałaś na powierzchni i siebie, i je. Ale teraz Eleonora i Dżusi muszą same znaleźć grunt pod nogami, a nie zrobią tego nigdy, kurczowo trzymając się czy to ciebie, czy to złudzeń. Choćby i najpiękniejszych. – Zaciągnęła się papierosem i uśmiechnęła do swojej rozmówczynie z dziwną mieszanką tkliwości i żalu. – Och, Klaro... Naprawdę sądziłaś, że to wystarczy? Że po kilkunastu latach kłamstw, traum i pretensji nagle, jakimś magicznym sposobem, wszystko się między wami ułoży jak w bajce? Bo co? Bo poznały prawdę o swoich rodzicach? O podróżach w czasie, skarbach i krzywdach, jakie wyrządził ci rodzony brat? Bo przez moment umiałyście się dogadać?

Tak, chciała odpowiedzieć Klara. Zamiast tego słuchała, uczepiona papierosa jak ostatniej deski ratunku. Nawet go nie zapaliła.

– To tak nie działa – ciągnęła pani Jaga. – Los postawił was pod ścianą, nie miałyście innego wyjścia. Tyle że spod takiej ściany każdy rozsądny człowiek ucieka przy pierwszej sposobności, jaka się nadarzy, zamiast czekać potulnie na kulkę w łeb.

– Jasne. Jasne. Cóż, właśnie to zrobiły moje bratanice. Uciekły.

– Och, dziecko, dziecko... A ty to nie uciekasz?

– Pani nic nie rozumie. – Klara Stern czym prędzej odepchnęła od siebie tę myśl. – Nie wie pani, jakie to uczucie, kiedy...

– Zabiłyśmy naszego ojca, Klaro.

Cóż. Tego już nie umiała odepchnąć.

To jedno zdanie, wypowiedziane tak swobodnie, tak po prostu, uderzyło Klarę obuchem. Przed oczami stanęło jej widmo z ogrodu – ilekroć pokonywała ten krótki odcinek między furtką a drzwiami domu przy Lipowej pięć, wisielec odprowadzał ją tym swoim pustym wzrokiem, kołysząc się tak samo jak tamtej nocy przed laty, kiedy pętla na wieczność zacisnęła się na jego szyi. Zawsze obecny, zawsze widoczny z okna salonu dla każdego, kto potrafił wejrzeć w głąb rzeczywistości i czasu. To przez niego tak niechętnie jeździła na Lipową, przez niego niemal zawsze siadały tutaj, w kuchni. Salon był dla ślepych.

Ileż to razy zachodziła w głowę, jak siostry Bolesne mogły żyć z tym, co zrobiły. A potem przypominała sobie, z czym nauczyła się żyć ona sama, i ugryzła się język.

– Zabiłyśmy naszego ojca – powtórzyła niewzruszenie pani Jaga, otwarcie patrząc w oczy Klarze i prawdzie, jakże bolesnej, lecz przy tym oswojonej. – Przecież wiesz. Razem, we trzy, solidarnie, Matylda, Miła i ja, doprowadziłyśmy do jego śmierci. A potem, także razem, już własnymi rękami zabiłyśmy innego człowieka². Spełniłyśmy prośbę, której powinnyśmy były odmówić. Moje siostry wyszły z tego okaleczone na zawsze, Matylda na ciele, Miła na duszy. A gdy już było po wszystkim, gdy świat, jaki znaliśmy przez całe życie, obrócił się w zgliszcza i nie został nam nikt, dosłownie nikt... – Umilkła, wpatrując się w kłęby i smugi dymu, jak gdyby była pytią na trójnogu, czekającą na wieszczbę, a nie wiekową lekarką siedzącą na zwykłym kuchennym krześle. – Wtedy uciekłam.

– Jak to?

– Ano tak to. Choć wtedy powiedziałabym raczej, że cudem wyrwałam się z potrzasku. Miało to swoje konsekwencje, zarówno dla mnie, jak i dla tych, których zostawiłam. Nadal ma... Ale wtedy nie umiałam inaczej. Odgryzłam kończynę i uciekłam tak daleko, jak tylko zdołałam, żeby lizać rany. A Matylda została. Nie wiem, czy bardziej przerażona, czy rozgoryczona, czy zła, tak zła, jak to tylko Matylda potrafi, lecz z pewnością sama. Jak ty.

– Ale wróciła pani do niej, prawda?

– Och, tak, wróciłam. Tyle że zajęło mi to niemal dwadzieścia lat. – Zaśmiała się z łagodną goryczą. – A ty chciałaś się uwinąć w pół roku.

– Nie żałuje pani teraz? – zapytała cicho Klara. – Tych straconych lat?

– Lat, które dawno minęły? Nie. Żałuję dni, które teraz przelatują mi przez palce.

Zdusiła niedopalek w popielniczce, kolejnej wyszczerbionej miseczce, dokonującej żywota w tej mniej wdzięcznej roli.

– Po tym wszystkim, co wydarzyło się zeszłej jesieni... Z początku sądziłam, że będzie dobrze, że jakoś się to ułoży. Ale nie jest. Matylda kolejny miesiąc nie wychodzi z domu. Coraz bardziej zapada się w sobie. Jak dmuchany materac, z którego pod koniec lata stopniowo schodzi powietrze. Zaczynam się obawiać, czy aby nie zamierza w ten sposób

dokonać żywota. Powolutku, w milczeniu, z oślim uporem... Ech. Cała Matylda.

– Chyba nie chce pani powiedzieć, że... że ona...

– Obawiam się, że moje chcenie nie ma tu nic do rzeczy.

– Jak to? Nie może pani czegoś... zrobić? Jakoś tego rozplątać? – wyszeptała Klara, spoglądając bezradnie na starszą kobietę. Lecz to, co zobaczyła, wcale nie podniosło jej na duchu.

– Zapominasz, że nie jesteśmy już trzy, drogie dziecko. A mojry zawsze muszą być trzy, prawda?

Papuga przydreptała do nich, skrzecząc cicho, i trąciła niebieskim łebkiem dłoń pani Jagi. Dostała już wodę, teraz chciała pieśczot.

– Z chwilą śmierci Mili zniknęły nici z naszego strychu. A razem z nimi zniknęła moc mojry. Głosy w słuchawce także ucichły. Cóż, teraz przynajmniej mogę w spokoju posłuchać radia, bo nikt mi się nie drze jak potępieniec w siedemnastu językach, ale znów jestem zaledwie człowiekiem, Klaro. Nie mogę zrobić dla Matyldy nic, co najwyżej zmyć jej głowę i zmierzyć ciśnienie. – Poderwała głowę i obejrzała się na czajnik, który już dawno zdążył wystygnać. – Czy my przypadkiem nie miałyśmy napić się kawy? Nastawię wodę.

Zgrzyt fajerek, szum podgrzewanej wody, brzęk filiżanek na spodkach i wieńczący całość gwizd czajnika skutecznie zagłuszyły dalsze pytania i myśli najczarniejsze z czarnych, choćby tylko na moment. Kojąca melodia codzienności.

– A jakby tego było mało, drogie dziecko, trafił nam się najgłupszy lokator pod słońcem. Najgłupszy! Owszem, na rajdach to chłopaczysko healuje jak złoto, a błysk w oku ma taki, że desusy same ruszają w stronę kostek, ale poza tym, święci pańscy... – Pani Jaga uniosła wzrok ku niebiosom w poszukiwaniu wzmiankowanych świętych, którzy mogliby poświadczyć i rajdowe umiejętności lokatora, i jego wpływ na dynamikę damskiej bielizny. A potem westchnęła i odwróciwszy się z powrotem do Klary, postawiła przed nią filiżankę z parującą kawą. – Pytasz, czy żałuję tamtych lat? Nie, nie żałuję. Łatwe czy trudne, dobre czy złe uczyniły mnie tym, kim jestem dzisiaj. Uczyniły nas wszystkie, Matyldę, Milę i mnie. Zresztą, w pewnym wieku człowiek godzi się z losem. Zamiast rozpamiętywać stare żale, wita każdy nowy dzień z autentycznym zdumieniem. Byle powód ku temu jest dobry. Och, to już marzec? Gdzie

moje kapcie? To ja wciąż żyję? Nie ma czasu na pierdoły. Nie ma już czasu... Ano właśnie, dziecko. Czas.

Zawinąwszy z rozmachem poły jedwabnej kreacji, wróciła ze swoją kawą do stołu i pokiwała na Klarę palcem.

– Choć w waszym przypadku zakrawa to na gorzką ironię, najbardziej potrzeba wam czasu. Zwłaszcza Dżusi i Eleonorze. Nawet nie zdążyły okrzepnąć, ułożyć sobie tego wszystkiego w głowach. Nie mówiąc już o sercach. A teraz pij, dziecko. Trzeba trochę podbić te niechlubne statsy.

Kawa była mocna i gęsta. Najdrobniejszy łyk pozostawiał na języku cierpki posmak. Klara obróciła filiżankę w dłoniach, śledząc delikatny wzór na porcelanie. Niezapominajki. Drobne, kunsztowne, przetykane listkami, bardziej już wyblakłe niż niebieskie, o oczkach wciąż żółtych, niemal złocistych.

– Eleonora... ona...

– Tak?

Wtem krótki, brzękliwy dźwięk wdarł się między kobiety, aż podskoczyły zgodnie na swoich miejscach. Sekundę czy dwie później rozległ się ponownie. Niósł się z przeciwległego końca domu, od strony drzwi wejściowych. Pani Jaga otrząsnęła się z początkowego zaskoczenia i fuknęła z irytacją:

– Święci pańscy, jak wezmę kiedyś ten przeklęty telefon...

– Może ja pójdę? – Klara już podnosiła się z za stołu, lecz pani Jaga gestem nakazała jej usiąść.

– Bez obaw, dziecko. Wciąż jestem zabójcza na krótkich dystansach.

Ledwie jednak przestąpiła próg kuchni, dzwonienie urwało się w połowie.

– No i masz, cała wyprawa psu na budę... – mruknęła, zawracając z korytarza. – Tyle mojego, że nie zdążyłam zebrać drużyny, nie mówiąc już o miotaniu biżuterią. No, o czym to my... Ach, tak. Zaczęłaś mówić o Eleonorze. Czyli jednak coś?

– Och, nic... nic wielkiego. Przysłała pocztówkę i...

Tym razem przerwał im okrzyk. Kobięcy, zduszony. Przerażony.

– Matyllda!

Pobladła pani Jaga ruszyła wąskim korytarzem, jakby jej nagle ubyło dekadę lub dwie. Tuż za nią podążała Klara, próbując nie potknąć się przy tym ani o trzepoczący jedwab, ani o papugę, która ze skrzekiem deptała jej po piętach.

Chwilę później sama ledwo zdusiła krzyk.

Pośrodku korytarza stała jej dawna nauczycielka. Była bosa i rozczochrana, wciąż w kraciastej piżamie, chociaż dochodziło południe. Wspierała się na lasce o wiele cięższej niż kiedykolwiek. Oddychała płytko, z wysiłkiem, wpatrując się w słuchawkę starego aparatu, którą ścisnęła w dłoni. Aparatu tak starego, że nie miał prawa działać.

Klara nigdy nie widziała jej w takim stanie. Z silnej, pewnej siebie kobiety został cień, blady i ulotny... Bała się choćby westchnąć, żeby nie pierzchł.

– Matyldo?...

– Rrrany banaaany! Banaaany! – zaskrzeczała papuga, raz po raz unosząc skrzydła.

– Dziób na kłódkę, nielocie pstrokaty! Matyldo, czy coś się stało? Kto dzwonił?

Pani Matylda pomahała odwróciła głowę w ich stronę. Oblizwała spierzchnięte usta.

– Słyszałam...

– Co słyszałaś?

– Głosy. Wróciły. Słyszałam w słuchawce głosy.

– Gło... te głosy?! – zapytała pani Jaga z niedowierzaniem.

Dębowa laska huknęła z impetem o podłogę, przerywając nieznośny marazm, w którym zdawały się dotąd tkwić wszystkie trzy. Żółte oczy starej nauczycielki rozblęskły dawnym blaskiem, a na jej zapadnięte policzki wystąpił rumieniec. W ułamku sekundy cień na powrót stał się człowiekiem.

– Oczywiście, że te, na miłość boską! – wybuchła, piorunując siostrę wzrokiem. – A niby co innego, trąby jerychońskie?!

– Ale to niemożliwe, Matyldo! Niemożliwe. My już nie możemy ich słyszeć.

– Wiem! – huknęła raz jeszcze najstarsza z Bolesnych. A potem zrobiła długi, głęboki wdech, by powtórzyć, wciąż ostro, lecz z większym opanowaniem: – Wiem. I wiem też, co jeszcze słyszałam w słuchawce. Czy raczej kogo.

Dopiero teraz znalazła w sobie dość sił, żeby odłożyć słuchawkę na widełki, po czym stanęła przed Klarą i spojrzała jej prosto w oczy.

– Słyszałam Eleonorę.

Przedtem

Mniej więcej w połowie zbocza Eleonora Stern wciąż była daleko od celu, za to zdążyła dojść do dwóch wniosków.

Po pierwsze, nie tego się spodziewała. Zupełnie. Szykowała się na wiosnę – owszem, wiosnę wczesną, nieśmiałą, wiosnę w górach, przesywającą na wskroś wiatrem, chłodem i wilgocią, tymczasem gdy tuż po południu wysiadła z pociągu, na miejscu zastała zimę, jakiej we Wrocławiu dawno nie widziała. Wszędzie był śnieg. Ciągnął się zaspami wzdłuż chodników, piętrzył pod ścianami, zwisał czapami z dachów. Nawet na gęsto zalesionych zboczach Gór Wałbrzyskich i Gór Sowich, między którymi niczym w przytulnym gnieździe umościło się miasteczko, czerń drzew ustępowała wszechwładnej, roziskrzanej bieli. Z bliska najeżone szadzią gałęzie przypominały grube, włochate gąsienice. Mróz szczypał w policzki. Na stoku narciarskim niedaleko pensjonatu, gdzie Eleonora wynajęła pokój, uwijał się ratrak, wygładzając trasę dla miłośników desek, których spodziewano się tu wraz z nadejściem weekendu.

– O, u nas śnieg to leży i leży – wyjaśniła gospodyni, gdy prowadziła dziewczynę schodami na piętro niewielkiego pensjonatu.

Przez telefon wydawała się sympatyczna, acz w dość konwencjonalny sposób, jak ktoś, kto ma dużo do czynienia z ludźmi i doskonale przyswoił sobie instrukcję ich obsługi. Na żywo z początku też wszystko zdawało się zgadzać. Zwyczajna kobieta po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, przeciętnej urody, w dzinsach i żółtym swetrze, a mimo to na jej widok Eleonora na ułamek sekundy zapomniała języka w gębie. Wszystko za sprawą włosów, które gospodyni ufarbowała sobie na przepiękny odcień oberżyny, przycięła w klasycznego boba z grzywką, zwanego też Piastem Kołodziejem, i na dodatek podgoliła z rozmachem. Jedyne długie pasmo, jakie ostało się po tych zabiegach, nosiła zaplecione w warkocz, który spoczywał na jej lewym ramieniu.

– Zimy tu mamy prawdziwe, ze śniegiem, mrozem – ciągnęła kobieta. – Piękne! Mąż kiedyś sprawdzał, bo wie pani, on to lubi turystom różne takie opowiadać, i wszędzie pisali, że Sowie niby nie takie wysokie, ale

jak człowiek wyjdzie z kotliny, to klimat się robi prawie jak w Tatrach. Nawet tu, w miasteczku, śnieg mamy jeszcze w marcu, sama pani widzi. Tam wyżej to i do kwietnia się trzyma, zwłaszcza na stokach od północnej strony. A bywały takie zimy, że jeszcze w maju leżał.

Przez wysokie okno u szczytu schodów, po lewej, wlewał się do środka blask słońca i śniegu. Po prawej zaczynał się korytarzyk, stanowczo zbyt krótki, by ciągnąć się przez piętro starego pensjonatu. Wyglądał raczej, jakby wcisnął się po cichu między pomieszczenia i udawał, że był tam od zawsze. Na wprost stopni tuliły się do niego dwa pokoje, numer trzy i cztery. Z kolei przeciwległa ściana kryła schowek gospodarczy z tabliczką „Wstęp tylko dla personelu” na drzwiach.

– Tu jest pani pokój – wyjaśniła gospodyni, otwierając trójkę – a tam – pokazała ruchem głowy koniec korytarza – kuchnia dla gości. Jakby czegoś zabrakło, worków na śmieci czy płynu, to proszę mówić. Ten drugi pokój do soboty będzie pusty, akurat się pani zdąży rozgościć. A w sobotę przyjeżdża taki jeden pan, ale nim się proszę w ogóle nie martwić. Nie będzie pani przeszkadzał ani się narzucał, on nie z tych. Bardzo spokojny człowiek, bardzo. I bardzo uprzejmy.

Pokój robił wrażenie przytulnego, choć gdyby nie wielkie okna ze szprosami, które stykały się w narożniku, wydawałby się zwyczajnie ciasny. Niedobory przestrzeni rekompensował widok na miasteczko i zbocza okolicznych gór. Na ścianie na wprost schludnie załanego łóżka wisiał niewielki telewizor, podłogę zaś zamiast standardowych paneli pokrywała wykładzina w bardzo niepraktycznym odcieniu szarości. Mimo to była czysta, zupełnie jak nowa. Eleonora pokiwała głową z uznaniem dla standardów czystości, jakim najwyraźniej hołdowała gospodyni pensjonatu.

Odstawiwszy walizkę na bok, Eleonora zlustrowała łazienkę i szafę, rozplanowując w głowie, gdzie i jak rozłoży swoje rzeczy. Po namyśle uznała jednak, że wbrew nawykowi, zamiast zajmować się teraz rozpakowywaniem, najpierw wybierze się na spacer po okolicy. Musiała rozchodzić te trzy godziny w pociągu z Wrocławia, z przesiadką w Wałbrzychu. I może przy okazji jeszcze coś zjeść – wśród ulotek, które leżały na szafce pod wieszakiem na kurtki, znalazła reklamę miejscowej pizzerii. Może to przez zdjęcie, a może przez brak Comic Sansa, w każdym razie na pierwszy rzut oka robiła zachęcające wrażenie.

Niedługo później, schodząc do centrum najpierw asfaltową drogą, a potem po betonowej kostce, Eleonora zastanawiała się, skąd w ogóle wzięła pomysł, żeby przyjechać właśnie tutaj, do Jedliny-Zdroju. Nigdy nie była w tych okolicach i nie wiedziała o nich zbyt wiele. Pierwsza myśl, wiadomo, Wałbrzych, a skoro Wałbrzych, to zamek Książ i palmiarnia. W ogóle nie kojarzyła tych stron z uzdrowiskami, prędkiej z kopalniami i przemysłem. Najwyraźniej nie ona jedna, stwierdziła, kiedy dotarła do końca drogi. Dalej, jeśli wierzyć znakom, zaczynał się plac Zdrojowy. Nieduży, urokliwy – i pusty.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. W podjęciu decyzji z pewnością pomógł jej fakt, że dłuższy pobyt w popularniejszych miejscowościach Karkonoszy czy Gór Stołowych pochłonięły większość oszczędności, jakie zdołała odłożyć z bibliotekarskiej pensji. Ale nie tylko to, uświadomiła sobie teraz, przesuając wzrokiem po minimalistycznym placu. Wybrała Jedlinę, bo chciała zaszyć się głęboko, jak najgłębiej, niczym wycięzione zwierzątko w norze gdzieś pod ziemią, z dala od ciekawskich spojrzeń. Wtulone w górską kotlinę miasteczko, puste, białoszare, z pozoru bezludne, zdawało się obiecywać dokładnie to, czego teraz tak bardzo potrzebowała. Spokój. Schronienie. Zapomnienie.

Zmierzchało już, gdy tą samą drogą wracała do pensjonatu. W pudełku niosła resztki całkiem niezłej pizzy. Nie czuła nosa ani czubków palców, za to dla kontrastu pot ściekał jej ciurkiem wzdłuż kręgosłupa, aż do zagłębienia u szczytu pośladków, doprowadzając Eleonorę do szału oraz wniosku numer dwa – stanowczo przesadziła z warstwami zimowej odzieży.

Uznawszy, że bagaż może równie dobrze poczekać do rana, wyciągnęła z walizki tylko pizamę i kosmetyczkę, po czym wzięła długi prysznic. Gorąca woda rozgrzała zmarzniętą twarz i dłonie, uspokoiła przeciążone mięśnie. Wycierając się, Eleonora czuła już w powiekach błogi ciężar, zapowiedź wszechogarniającej senności. Zanim położyła się do łóżka, rozczesała jeszcze i wysuszyła włosy, które stanowczo nie przepadały za czapką, umyła zęby i starannie wklepała krem.

I przez cały ten czas bardzo uważała, żeby nie patrzeć w lustro.

Teraz

To niemożliwe. Niemożliwe. Niemożliwe! – powtarzała pani Jaga niczym zacięta płyta gramofonowa.

– Co prawda *repetitio est mater studiorum*³, jednakowoż obawiam się, że w tym przypadku ta zasada nie znajdzie zastosowania, Jaguś.

– Ach, widzę, że wracają ci podstawowe funkcje życiowe. Łacina i sarkazm.

Już dobry kwadrans sterczały tak w korytarzu we trzy – dwie były mojry i jeden psychopomp w stanie spoczynku – wpatrując się w stary aparat. Czekwały.

– A na co my właściwie czekamy?... – zapytała Klara, bo telefon twardo milczał, a bezczynność stawała się niemal równie trudna do zniesienia jak napięcie, które panowało w korytarzu.

– Na cud – mruknęła pani Jaga, co jej siostra skwitowała pogardliwym prychnięciem.

– Cud to będzie, jak nie zarobisz w turban. Czy ty mnie masz za zniechęconą sklerotyczkę z omamami w pakiecie?

– Raczej za murowaną kandydatkę na mściwą mumię, która przy najbliższej okazji wróci zza grobu, ciągnąc za sobą wszystkie plagi egipskie, gradobicie i koklusz.

– Brzmi jak plan na wakacje.

– Muszę pamiętać, żeby cię skremować. Na wszelki wypadek dwukrotnie.

Klara nie wytrzymała.

– Czy wy siebie słyszycie?!

– Tak, a co?

– Przecież nie jesteśmy głuche – dodała pani Matylda, po czym rzuciła siostrze wymowne spojrzenie. – Słabe na umyśle też nie.

– Przecież ja nic takiego nie...

– Wiem, co słyszałam, Jaguś – powtórzyła twardo i dla podkreślenia swoich słów stuknęła laską o podłogę. – I tak, doskonale zdaję sobie sprawę, że nie mogłam tego słyszeć. Wbrew temu, co zdajesz się sądzić,

jeszcze nie otępiałam do szczeru. Ale fakt pozostaje faktem. Słyszałam to, co słyszałam.

Pani Jaga zacisnęła powieki. Dobrze. Wzięła głęboki wdech i pozwoliła, by zamiast czysto ludzkiego odruchu wyparcia tego, co z pozoru niewiarygodne, wręcz niemożliwe, do głosu doszedł instynkt lekarza. Pacjent mówi, zatem słuchamy pacjenta, nie oceniamy, zbieramy każdy strzęp informacji i składamy do kupy, licząc, że w ten sposób całość zyska sens. Jakiś. Jakikolwiek.

Otworzyła oczy.

– Słyszałaś w telefonie głosy – zaczęła pomału, rzeczowym, zdystansowanym tonem. – I to były głosy...

– ...z zaświatów. Stare dobre jęki, zawodzenie, płacz i zgrzytanie zębów. Irytujące nad wyraz, ale cóż. Przynajmniej nie wciskają ludziom koców z wielbłąda.

– Bo ja wiem? Nigdy nie rozgryźliśmy tego, który mówił po węgiersku.

– Zapewne recytował przepis na gulasz albo pytał o drogę na Budapeszt, czy to istotne? – Uniesiona brew pani Matyldy aż nazbyt wyraźnie sugerowała, że było to modelowe pytanie retoryczne.

– I wśród tych potępieńczych głosów usłyszałaś Eleonorę.

– Nie inaczej.

– Tych samych głosów, które umilkły wraz ze śmiercią Mili.

– Właśnie tych.

– Na amen umilkły. Koniec, kaplica, grobowe milczenie. Foch stulecia.

– Nie inaczej.

Próbowała różnych kombinacji, wciąż z tym samym rezultatem. Im bardziej szukała w tym sensu, tym bardziej go tam nie było.

– Jak się nie obrócisz, dupa zawsze z tyłu... – ujęła z właściwym sobie wdziękiem, acz nieco głośniejszym, niż zamierzała.

– Co proszę?

– Wybacz, Matyldo, nie wiem, jak to będzie po łacinie, choć zapewne brzmiałoby bardzo dostojnie.

– *Quocumque te vertas, culum retro semper habebis.*

– *Culum srulum.* Sama przyznasz, że to, co mówisz, brzmi dość nieprawdopodobnie.

– W przeciwieństwie do minionych siedemdziesięciu lat naszego życia, które brzmiały prawdopodobnie jak jasna cholera! – odwarknęła starsza siostra, na co jej młodsza kopia przewróciła oczami.

– Och, Matylido, nie wciągajmy do tego chorób zakaźnych, przecież wiesz, że mam uraz...

– Założmy... – Klara przerwała siostrzaną kłótnię, lecz natychmiast zamilkła. Przełknęła ślinę, próbując pozbyć się guli w gardle, jaką pozostawiło po sobie to jedno wypowiedziane słowo. – Założmy, że pani Matylida naprawdę słyszała to, co jej się wydaje, że słyszała.

– *Et tu, Brute?*

– Staram się, pani profesor, ale... – Machnęła ręką. Nie istniał taki eufemizm, który nie naraziłby jej na gniew dawnej nauczycielki, więc równie dobrze mogła przestać się krygować. – Gołym okiem widać, że nie jest pani w szczytowej formie. Ani fizycznie, ani psychicznie.

Tak jak przypuszczała, pani Matylida bez wahania rzuciła się do ataku.

– Czy kiedy lata temu przyszedł do mnie, Klaro Stern – wycedziła, z każdym słowem coraz bardziej gniewna – i wyznałaś przez łzy, że jesteś psychopompem, zmuszanym do udziału w szabrownictwie, że snują się za tobą widma z koszmarów, a twój brat i bratowa utonęli w czasie, kiedy szukali ponemieckich skarbów z okresu drugiej wojny światowej, czy ja choć raz, choć jeden raz...

W tym momencie narastającą furję przerwał dźwięk telefonu.

Trzy kobiety w ciasnym korytarzu spojrzały po sobie. Pani Matylida wyprostowała się powoli, majestatyczna mimo pizamy i potarganych włosów.

– Proszę bardzo – zwróciła się do siostry, kiedy przebrzmiał kolejny dzwonek, i teatralnym gestem wskazała jej drogę do słuchawki. – Odbierz sama, skoro mi nie wierzysz.

Naraz pani Jaga pojęła coś, co dotychczas jej umykało. Brakująca informacja, być może ostatnia, bez której cała reszta prowadziła do diagnozy równie prostej, co błędnej. Wcale nie chodziło o to, w co wierzyły, lecz o to, co wiedziały. Nie to, że świadomie, och, nie, skądże znowu. Świadomość nie chciała mieć z tym nic wspólnego, dlatego z taką zajadłością stawiała opór, dlatego szła w zaparte. Wiedziały w głębi ducha, podskórnie, instynktownie, wszystkie razem i każda z osobna, choć żadna za nic nie chciała nawet dopuścić do siebie tej przerażającej myśli, a co dopiero wypowiedzieć ją na głos. W obliczu takiej alternatywy obłąd Matylidy zdawał się wyjaśnieniem rozkosznie kuszącym.

Postąpiła krok bliżej i podniosła słuchawkę.

Aż wstrzymała oddech, żeby nic jej przypadkiem nie umknęło. Słuchała, z każdą sekundą coraz mocniej świadoma milczącej obecności siostry za plecami. Jej wyczekiwania.

Gdy w końcu odłożyła słuchawkę, nagle ciężką niczym kamień, z powrotem na widełki, ogarnęła ją fizyczna, obezwładniająca bezsilność.

– Jaguś?

– Och... och, Matylde... – westchnęła. Wciąż odwrócona do nich tyłem, pokręciła głową, bo na nic więcej nie miała już sił.

Parki. Norny. Mojry. Zawsze trzy, początek, trwanie i kres. Matylde była z nich trzech najstarsza. Najstarsza, najsilniejsza i najbardziej pyskata, odkąd sięgały pamięcią. Zapewne dlatego to jej przypadło w udziale najtrudniejsze zadanie – strzec nici ludzkiego żywota, aby nic jej nie splątało ani nie przerwało przedwcześnie, pod wpływem czyjegoś kaprysu. Ani Jaga, która splatała przędzę, dając początek życiu, ani Mila, która ją przecinała, dając początek śmierci, nie musiały znieść aż tak wiele. Tyle lat dźwigania cudzego losu na własnych barkach... Wysłuchiwanie lęków, tajemnic i rozpaczliwych prośb, zarówno po tej, jak i po tamtej stronie śmiertelności, a potem łez i złorzeczeń, gdy odmawiała, niewzruszona i niezachwiana, bo tak boleśnie nauczona własnym doświadczeniem, że z mocami mojr nie wolno igrać.

Każdy by oszalał.

Biedna, nieszczęsna Matylde...

Ale coś jeszcze nie dawało pani Jadze spokoju. Dziwna myśl, wszechobecna, natarczywa, niczym buczenie słyszane gdzieś w tle, ledwo uchwytna, lecz i tak nieznośna. Odruchowo podniosła głowę, nasłuchując. Tak. Właśnie tak. Buczenie, nieustające buczenie. Prawdziwe, żadne tam metaforyczne. Znała ten dźwięk, skąd ona go znała...

Początek, trwanie i kres.

Ta, która przędzie.

Ta, która strzeże.

Ta, która przecina.

Znała ten dźwięk, znała go, skąd ona go znała...

Komórka. Tak! Komórka Klary, leżąca na kuchennym stole. Odezwała się tuż po tym, jak słuchawka starego aparatu spoczęła z powrotem na widełkach, przerywając połączenie.

Pani Jaga okręciła się na pięcie, aż zafurkotały jedwabie.

– Odbierz, szybko! – krzyknęła do Sternówny, wyciągając rękę w stronę kuchni tym władczym gestem, który swego czasu potrafił przyprawić pół oddziału kardiologicznego o palpacje oraz biegunkę, i to jednocześnie. – Odbierz i nie rozłączaj się. Nie rozłączaj! – zawołała za nią.

Znów czekały w milczeniu, nasłuchując. Po paru sekundach obydwie dźwięki, buczenie wyciszonego telefonu i brzęk bransoletek, spotkały się, po czym ruszyły razem korytarzem w przeciwną stronę.

Kiedy Klara stanęła przed panią Jagą i wręczyła jej telefon, starsza pani pokręciła głową.

– Przełącz na głośnik.

Najpierw usłyszały jednostajny szum. Potem jakby się rozdzielił na szmery, niższe i wyższe, spośród których zaczęły dobiegać trzaski – jak gdyby wyładowań elektrostatycznych albo starej płyty gramofonowej pod pieścizotliwym naciskiem igły.

Żadnych głosów.

„Po tej... i po tamtej stronie...”, przemknęło pani Jadze gdzieś z tyłu głowy.

„Każdy by oszalał”.

„Każdy”.

– Daj mi to, dziecko. – Jakby wtórując myślom młodszej siostry, pani Matylda wyciągnęła rękę.

Ledwo telefon spoczął w dłoni najstarszej z mojr – tej, która strzegła, która słuchała i słyszała po tej i po tamtej stronie – usłyszały i one.

Głosy.

Natarczywe, zduszone, pospieszne, chór głosów nie z tego świata, ich śpiew, ich jęk, ich płacz, ich szloch, a pośród nich znajomy szept, szept wzbierający niczym wody przypiływu, ciemne i lodowate jak sama śmierć:

–

...

niemogęwrócićniemogęniemogęnienienieniewróććniemogęwróććniemogęwróćć

...

– Jaguś, czy ty jesteś poważna? – fuknęła pani Matylda, kiedy jej siostra pierwsza wpadła do kuchni niczym jedwabna trąba powietrzna, miotnęła czajnikiem, aż jęknęły fajerki, i zaczęła wywlekać z szafki porcelanowy

serwis do herbaty. – Tu nawet Royal Doulton z ręcznie malowanymi wróbkami nie pomoże, a ty się rzucasz na Ćmielów jak łysy na grzebień!

Przywołana do porządku pani Jaga zastygła z imbrykiem w objęciach.

– Wybacz, Matyldo – zreflektowała się po chwili, ochłonawszy z pierwszego wzburzenia. – Masz rację. Chciałam zaparzyć herbatę z prądem, jednak zaistniała sytuacja wymaga chyba bardziej zdecydowanych kroków.

Peerelowska porcelana wjechała z powrotem do szafki, a na stole z brzękiem wylądowała równie wiekowa taca z kieliszkami z rżniętego szkła oraz, do kompletu, butelka domowej porzeczkówki.

– Rocznik dwa tysiące dziesięć. Ostatnia butelka, racz docenić ogrom mego poświęcenia.

– Zawsze mnie zastanawiało, kto też wymyślił kieliszki o pojemności szklanki – mruknęła pani Matylda. Gęsta, czerwona nalewka nie tyle spływała, ile spęzała po ściance. Rżnięte szkło załamywało światło, rzucając migotliwe refleksy na drewniany blat.

– Mamy też mniejsze, ale czy to się godzi?

– Cóż. W naszym wieku godność to chyba jedyne, co nam pozostało.

– Święte słowa. Cześć i zaskórniaki dawno już diabli wzięli.

Długo siedziały, w milczeniu sącząc porzeczkówkę. Gdy ubyła mniej więcej jedna trzecia jej kieliszka, pani Jaga położyła wreszcie dłoń na dłoni siostry i delikatnie ścisnęła.

– Przepraszam. – Tylko tyle zdążyła powiedzieć, bo do kuchni weszła Klara Stern, pobrzękując bransoletkami. Pomachała do starszych pań komórką, po czym usiadła na swoim krześle. Ze zdumieniem uniosła brew, gdy z miejsca tuż przed nią wyrósł kieliszek, ale spróbowała zawartości i cmoknęła z uznaniem.

– Właśnie rozmawiałam z Dżusi – rzekła wreszcie Klara. Bruzda na jej czole znowu się pogłębiła. – Ona też miała takie telefony. Wczoraj siedemnaście połączeń z nieznanego numeru, pierwsze mniej więcej około południa. Dzisiaj już osiem. Ciągłe same szumy i trzaski, i jakieś mamrotanie, z którego nic nie rozumiała, więc... po drugim czy trzecim przestała odbierać.

– Trzeba było Matyldy, żeby usłyszeć to, co trzeba. – Pani Jaga uniosła kieliszek na dowód uznania i jednym haustem dopiła zawartość.

– No proszę. Niby straciłam moc, ale coś tam się jeszcze we mnie tli.

– Jak to w próchnie.

Tym razem Klara Stern nie przysłuchiwała się ich kolejnej utarczce, ni to złośliwej, ni to pieszczotliwej. Zapatrzona w czerwień nalewki, skupiła się na pytaniach, które kielkowały w niej jedno za drugim.

– Co to znaczy? Dlaczego te głosy wróciły? Czy... czy Eleonora?...

Dawna nauczycielka rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Nie. I nawet nie waż się tak myśleć.

– Matyldo, chyba nawet tobie trudno ocenić, czy...

– Nie. Koniec dyskusji. Chyba że znowu zamierzacie mi wmawiać dziecko w brzuch, wtedy nie ręczę za siebie. Wiem, co mówię. Eleonora żyje. Nie umarła, tylko nie potrafi wrócić. – Umilkła, żeby przemyśleć to sobie w skupieniu. – Myślę, że postanowiła się przeprawić i utknęła gdzieś po drugiej stronie. Czy raczej kiedyś. Ale żyje, jeszcze żyje – dodała z naciskiem – i zdołała się z nami skontaktować. Musimy po nią pójść.

– Czy muszę ci przypominać, Matyldo, jak się dla ciebie skończyła ostatnia przeprawa?

– Nie desperuj, Jaguś. Przeżyłam, to najważniejsze. I z pewnością nie zamierzam teraz siedzieć z założonymi rękami, bo jeszcze mi się, nie daj Boże, umrze. Trzeba działać, i to szybko. – Szurnęła krzesłem i podźwignęła się ze starannie skrywanym wysiłkiem. – Idę się przebrać, a ty dzwoń po taryfę. Jedziemy na Lompy.

– Nie.

Obejrzały się na Klarę. Nie taką odpowiedź spodziewały się usłyszeć.

– Przecież bez chronometru i belladonny...

– Nie, ja nie o tym. Ja... ja... po prostu... Nie mogę. Nie mogę tego zrobić. Przepraszam.

Marszcząc czoło, pani Matylda złożyła obie dłonie na rączce dębowej laski.

– Dziecko – przemówiła surowym belferskim tonem – nie ma czasu na twoje weltszmerce. Już minęła doba, co najmniej! Za dzień, najdalej za dwa Eleonora... będzie po wszystkim. Musimy po nią iść, i to jak najszybciej, a bez ciebie...

– NIE.

Nie krzyczała, wprost przeciwnie. Nie była w stanie krzyczeć, dusiła się własnym szeptem. Cisza aż dzwoniła jej w uszach, w kościach, rozchodząc się dreszczem po całym ciele. Czuła na sobie podwójne spojrzenie żółtych oczu, czuła, że zaraz przygwoździ ją do podłogi.

– To twoja bratanica, Klaro. – Tym razem pani Matylda przemówiła cicho, łagodnie. Zupełnie jak nie ona.

Klara Stern nabrała powietrza.

– Wiem. – Potrząsnęła energicznie głową, lecz wciąż nie podnosiła wzroku. – Wiem. Ale nie mogę po nią iść. Zresztą... – Wtedy nasunęła jej się pewna myśl, całkiem logiczna. – Zresztą i tak musiałabym najpierw znaleźć jej... – Ledwo zapanowała nad drzeniem. Ciało. Nie znosiła tego słowa, nie w tym kontekście. Zbyt dobrze wiedziała, jak niewiele dzieli ciało od zwłok, kiedy w grę wchodzi czas. – Musiałabym najpierw namierzyć fizycznie Eleonorę, żeby wiedzieć, gdzie się w ogóle zanurzyła, w którym miejscu, skąd się przeprawiła. Bez tego nie mam szans jej znaleźć.

– Tak, znam ten mechanizm. A na czym dokładnie polega problem?

– Na tym, że Eleonora wyjechała, Matyldo.

– Dokąd?

– Nie wiem! – odparła Klara po raz nie wiadomo już który. Próbowwała zdusić irytację, bo balonik znowu pęczniał. Baloniku, mój malutki, rośnij duży, okrągłutki... – Nie wiem – powtórzyła spokojniej. – Nic mi nie mówiła, po prostu któregoś dnia spakowała się i wyjechała. Nie wiem dokąd. Równie dobrze może być gdzieś we Wrocławiu albo na drugim końcu świata. To było miesiąc temu, a ona nawet raz nie zadzwoniła, żeby...

– Czekaj no – przerwała jej pani Jaga. – Wspominałaś chyba, że Eleonora przesłała ci pocztówkę.

– Tak, ale... Chwileczkę. – Sięgnęła pod stół i wyciągnęła dużą, workowatą torebkę z mnóstwem chwościków, breloczków i innych dupereli doczepionych do paska. Zaczęła w niej grzebać. Niestety, była to stereotypowa damska torebka i znalezienie w niej pocztówki stanowiło spore wyzwanie. – Same zobaczcie. Listonosz chyba niósł ją w zębach...

Rzeczywiście, pocztówka przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Róg, w którym zwykle zamieszczano podpis do zdjęcia na awersie, a zatem informację z ich punktu widzenia najcenniejszą, był wygnieciony i naddarty, a stempel z datownikiem i oznaczeniem urzędu pocztowego oraz sama treść rozmazane, jak gdyby ktoś przejechał mokrą dłońią po papierze. Rozszyfrowanie czegokolwiek nastęczało sporo trudności.

– „Pozdrowienia... Eleonora” – przeczytała pani Jaga.

– Brawo, Sherlocku.

– Ależ dziękuję, Watsonie.

– A to pomiędzy pozdrowieniami a podpisem? Wiesz, te nieistotne bazgroły?

Wziąwszy pocztówkę z dłoni Klary, pani Jaga sięgnęła za siebie, do szuflady, z której po paru sekundach wyłowiła szkło powiększające. Pochyliła się nad rozmazanym pismem.

– Wydaje mi się, że napisała coś o... znajomej porcelanie? Znajomym porcelany? Nie, to nie ma za grosz sensu... Ech, trzeba było zostać farmaceutą, oni mają lepsze oko... i piguły... A co jest z drugiej strony? – Obróciła pocztówkę.

Cały awers zajmowało zdjęcie z lotu ptaka. Wśród gęsto zalesionych gór wznosił się na wpół zrujnowany zamek z wieżą i bramą zwieńczoną spadzistym dachem. Dalej, w głębi, między łagodnymi zboczami majaczyły jakieś współczesne zabudowania, a poniżej dziwna, rozległa plama.

– Hm. To mi nie wygląda na Ćmielów – stwierdziła pani Jaga znad szkła powiększającego. – Ani na Royal Doulton.

Pani Matylda prychnęła.

– Masz dzisiaj przebłysk za przebłyskiem.

– Ha! A jeszcze nie brałam witamin!

– No dobrze. Nie wierzę, że to mówię, ale... – zaczęła Klara.

– Ale co?

– Ramzes – wyrzuciła z siebie wraz z oddechem. – Poprośmy o pomoc Ramzesa. Jest... kim jest, ale wytropi każdego, czy tu, czy tam, nawet bez kotwicy w postaci ciała. Na pewno znajdzie Eleonorę. Zresztą raz już to zrobił, prawda? – dodała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Błąd, Klaro Stern, właśnie popełniłaś niewybaczalny błąd. Sama podsunęłaś im trop. Zaraz go podchwycą, ruszą i nie spoczną, póki nie dotrą do celu – do pytań, które od pół roku słyszysz w każdym swoim śnie. Dlaczego to Ramzes musiał iść po Eleonorę, a nie ty, Klaro? Jak mogłaś? Jak mogłaś, Klaro? Jakim trzeba być człowiekiem, żeby nie pomóc własnej bratanicy? Jakim? Czy strach przed utratą własnego człowieczeństwa zabił w tobie wszelkie ludzkie odruchy?

Co im odpowiesz?

Jednak zamiast tego pani Matylda jedynie odwróciła głowę i zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń. Jej siostra tymczasem, również jakby zasłuchana

we własne myśli, powoli wyciągnęła papierosa z paczki, po czym wetknęła go sobie w kącik ust. Minęły kolejne minuty, zanim zapytała:

– Kiedy ostatnio widziałaś Ramzesa?

Tamtej nocy, cisnęło się Klarze na usta, ale nie popełniła drugi raz tego samego błędu. Tamtej nocy, kiedy wszystko się zawaliło, a Ramzes nas uratował. Gerda. Eleonorę. Mnie. Tak, mnie też. O niczym nie wiecie, prawda? Widzę to po was. Uratował mnie po tym, jak wyjawiałam mu tajemnicę, wielką tajemnicę legendarnej Klary Stern, której nigdy nie wyjawię wam, bo to nie na moje siły, nie na moje siły...

Zamiast tego, trzymając emocje na wodzy, odparła krótko:

– Wtedy.

Chyba obie zrozumiały, co chciała w tym zawrzeć, bo delikatnie pokiwały głowami w idealnej synchronizacji, chociaż każda patrzyła w inną stronę.

– Czemu pytacie?

Pstryknęła zapalniczką.

– Widzisz, dziecko... – Jadwiga Bolesna-Tupatajkowa przerwała na sekundę, żeby zapalić papierosa – ...my również.

– Co?... Jak to?

– Cóż. Jak to ostatnio mawiasz – po prostu.

Klara Stern długo trawiła to, co usłyszała. Przez ten czas pani Jaga zdążyła sprzątnąć kieliszki, ponownie sięgnąć po ćmielowską porcelanę i zaparzyć herbatę.

– Niestety, tym razem kawaleria nie przybyła z odsieczą – odparła, napełniwszy trzy filiżanki mocnym, aromatycznym naparem. Odstawiła imbryk. – Z szanownym Petersem byliśmy zmuszone poradzić sobie samodzielnie. Co skończyło się tak, jak się skończyło.

– Przecież gdyby Ramzes... gdyby wam pomógł... – Wciąż próbowała to zrozumieć, ogarnąć wszelkie implikacje, jakie ciągnęła za sobą ta wiadomość. Wciąż bez rezultatu.

– Zapewne obyłyby się bez strat w mojrach. – Pani Jaga pokiwała głową i ze stoickim spokojem sięgnęła po cukiernicę. – Mila nadal by żyła, a obecna sytuacja rysowałaby się w znacznie ciekawszych barwach.

Wystarczyłaby nic i magiczne paluszki naszej drogiej Matyldy, żeby odnaleźć Eleonorę. A tak... culum srulum.

– Co za skur...

– Dziecko!

– Przecież sama pani klnie!!!

– Ale po łacinie, jak przystało damie.

Klara zacisnęła zęby, żeby nie zawyć.

– I co? Teraz też zamierza go pani bronić? – naskoczyła na Matyldę Bolesną, która dotąd milczała zawzięcie. – Tego... tego...

– Nie.

– No, to chociaż tyle dobrego!

– Daruj sobie ten sarkazm, dziecko.

– Doprawdy, skąd ona czerpie wzorce?

– Zapewne z internetu.

– Nie, ja z wami oszaleję...

– Oszaleć zawsze zdążysz, a teraz słuchaj. Tak, Ramzes rzeczywiście jest istotą zdolną do największych okrucieństw i okropieństw, nigdy się tego nie wypierałam. Powiem więcej. W przeciwieństwie do ciebie przekonałam się o tym na własne oczy. – Skrzywiła się i szybko potrząsnęła głową, gdy opadły ją wspomnienia, których wcale nie chciała oglądać. – Możesz mi wierzyć, nie był to piękny widok.

– A mimo to ufa pani, że...

– Ja nie ufam. Ja wiem. Nie wystawiłby ani mnie, ani moich sióstr z byle powodu na śmiertelne niebezpieczeństwo. Pomógłby nam, gdyby tylko był w stanie. A skoro nie pomógł, to znaczy, że coś się musiało stać. Coś poważnego.

– Bez obrazy, pani profesor, ale jakoś wątpię w ludzkie odruchy scytyjskiego strzygonia.

– Mądra dziewczyna.

– Przyjmijmy zatem na potrzeby dyskusji – rzekła pani Matylda, ignorując siostrę – że ten scytyjski strzygoń nie pozwoliłby, żeby w jego mieście, w jego leżu bezkarnie grasował upiór.

– A co, taki jest honorowy? – zakpiła Klara, lecz starsza kobieta odparowała bez wahania:

– Taki terytorialny. Strzygonie się nie certolą, drogie dziecko. Ramzes rozszarpałby Petersa na strzępy, ledwo ten wylazłby z grobu. Nasza siostra nadal by żyła. – Pani Matylda przerwała, żeby napić się herbaty.

Gorący płyn lekko oparzył jej podniebienie, ale nawet nie zwróciła na to uwagi. – Znam Ramzesa, Klaro. Nie mam złudzeń co do jego natury, najmniejszych, właśnie dlatego, że go znam. Lepiej niż ty. Coś się musiało stać.

– A jeśli są razem?

– Co proszę?

– A jeśli są razem? – powtórzyła Klara, chociaż zdawała sobie sprawę z bólu, jaki te słowa musiały sprawić jej dawnej nauczycielce. – Ramzesa coś ciągnęło do Eleonory, krążył wokół niej. Ona też... nie pozostawała obojętna na te jego sztuczki.

– Sugerujesz, że Ramzes nie zniknął, tylko odszedł? Zostawił mnie dla młodszej?

– Przyjmijmy na potrzeby dyskusji.

Ku jej zaskoczeniu, pani Matyllda nie wybuchła. Nie zbladła nawet. Zamiast tego uśmiechnęła się, mrużąc niewiarygodnie żółte oczy. Przypominała teraz starą kotkę, która z rozbawieniem przyglądała się myszy, młodej, silnej, pewnej siebie – i całkowicie nieświadomej, że nie ma już dokąd uciekać.

– Cóż, w takim razie tym bardziej powinniśmy jak najszybciej się przeprowadzić, żeby ratować Eleonorę ze szponów tego niedobrego, podstępnego Ramzesa. Nie sądzisz?

Mam cię, myszko.

– Tak czy owak, drogie dziewczęta – pani Jaga klasnęła w dłonie – musimy znaleźć Eleonorę, zanim będzie za późno. A najwyraźniej, żeby znaleźć Eleonorę, musimy najpierw znaleźć Ramzesa, który przepadł jak kamień w wodę dobre pół roku temu. Jakies pomysły?

Matyllda Bolesna wyciągnęła dłoń do filizanki i naraz zastygła.

– Gerd.

– Myślisz, że będzie coś wiedział?

– Ramzes mu ufa, może coś mu mówił... albo się z czymś zdradził. Tak, Gerd to dobry trop. Musimy z nim porozmawiać.

Teraz to Klara mogła roześmiać się drwiąco znad papierosa.

– Co?

– Kiedy ostatnio widziałyście Gerda?

Przedtem

Tamtego popołudnia mężczyzna, który od zeszłej soboty był jej sąsiadem zza ściany, stanął w drzwiach kawiarni nieopodal pensjonatu. Z dłonią na klamce wodził wzrokiem po niewielkim, załoczonem pomieszczeniu w poszukiwaniu wolnego stolika. Na zewnątrz od godziny szalała śnieżycą, widoczność spadła do dwóch, może trzech metrów. Stok opustoszał. Część narciarzy ewakuowała się do pobliskiej kawiarni, gdzie siedziała już Eleonora, czekając na swoją szarlotkę na ciepło. Spóźnialscy, dla których zabrakło miejsca, zapakowali się do samochodów i czym prędzej odjechali, póki drogi były w miarę przejezdne.

Później jeszcze długo zastanawiała się, co ją wtedy podkusiło, że wbrew wdrukowanym schematom podniosła rękę i pomachała, by zauważył ją w kącie. Przyptyw elementarnej współczucia dla zmarzniętego człowieka, szukającego schronienia i ciepła? Sympatia dla samotnika zza ściany, z którym mijała się na korytarzu i kuchni, wymieniając co najwyżej zdawkowe „dzień dobry”? Czy instynkt psychopompa, przeczucie osobliwego splotu wydarzeń, który sprowadził ich oboje właśnie tu, właśnie teraz, by zaraz pchnąć ku nieprzewidywalnemu?

– Proszę, niech pan siada – powiedziała, gdy podszedł, ściągając po drodze czapkę, i wskazała mu krzesło przy swoim stoliku. – Śmiało. To jedyne wolne miejsce, jakie zostało po tym najeździe Hunów.

– Nie chciałbym przeszkadzać...

– W czym? W picciu kawy? Niech pan się nie wygłupia. Proszę.

Odwiesił kurtkę na oparcie krzesła i poszedł do baru. Wrócił po paru minutach z herbatą w dużym kubku z przezroczystego szkła. Pachniała intensywnie malinami i ziołami. Jedna gałązka rozmarynu wystawała zabawnie ponad krawędź, jakby rozglądała się z zaciekawieniem po kawiarni.

– Może się w końcu przedstawię, bo tak się widujemy i widujemy od tygodnia, a jakoś jeszcze nie było okazji. – Wyciągnął do niej dłoń nad stolikiem. – Hubert Dobrzyń.

– Eleonora Stern.

- O. Jakie piękne imię. Bardzo nietypowe jak na te czasy.
- Pańskie również nie trafia się zbyt często.
- Jestem nieco starszy od pani – odparł ze śmiechem.

Nie dało się nie zauważyć, że z powodzeniem mógłby być jej ojcem, choć nigdy nie nazwałaby go podtatusiałym. Bibliotekarski umysł Eleonory błyskawicznie rejestrował i zapamiętywał szczegóły – sweter z melanzowej dzianiny, zachowawczy w kroju i kolorze, ale dobrej jakości. Przy szyi wystawał dyskretnie skraj kołnierzyka koszuli w drobną kratkę. Dobrze przystrzyżone włosy, czyste, krótkie paznokcie, zadbane dłonie o wydatnych ścięgnach, które zawsze kojarzyły jej się z siłą. Zegarek na metalowej bransoletce, analogowy. Ot, niezłe sytuowany, schludny facet w sile wieku, który nie próbował udawać młodszego.

– Może trochę – odparła przekornie, by zaraz zmienić temat. – Pan tu często bywa, prawda? W naszym pensjonacie.

– Skąd ten wniosek?

– Ze słów właścicielki. Wspomniała, że będę miała za ścianą bardzo uprzejmego sąsiada. Albo mydliła mi oczy, albo znała pana już wcześniej. Cóż. Moje późniejsze obserwacje dowiodły, że pani Ewa wiedziała, co mówi.

– A cóż takiego pani zaobserwowała?

– Znalezienie w kuchni salaterki zajęło mi trzy dni. Już prawie pamiętam, gdzie leżą czyste ścierki. Wciąż szukam tarki, bo naszło mnie na mizериę, i pomału zaczynam rozważać, czy sobie tej tarki po prostu nie kupić, w ramach nietypowej pamiątki z Jedliny. A pan porusza się po tej kuchni jak po własnej.

– To widać? – Zaskoczyła go.

– Widać. Nawet pan nie patrzy, tylko sięga po to, czego akurat potrzebuje. Odruchowo. A do wypracowania odruchu trzeba czasu, przyzwyczajenia, powtarzalności. Rutyny wręcz.

Wyraźnie wzbudziła jego zainteresowanie, bo pochylił się nieco, opierając łokcie na krawędzi stolika. Miał ładne, piwne oczy.

– Jest pani bystrą obserwatorką, Eleonoro. Co jeszcze pani zauważyła?

Szybko przemyślała sprawę.

– Nie lubi pan gotować. Ma pan wprawę, ale nie wkłada pan w to zbyt wiele serca. I jest pan... oszczędny.

Dobrzyń postukał palcem w swoją szklanke.

– Właśnie zapłaciłem trzynaście złotych za herbatę. Nie nazwałbym tego oszczędnością.

– Chodziło mi raczej o styl bycia – wyjaśniła. – Pański strój, sposób, w jaki pan się porusza, jak pan układa deskę na blacie... Hm. Może rzeczywiście „oszczędny” to złe słowo, za dużo w nim wieloznaczności, a pan nie jest wieloznaczny.

– Nie? – W jego głosie pojawiła się osobliwa nuta, jednocześnie zawodu i satysfakcji, lecz Eleonora w ogóle nie zwróciła na nią uwagi, bez reszty pochłonięta poszukiwaniami odpowiedniego słowa.

– O, już wiem. Optymalny. Ciekawi mnie, czym pan się zajmuje.

Roześmiał się.

– Ekonometrię. Analizę danych, optymalizacją procesów... Nudziarstwo. A przyjeżdżam tu już od dwunastu lat – dodał z westchnieniem.

– Czyli trafiłam – podsumowała z dumą.

– W samo sedno – przyznał i w dowód uznania lekko skłonił przed nią głowę. – A pani, Eleonoro? Niestety, nie jestem tak spostrzegawczy jak pani. Potrafię analizować dane, z ludźmi idzie mi znacznie gorzej. Zauważyłem, że jest pani bardzo punktualna i schludna, ale nie umiem pani rozgryźć. Na przykład te przyciemnione okulary. W ogóle do pani nie pasują. Nigdy ich pani nie ściąga, a jednak odnoszę wrażenie, że czuje się pani z nimi nieswojo.

– Zalecenie lekarza – odparła zwięźle.

Dobrzyń był jednak lepszym obserwatorem, niż sądził. Zauważył, jak mimowolnie ściągnęła ramiona, zacisnęła usta. Przypadkiem trącił wrażliwą strunę.

– Och. Przepraszam. W sumie to nie moja sprawa, nie wiem, czemu... To może wet za wet? – zaproponował. – Krótka wymiana krępujących pytań? Chyba jestem to pani winien.

Aż się zaśmiała, bo propozycja brzmiała tak absurdalnie, że nie dało się jej inaczej skwitować. Byli przecież dwojgiem całkiem obcych sobie ludzi, którzy przypadkiem zajęli wspólny stolik w zatłoczonej kawiarni. Owszem, rozmawiali, mimo to brakowało im swobody i przestrzeni nawet na rozprostowanie nóg, a co dopiero mówić o nietaktownych pytaniach i niewygodnych odpowiedziach.

Tyle że coś tu się nie zgadzało, uświadomiła sobie Eleonora. To, co widziała na własne oczy, rozjeżdżało się z tym, co usłyszała przed

momentem. Nieznacznie, to prawda, na tyle nieznacznie, że ktoś inny zapewne nie zwróciłby nawet uwagi.

Nie byłyby sobą, gdyby nie wetknęła palca w tę szparę.

„Kiedyś tego pożałuję”, westchnęła w duchu.

– Dobrze – odparła głośno. – Mówi pan, że przyjeżdża tu od dwunastu lat. A jednak... nie umie się pan tu odnaleźć, prawda?

Trafiła. Poznała to po tym, jak wciągnął powietrze przez nos.

– Znów w sedno. – Pokiwał głową. – W ustach faceta po pięćdziesiątce pewnie zabrzmiałoby głupio, ale... Po raz pierwszy jestem w tym pensjonacie sam. Wcześniej przyjeżdżałem z żoną. Zmarła w zeszłym roku.

– Och. – Poczowała, jak na policzki występuje jej rumieniec.

– Nie, nie ma o czym mówić, naprawdę – zapewnił szybko Dobrzyń. – Przez ostatni rok zdążyłem to sobie mniej więcej poukładać.

– Mniej czy więcej?

– A to już różnie bywa... – odrzekł jakby do siebie, z oczami utkwionymi gdzieś w nieokreślony punkt. Chwilę później otrząsnął się z zamyślenia i podniósł wzrok. – Eleonoro... ma pani może ochotę na małą wycieczkę?

Gdyby wtedy wiedziała, jak to się dalej potoczy i jak się skończy, gdyby wiedziała, jaką cenę przyjdzie zapłacić za tę ciekawość jej samej, lecz nie tylko...

Cóż. Pewnie zgodziłyby się i tak.

Zgodziłyby się, a potem znalazła w dokładnie tym samym miejscu co teraz – w swoim pokoju, pośrodku nocy, ciemnej i głuchoj, zmywając krew mężczyzny, którego dopiero co poznała.

Teraz

Klara wspominała, że pijesz, ale widzę, że owijała w bawełnę.

Gerd Falk nie zdążył nawet przestąpić progu willi przy Lipowej, a już gorzko pożałował, że jak ostatni dureń dotrzymał danego słowa. Biedna staruszka, psiamać...

Zanim się obejrzał, kiepski poranek po kiepskiej nocy przeszedł w równie kiepskie popołudnie. Przez tępy ból, który na dobre rozgościł się między jego brwiami, nie mógł się na niczym skupić. Nie żeby miał na czym – budzik w kształcie pokemona, największy skarb czterolatka z ewidentnym przerostem migdałków, był już naprawiony i czekał na odbiór. Części posegregowane. *Czarodziejska góra* przeczytana do ostatniej kropki.

Sęk w tym, że niedobór zajęć skutkował u niego nadmiarem myśli. A nadmiar myśli... cóż. Ostatnio zawsze kończył się kacem.

Pewnie dlatego Gerd odebrał, kiedy około trzynastej w zakładzie zadzwonił telefon. Pewnie dlatego się zgodził.

– Zegarmistrz, słucham.

– Ach, dzień dobry, serdeńko – zaczął po drugiej stronie słodkim falsetem. – Poratujesz starą kobietę w potrzebie?

– A to zależy od potrzeby – odparł przewrotnie.

– Och, nie kuś, hultaju, nie kuś starowinki! – Zaśmiała się. – Bo jeszcze się zgodzę i będzie ci przykro. Chodzi o zegar po stryjecznym wuju babki nieboszczki, niech spoczywa w pokoju. Ale tylko babka, bo wuj to był skończony drań, birbant i niecnota, niech go żrą robaki.

– Zakładam, że się zepsuł.

– Wuj? Ja myślę, zmarło mu się w trzydziestym czwartym.

– Zegar.

– A tak, tak, zepsuty. Na amen zepsuty.

Gdzieś w tle coś huknęło, brzęknęło, by na koniec jęknąć żałościwie, przeciągle.

– Co to było?! – zapytał Gerd, odruchowo podrywając się z krzesła.

– Agonalny jęk szacownego mechanizmu. Przepraszam, czy szacowny mechanizm mógłby?... Dziękuję. Składasz wizyty domowe, serdeńko?

– Eee... raczej nie. Niech pani zamówi transport. Znam jedną firmę, która...

– To nie worek ziemniaków, serdeńko – nie pozwoliła mu dokończyć – ani regał ze szwedzkiego paździerza w promocyjnej cenie, tylko oryginalny Gustav Becker, rocznik dziewięćdziesiąty pierwszy. Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty pierwszy.

– Pierwsza seria?

– Sam rozumiesz. Kawał wiekowego kłamota.

– Okej. Okej, w takim razie przyjadę. Może...

– Bardzo zależy mi na czasie. – Rozmówczyni znów przerwała mu swobodnie, nie przestając ćwierkać, co było trochę niepokojące. Aż miał ochotę odsunąć się na bezpieczną odległość. – Wiesz, lata już nie te, ostroga coraz bardziej doskwiera, mogę nie doczekać, aż mi Gutek znowu zabimba jak w czterdziestym szóstym... Chętnie dopłacę za fatygę i taryfę z mej nędznej emerytury, bylebyś przyjechał jeszcze dziś. Najlepiej zaraz.

Przytknął palce do brwi i kilka razy mocno potarł, w nadziei, że wyciśnie ból jak nabrzmiałego pryszczu. Becker z pierwszej serii... Miał słabość do starych werków.

– No... no dobrze – mruknął wreszcie i rzucił okiem na zegarek – ale nie wyrobię się wcześniej niż na...

– Doskonale. Czyli zaraz. Słowo harcerza?

Gerd westchnął.

– Słowo harcerza. – Znalazł piszący długopis, a spod blatu wyszarpnął jakąś kartkę. – Niech pani poda dokładny adres.

Dałby głowę, że zanim odpowiedziała, głosem już zupełnie nierozczwierkanym, najpierw się zaśmiała. Cicho, gardłowo. Kpiąco.

– Aleja Lipowa pięć, serdeńko.

Trzeba się było wtedy rozłączyć. I uciec do Szwecji pierwszym promem, choćby i z paździerza.

Jeśli sędzić po ogólnej kolorystyce i papierosie w kąciku uszminkowanych na wściekły róż ust, drzwi otworzyła mu pani Jadwiga. A jeśli sędzić po triumfalnym uśmiechu, to właśnie z nią rozmawiał. Zaciśnął mocniej palce na rączce torby, w której przywiózł narzędzia.

– Starowinka z potrzebą, co?

– Ma się ten urok. Dekada mniej, serdeńko, i brałbyś się teraz do innego mechanizmu. – Puściła do niego oko i skinęła, żeby wszedł do środka.

Na widok dziewiętnastowiecznego zegara w korytarzu Gerd złapał się za głowę. Sama skrzynia prezentowała się doskonale – żadnych uszczerbków, nie mówiąc już o banalnym kurzu na ciemnym drewnie. Szyba w witrażu była oryginalna, fazowana, od razu rzuciło mu się to w oczy. Za to werk wyglądał, jakby go coś staranowało, co rzucało się w oczy o wiele bardziej.

– Co, na litość boską, przytrafiło się temu zegarowi?! – jęknął Gerd.

– Ja.

Z głębi korytarza wyłoniła się pani Matylda. Przystanąwszy na granicy światła i cienia, zmierzyła zegarmistrza surowym spojrzeniem i stuknęła wymownie laską o podłogę.

– Życzysz sobie być następny?

– O ja pier... – Zacisnął dłoń na ustach, żeby nie powiedzieć tego, co miał ochotę. – Wie pani co, kogoś innego zabiłbym śmiechem za taki tekst.

– Nie wątpię. No, co tak stoisz? Jemu już gorzej nie będzie. Chodź.

– Zaczyna się... – mruknął, po czym odstawił torbę i z zapalem skazańca zmierzającego na szafot ruszył w ślad za Bolesnymi.

W kuchni, przy stole, siedziała Klara Stern, najwyraźniej równie szczęśliwa co on. Schudła, odkąd się ostatnio widzieli.

Kiwnęła głową na powitanie.

– Siadaj.

Usiadł więc. Zabawne. Zaczął siwieć, a w tym domu, w tej kuchni znów czuł się jak mały chłopiec u babci, sterowany komendami głosowymi: nie rusz, zamknij, nie stój tam, siadaj tu, masz, zjedz, jak ty wyglądasz, matka cię chyba nie karmi.

– Napijesz się czegoś, serdeńko? – zapytała pani Jaga z dłonią na uchwycie szafki. – Kawy, herbaty, spirytusu salicylowego?

– Mamy też wafelki – dodała pani Matylda.

– Będzie czym zakąsić.

– Drogie panie, ładnie tak szydzić z depresji? – wycedził Gerd. Jak one to robiły, że ledwo usiadł, a już go zdążyły wykończyć?

– Z depresji? – powtórzyła za nim młodsza siostra Bolesna. – Skądże znowu. Depresja to poważna sprawa.

– Z szukania pomocy na dnie flaszki? Jak najbardziej.

Westchnął ciężko. Szwecja. Tak.

Ostatecznie wybrał herbatę.

– Chyba się stęskniłyście, co? – zapytał, kiedy oprócz herbaty podstawiły mu pod nos słoiczek z konfiturą wiśniową.

– Jak twoja głowa?

– Poza permanentnym kacem? – Gerd wzruszył ramionami. – Cała. Działa. Bez zmian. – Ostrożnie dodał do herbaty dwie łyżeczki konfitury i zaczął mieszać. Napar pociemniał jeszcze bardziej, nabierając pięknej rubinowej barwy. – A co słyhać u szanownych pań? Oprócz tego, że rozwaliłyście w drobny mak mechanizm oryginalnego beckera, żeby mnie tu zwabić.

Siostry spojrzały po sobie.

– Pomyślmy... – mruknęła pani Jaga. – Tak w telegraficznym skrócie: odnawia mi się ostroga w lewej pięcie, dach w jednym miejscu przecieka, na strychu załęgły nam się nietoperze, Matyllda angstuje, a Roy Keane przez cały luty miał katar. Inhalowałaś kiedyś papugę?

– Eee... nie?

– Nie polecam, to kompletnie nic nie daje. Ach, no i jesienią przyjęłyśmy na stancję dwoje lokatorów, żeby podreperować domowy budżet. Rodzeństwo. Sympatyczną, acz regularnie prześladowaną przez los i krewnych dziewczynę oraz jej młodszego brata...

– ...cwaniaka i bęcwała.

– Dziękuję, Matylldo, prawie zapomniałam dodać. Książkę by można napisać o tym, co nawyprawiali – zwróciła się z powrotem do Gerda. – Zaczęło się od tego, że brat cwaniak i bęcwał wszedł w nieplanowaną interakcję z Milą, która trochę się już wtedy rozmijała z rzeczywistością, wskutek czego otrzymał od niej pewną nić. Od Mili, nie rzeczywistości.

– Jedną z tych nici? Waszych nici? – upewnił się Gerd. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, chociaż od starej kuchni nieustannie biło ciepło żywego ognia, który buzował pod płytą.

– Nie inaczej. Nić tę następnie przerwał, gdyż dlaczegoż by nie.

– A to źle?

– Matylldo, jak to będzie po łacinie: „w ciul”? Bo nie chciałabym, by zabrzmiało to wulgarnie.

– *Ad mentulam*. W tej nici była dusza człowieka, który zginął w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, podczas oblężenia Breslau – wyjaśniła zwięźle Matyllda Bolesna. – Przerwanie nici uwolniło duszę, a ta powróciła w postaci upiora.

– A to źle – stwierdził Gerd, tym razem bez żadnych wątpliwości.

– *Ad mentulam*. Tylko bardziej.

– Tak się przypadkiem złożyło – podjęła pani Jaga – że ten konkretny upiór był pradziadkiem naszych lokatorów. I również przypadkiem to właśnie my przyłożyłyśmy rękę do jego śmierci. Acz na wyraźną prośbę ślubnej małżonki – podkreśliła z godnością.

– Ciekawa rodzina. Jest tam w ogóle ktoś... normalny?

Siostry Bolesne tylko spojrzały na niego z politowaniem.

– Jak się już zapewne domyślasz – pani Jaga ledwo dopaliła papierosa, a już sięgnęła po następnego – upiór po zmartwychwstaniu zgłaszał pewne anse względem zarówno zdradzieckiej połowicy, jak i nas trzech. W sumie trudno się człowiekowi dziwić. Zanim udało nam się go pozbyć na dobre, zdążył sporo narozrabiać.

– Czyli działa się.

– Cóż, podbiłyśmy nieco *body count*. Mila nie żyje, Matylida dogorywa, a ja się męczę z ostrogą.

Starsza siostra zerknęła na młodszą z ukosa.

– Wiesz, Jaguś, coraz bardziej skłaniam się ku opcji „mumia powraca i krzywdzi”.

– Wyszukuję ci piękny sarkofag. Z poręczą, żeby ci się łatwiej wstawiało. No, a co tam u ciebie, moczymordo? Bo wyglądasz fatalnie.

Gerd z westchnieniem odgarnął włosy z czoła.

– Dlaczego ja tu przyjechałem...

– Bo jesteś porządnym facetem – odparła Matylida.

– Chociaż moczymordą – dodała jej siostra.

Klara nic nie powiedziała, tylko przewróciła ostentacyjnie oczami. Uśmiechnął się do niej krzywo.

– No to jedno już wiem. A po co przyjechałem, tak w zasadzie? – Oblizał gorącą łyżeczkę i upił łyk herbaty. Była doskonała, słodko-gorzka, z cierpkim wiśniowym posmakiem. – Bo domyślałam się, że wcale nie chodziło o zegar po... kimś tam. Swoją drogą, nie musiałyście go naprawdę niszczyć, wiecie o tym?

– Będziesz miał zajęcie. Ale to potem, teraz słuchaj.

Opowiedziały mu, jedna przez drugą, o Eleonorze i telefonach z zaświatów, choć on sam stwierdziłby, że raczej przerzuciły na niego część ciężaru, który bezskutecznie próbowały dźwignąć własnymi siłami, i liczyły, że wstanie. A przynajmniej tak właśnie się czuł. Słuchał, wpatrując się w resztki herbaty w swojej filiżance.

– Przykro mi, pani Matylde – odezwał się, gdy skończyły, przygwożdżony do ziemi. – Przykro mi, naprawdę. Ale...

– Nie masz pojęcia, gdzie jest Ramzes.

– Nie. Ostatni raz widziałem go jeszcze w szpitalu. Zaraz po mojej solówce z Juniorem.

Matylde Bolesna zamknęła na chwilę oczy.

– Potem nie kontaktował się z tobą?

– Nie. Żadnych wiadomości, żadnych zleceń. Kwiatów też mi nie przysłał. Cisza w eterze.

– A Eleonora?

Roześmiał się. A potem dotarło do niego, że to nie był żart. Pytała poważnie. Naprawdę zakładała, że on i Eleonora... że oni... że wciąż byli jacyś oni.

– Eleonora... No więc nie. Z Eleonorą też nie rozmawiałem. Ona... – Próbował to jakoś ująć, tak żeby to miało sens i żeby się przy okazji nie porzygać tym wszystkim, co razem ze słowami podchodziło mu do gardła. Tyle że z każdym uderzeniem serca ból między jego brwiami tętnił i tętnił coraz silniej, jakby coś próbowało się przebić od środka, jakaś myśl, jakaś bardzo ważna myśl...

Poderwał głowę.

– O co poszło tym razem?

Klara Stern dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że zwracał się właśnie do niej.

– Słucham?

– O co się tym razem pozarłyście?

– O nic! – warknęła, prostując się natychmiast. Gerd dałby głowę, że zaraz rozłoży kołnierz i zasyczy, żeby odstraszyć drapieżnika. Niczym agama kołnierzasta w obliczu śmiertelnego zagrożenia, drobna, a jednak przebiegła. – Skąd w ogóle taki pomysł?

– Ano na przykład stąd, że Eleonora nie jest impulsywna. Powiedziałbym, że wprost przeciwnie. Prędzej zawiąże w sobie wszystko na supełek, niż zdrowo pieprznie drzwiami. Więc tak sobie myślę, że jeśli z dnia na dzień spakowała się i wyjechała bez słowa, to znaczy, że musiała mieć konkretny powód. Z jakiegoś powodu obstawiam panią, panno Stern.

Zgrzytnęła zębami tak, że mało nie zwichnęła sobie stawu. Była wściekła.

– No tak. – Poderwała się na równe nogi. Odepchnięte krzesło nieomal się przewróciło pod ciężarem torebki, którą zawiesiła na oparciu. – Jasne. Jasne. Jak zwykle wszystko przez tę niedobrą ciotkę, co?

– A nie?

– Brednie – syknęła, patrząc na niego z góry. Zgarnęła ze stołu telefon, chwyciła torebkę. – Brednie. Nie wiem, dlaczego w ogóle cię słucham, pijaczyno.

– Klaro, wróc.

Zatrzymała się w progu, dysząc. Długo walczyła z wieloletnim odruchem, który nakazywał jej posłuchać.

– Pani profesor – wydusiła wreszcie, starając się za bardzo nie syczeć. – Z całym szacunkiem, pani profesor, ale jestem już nieco za stara, żeby bać się jedyńki. A innego bata pani na mnie nie znajdzie.

Chwilę później do kuchni doleciał huk zatrzaskiwanych drzwi. Gerd błyskawicznie odwrócił się w stronę sióstr.

– Ona coś wie. Mówię wam.

– Ty też – pani Matylda nie omieszkała mu wytknąć. – Chciałeś się jej pozbyć.

– Poniekąd – przyznał z ociąganiem.

– Dlaczego?

– Bo jej nie ufam – tym razem Gerd odparł bez zawahania. – Na pewno nie w tej kwestii. Widzicie, nie wiem, gdzie jest Ramzes, ale... Wiem, gdzie ma leże.

Wysiedli z taksówki na wysokości Hali Targowej i dalej ruszyli spacerem – pani Jaga i jej papieros przodem, kilka metrów za nią zaś pani Matylda, dla pewności wsparta na ramieniu zegarmistrza.

– Mówiłam poważnie – zagaiła, gdy wchodzili na most Piaskowy. Po ciągłych opadach deszczu wody Odry sięgały wysoko, zasłaniając krasnoludka, który przycupnął na nabrzeżu w dole, po prawej, żeby przeprać sobie portki. – Jesteś porządnym facetem.

– Chociaż moczymordą.

– Nikt nie jest bez wad. No i co tak patrzysz? Naprawdę sądziłeś, że zaprzeczę?

– Możliwe, że się przez moment łudziłem. Ale spokojnie, już mi przeszło.

– Tylko zrób coś z tym, żebym nie musiała znów wywijać laską. Ręka mnie już boli.

Kątem oka widziała, jak zbierał się w sobie. Zmienił się przez ostatnie miesiące, i wcale nie miała na myśli wyglądu, chociaż wydarzenia sprzed pół roku pozostawiły bliznę na jego czole, we włosach zaś pierwsze siwiejące pasma. Wcześniej postrzegala go jako chłopaka – owszem, po trzydziestce, wtajemniczonego w sprawy obce przeciętnemu człowiekowi, lecz wciąż zaledwie chłopaka. Teraz spod spochmurniałej miny, spod oczu zmęczonych koszmarami i pićm wyzierał męczyzna.

– Wszystko się spierdoliło, pani Matylde – rzekł wreszcie. – Wszystko.

– Nie życzę sobie słućać podobnych rzeczy, młody człowieku.

– Bardzo przepraszam, ale ładniej tego ująć nie umiem.

– A ujmuj sobie, jak chcesz. Tylko nie mów, że wszystko. Jeszcze nie. Jeszcze możemy coś rozplątać.

– Niby co? Jak? Mój ojciec zamordował Sternów. Rodziców dziewczyny, którą kocham. Ludzi, może nie niewinnych, ale... ale ludzi. I on nie ma z tym żadnego problemu. A ja mam, pani Matylde, mam z tym cholerny problem. Straciłem rodzinę, straciłem Eleonorę, wyrzuty sumienia zżerają mnie żywcem.

– Za cudze przewiny, nie twoje – zauważyła. – A zatem niepotrzebnie, wbij to sobie do głowy. Ty jesteś porządnym człowiekiem, Gerardzie Falku.

– Porządnym człowiekiem oraz synem mordercy. Jednocześnie. Za cholerę nie umiem tego pogodzić, ani tu – przytknął wskazujący palec do czoła – ani tu – dodał, przesuwając dłoń niżej, na serce. U kogoś innego Matylde Bolesna skwitowałaby ten gest prychnięciem, Gerd jednak nie miał skłonności do efekciarstwa. – A teraz, jakby wciąż było mi mało atrakcji, dowiaduję się, że pani Mila nie żyje, wy straciłyście moc, Ramzes zniknął, a Eleonora w każdej chwili może utonąć w czasie, nie wiadomo gdzie i kiedy. Wszystko się spierdoliło – powtórzył z goryczą. – Nie wiem, czy nawet z nićmi zdołalaby pani to naprostować.

– Zdołalabym. Ale nie chciałbyś wiedzieć, jakim kosztem.

Minęli bibliotekę na Piasku i przytłaczającą bryłę kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, zbyt masywną i ponurą jak na tak wąską uliczkę, zwłaszcza w kontraście do znacznie wdzięczniejszej

barokowej cerkwi po przeciwnej stronie ulicy. Pani Jaga zatrzymała się nieco przed nimi i dopalając papierosa, czekała, aż ją dogonią. W intensywnie czerwonym płaszczu przypominała plamę krwi na wiekowym kamieniu.

– Dokąd teraz?

– Tam. – Gerd skinął głową w kierunku kolejnego mostu kawałek dalej, po prawej.

Pani Jaga zmarszczyła brwi.

– Na Ostrów? – upewniła się.

– Na Ostrów – przytaknął.

– Pozwolę sobie zacytować naszego, pożałuj Boże, lokatora: seryjnie? Leże strzygonia w samym sercu kościelnej ziemi?

– Widać nawet Ramzes ma poczucie humoru.

Matylda Bolesna pokręciła głową.

– Owszem, ma, ale to nie jest żart. Powiedziałabym raczej, że wiadomość. Przesłanie. Albo – dodała z kpiącym błyskiem w oku – dla lepszego zobrazowania intencji, strumień moczu oddany na bezsilnego przeciwnika.

– Ach, no tak. Ramzes.

– Ramzes. Idziemy, proszę wycieczki.

Chociaż był środek tygodnia, a pogoda wciąż wahała się, czy bardziej ciągnie ją ku zimie, czy ku wiosnie, na Ostrowiu Tumskim nie brakowało turystów, którzy spacerowali bez pośpiechu i fotografowali, co popadnie – majestatyczną Odre, setki kłódek na balustradach mostu Tumskiego, rzekomo gwarantujących właścicielom miłość aż do grobowej deski, a dalej, za mostem, niskie zabudowania Ostrowa i górującą nad nimi strzelistą sylwetę katedry.

– Oczywiście. Oczywiście – powtarzała pani Matylda z narastającą satysfakcją, gdy mijając grupki turystów, podążali brukowaną ulicą. – Ostrów Tumski. Oczywiście!

– A mogłabyś mnie uświadomić, cóż w tym takiego oczywistego? – poprosiła pani Jaga.

– Ano to, że właśnie stąd wypączkował Wrocław. Ostrów Tumski to rdzeń tego miasta.

– A przy okazji poświęcona ziemia – zauważyła jej siostra. – Na dodatek wyspa. Nie wiem, czy dobrze kojarzę, ale strzygonie chyba nie mogą przekroczyć płynącej wody?

– Mogą, odkąd wynaleziono coś takiego jak most. To bardzo ułatwia sprawę. Poza tym nie wiem, czy pamiętasz, ale na początku dziewiętnastego wieku...

– Och, tak, jakże mogłabym zapomnieć.

– ...kiedy po zdobyciu miasta przez wojska napoleońskie wyburzano fortyfikacje, jedną z odnóg Odry zasypano. Pozostałością tamtego starego koryta jest staw w ogrodzie botanicznym. A z wyspy tym sposobem zrobił się...

– Półwysep. Sprytnie.

– Ale święceń to chyba nie odwołało, co? – Gerd zerknął sceptycznie na starszą panią u swego boku.

– Kiedyś wierzono, że zmarłych należy chować jak najbliżej Boga. Wiesz, na wypadek gdyby modlitwy, spowiedź, leżenie krzyżem oraz inne magiczne rytuały nie wystarczyły, by zasłużyć na zmartwychwstanie w miłych warunkach. Ot, taka polisa na wieczność.

– Przezorny zawsze ubezpieczony.

– Nie inaczej. Najbliżej Boga siłą rzeczy było w kościele. Niestety, nawet krypty dla zasłużonych nieboszczyków miały ograniczoną pojemność, a zwłok skompresować metodą spopielenia się nie godziło, gdyż tak czynili wyłącznie ci straszni poganie. Na szczęście cudowna gwarancja niebios sięga tam, gdzie kościelny cień. I tam też, z tej właśnie przyczyny, sięgają kościelne cmentarze. Poświęcona ziemia. Plus chodząca świętość w osobach rozlicznych sukienkowych – dodała jadowitym tonem.

– Pani chyba nie przepada za księżmi, co?

– Jestem stara, drażnią mnie. Za dużo gadają o wieczności.

– Wszyscy cię drażnią, Matylde.

– Też fakt. – Zatrzymała się i uniosła laskę. – Piotr i Paweł, Święty Krzyż, Idzi, Jan Chrzyciel, Marcin – wymieniła, obracając się i wskazując laską kolejne budynki. – Kościół na kościele.

– I cień na cieniu – dopowiedział sobie Gerd. – Ha. Czyli Ostrów Tumski to w sumie jeden wielki potencjalny cmentarz.

– A kto zamieszkuje cmentarze?

– Martwi.

– Zuch-chłopak – pochwaliła bez cienia sarkazmu w głosie. – Aczkolwiek osobiście uważam, że Ramzes ma po prostu w głębokim poważaniu i moc płynącej wody, i moc chrześcijańskiego kropidła.

– Bo jest zdeklarowanym ateistą?

– Bo jest stary. By nie rzec – prawieczny. Ta ziemia, rdzeń, serce Wrocławia, była jego leżem na długo przed tym, jak położono tu pierwszy kamień pod kościół. Nie ma takiej siły, na tym świecie czy tamtym, która by go stąd wygnała.

– Tak, to zdecydowanie ma sens – przyznał Gerd. – To jak? Obstawiacie jakiś konkretny adres?

– Katedra? – podsunęła pani Jaga. – Mężczyźni lubią duże obiekty.

– Nie ten. Ten mężczyzna lubi obiekty wiekowe. – Matylda dumiała przez chwilę, zanim orzekła: – Idzi. Idzi jest najstarszy.

Zegarmistrz uśmiechnął się z uznaniem.

– No brawo, pani Matyldo. Blisko, naprawdę blisko.

Jasna, zadbaną kamienicą stała w jednym z zaułków nieopodal kościoła świętego Idziego. Dalej, po lewej, widać już było drzewostan ogrodu botanicznego i uchyloną furtkę. Okna na parterze wyposażone były w kraty, a dostępu do wnętrza budynku bronił nowoczesny domofon. Gerd podszedł, żeby wpisać kod. W tym czasie pani Matylda rozglądała się bacznie.

– Kanonia. Elegancko, dyskretnie, na uboczu... i w doskonałym sąsiedztwie – dokończyła, wskazując na rozległy neogotycki gmach z czerwonej cegły, który dominował nad uliczką.

– Na lewo żeński klasztor, a na prawo... Archiwum Archidiecezjalne i Biblioteka Kapitulna – odczytała treść jednej z tabliczek zawieszonych przy wejściu pani Jaga. – No proszę. Dla Ramzesa to prawie jak Disneyland. Tyle atrakcji pod samym nosem.

– Panie przodem – Gerd zaprosił siostry do kamienicy.

Minąwszy piętro, gdzie mieściła się kancelaria adwokacka, wędrowali dalej. Wspinaczkę aż na poddasze obie siostry zniosły z milczącą godnością, choć trzaskanie, z jakim biodro Matyldy przez całą drogę protestowało przeciwko kolejnym stopniom, nie uszło niczyjej uwadze.

Wejścia do leża Ramzesa broniły niepozorne drzwi z czterema zamkami.

– Pustawo – podsumowała pani Jaga, rozejrzawszy się po zacisznym pomieszczeniu z niewielkimi lukarnami.

Rzeczywiście. Spodziewali się ton książek i szpargałów upchniętych na regałach, starych obrazów, map i antyków z wszelkich epok i stron świata, tymczasem – nie licząc prostego uszaka i stolika z ciemnego

lakierowanego drewna, które stały pod jednym z okien – poddasze świeciło pustkami. Żadnych mebli, żadnych zabytków, żadnych trofeów. Nic.

– Spodziewała się pani przytulnych wnętrz w stylu prowansalskim?

– Raczej katakumb. Wszystko powyżej tego standardu uznaję za przyjemny bonus. – Obejrzała się z zaciekawieniem na siostrę. – Nigdy tu nie byłaś, Matyldo?

– Nie, tu akurat nie. To leże strzygonia, na litość boską, nie garsoniera – dodała. Raz jeszcze powiodła wzrokiem po poddaszu. – No dobrze. Szukajmy zatem wskazówek.

– Bardzo chętnie, Matyldo, tylko gdzie? Mamy opukiwać ściany i strop? Szukać tajnych przejść do podziemnej groty z nietoperzami i salą tortur?

Pani Matylda wskazała stolik pod oknem.

– Zaczęłabym od tego.

Po prawej, wzdłuż krawędzi, leżała schludna sterta codziennej prasy. Obok, od strony fotela, bieliła się niepozorna filiżanka. Gerd podszedł bliżej i szybko przewertował gazety.

– Dzienniki, same lokalne tytuły. Najstarsze numery na spodzie, na wierzchu najnowszy z... Hm, z zeszłego roku.

Pani Jaga z marsową miną przyglądała się tej scenografii. Gdyby nie warstwa kurzu i charakterystyczny zaduch dawno niewietrzonego pomieszczenia, można by sądzić, że ktoś ledwie przed momentem przerwał poranną prasówkę i skoczył do sklepu po coś słodkiego do kawy. Wszystko wyglądało tak zwyczajnie, tak naturalnie... Coś tu było bardzo nie tak.

– Ha! – mruknęła ni to do siebie, ni to do nich, kiedy mgliste przecucie skryształizowało się w konkret.

– No? No mówże wreszcie!

– No więc jedno mnie zastanawia. Powiedzcie mi, mili moi... na co strzygoniowi filiżanka?

Oboje popatrzyli na Matyldę, oczekując, że będzie znała odpowiedź.

– Nie widzę w tym nic dziwnego – odrzekła. – Ramzes lubi dobrą herbatę.

– Och, jasne, wszystko pięknie, tylko...

– Tylko co? – odwarknęła jej siostra, bo już pomału traciła cierpliwość.

– Widzisz tu jakiś czajnik?

Matylda Bolesna bez słowa podeszła do stolika. Gerd na wszelki wypadek odsunął się na bok.

Filizankę, podobnie jak spodek, na którym stała, ozdobił złoty wrąbek i delikatny rysunek jakiejś rośliny o fioletowym kwieciu, przypominającym lawendę albo werbenę.

– Royal Doulton?... – zapytała pani Jaga, kiedy jej siostra odwróciła porcelanowe naczynie do góry dnem, żeby przyjrzeć się sygnaturze.

– Ka pe em – odczytała pani Matylda. – Coś mi to mówi, coś mi to mówi... – mamrotała przez moment pod nosem, aż wreszcie łypnęła kątem oka na siostrę. – Co mi to mówi?

– Na mnie nie patrz, ja się zatrzymałam na Ćmielowie.

– Myśli pani, że to jakiś ślad? – zapytał Gerd. – Filizanka i gazety?

– Może tak. A może nie. – Matylda odstawiła filizankę z powrotem na spodek, lecz nie puściła. Zamiast tego, czując pod palcami chłód porcelany, wpatrywała się w białe dno, jak gdyby liczyła, że rozwiązanie zagadki wychynie znikąd. Że znajdą trop, ruszą po nim i zdążą odnaleźć Eleonorę, zanim będzie za późno. Zanim wydarzy się coś, czego nie zdołają rozplątać.

Dno jednak było puste i ślepe – jak zaułek, w którym utknęli.

Pożegnawszy się z zegarmistrzem, siostry Bolesne pojechały z powrotem na Lipową pięć. Gdy taksówkarz usłyszał adres, z wrażenia nie dość, że zapomniał włączyć taksometr, to na dodatek zaniemówił i przez całą trasę nie odezwał się ani razu. Były mu za to niewymownie wdzięczne.

Przebijanie się przez pierwszą falę popołudniowych korków wydawało się nie mieć końca. Siostry siedziały na tylnym siedzeniu, każda zapatrzona w swoje okno i pogrążona w swoich rozterkach. Pani Jaga miętosiła w dłoni pustą już paczkę po papierosach, pani Matylda zaciskała palce na dębowej lasce, aż jej kłykcie zbieleły. Żadna nie chciała przyznać na głos, że niczego nie osiągnęły. Jedynie zmarnowały czas, którego nie miały zbyt wiele.

Zaczynało zmierzchać, gdy znalazły się u celu. Ktoś jednak zaparkował tuż pod ich furtką, zajmując ostatnie wolne miejsce i blokując przy tym pół chodnika, przez co musiały wysiąść spory kawałek dalej. O tej porze okoliczni mieszkańcy masowo wracali do swych domów. Piesi z zakupami

w siatkach przestępowali nad kałużami, które po ostatnim deszczu zebrały się w zagłębieniach chodnika, samochody ledwo się mijały w wąskich uliczkach. Gdzieś w oddali czyjaś niecierpliwa ręka wcisnęła klakson.

Pani Jaga przystanąła, przyglądając się zawalidrodze na opolskich numerach.

– Chyba znam ten samochód – zauważyła.

Jej siostra jednak nie słuchała. Z zaciśniętymi ustami przeszła przez furtkę i zmierzała już ścieżką do drzwi wejściowych. Wyjątkowo nie zwróciła uwagi na widmo, które jak zawsze kołysało się leniwie na drzewie.

Ledwie znalazły się w domu, z piętra dobiegł łoskot, po nim zaś nie tyle tupot małych stóp, ile tętent godny spłoszonych mustangów. Siostry zamarły, na wpół ogłuszone, a nie był to wcale koniec decybeli. Po schodach w panicznym pędzie zbiegało postawne rudowłose dziewczę, lokatorka z upiornej rodziny, która tak bardzo namieszała w ich życiu. Na widok sióstr zatrzymała się jak wryta w pół kroku i krzyknęła:

– To nie ja!!! To nie ja, przysięgam, to znowu on, to Niedaś!!!

– Święci pańscy...

– Wcale że nie!!! – wrzasnął chłopak, który zbiegł za nią w wielkich słuchawkach zsuniętych na kark. Kabel mknął za nim po stopniach, stukając wtyczką o drewno. – Znaczy, to ja – sprostował – ale wcale nie chciałem ich wpuszczać, pani starsza, przysięgam, tylko ona strasznie na mnie krzyczała, aż zacząłem przeproszać i trochę się popłakałem, a ona krzyczała dalej i krzyczała, a on zaczął robić tosty!!!

– Tosty?... – powtórzyła machinalnie pani Matylda i nagle ją olśniło. Ignorując przekrzykujące się rodzeństwo, wciąż w płaszczu i butach pospieszyła do kuchni, skąd dochodził zapach gorącego masła.

Karolek przerzucał właśnie gotowego tosta na imponującą złocistą stertę, która piętrzyła się już na talerzu pod samym nosem Dżusi. O ile jej narzeczony promieniał szczęściem, o tyle ona samą swoją postawą bardziej przywodziła na myśl zadziornego kogucika szykującego się do walki. Co po części zapewne było prawdą. Jasne włosy jak zwykle zaczesła nad czoło w burzę pukli i okiełznała szeroką opaską zawiązaną w kokardę w stylu *pin-up*. Zamiast nieśmiertelnych szpilek i obcisłości wybrała botki, dzinsy i czerwony sweterek, który odsłaniał kusząco obojczyk wraz z czarnym ramiączkiem biustonosza i zgodnie z najnowszą

modą był raczej szerszy niż dłuższy, co z praktycznego punktu widzenia miało niewiele sensu.

– Wy to macie tempo – rzuciła z uznaniem pani Jaga, dogoniwszy siostrę. – My ledwo zdążyłyśmy skoczyć na Ostrów i z powrotem, a wy już tutaj?

– Dżusi prowadziła – odparł Karolek przepraszająco. – Ma ciężką nogę, kiedy się wkurzy.

– Kiedy się wkurzy, tak? Czyli zawsze?

Pani Matylda ściągnęła brwi.

– Co wy tu robicie?

– Serio? Serio?! – powtórzyła Dżusi jadownicie, po czym wzięła rozpęd i wpadła w słowotok, uderzając w coraz gwałtowniejsze tony. – Najpierw dzwoni do mnie w kółko jakiś debil, aż mnie kurwica bierze, potem... NIE TITKUJ MI TU, DO CHOLERY!!! Potem dzwoni ciotka z dzikim wrzaskiem i awanturą, że czemu ja nie odbieram telefonu, co ja sobie myślę i w ogóle porażka, przy okazji się dowiaduję, że ten debil to moja siostra z zaświatów, a pani mnie pyta, co my tu robimy?! Tosty robimy, a cóż by innego?!

– Francuskie, na słodko – uzupełnił Karolek z uśmiechem. – Najlepiej wchodzi z konfiturą.

– Jadłbym jak mała kit – bąknął Niedaś, łypiąc ponad ramieniem pani Jagi.

Karolkowi nie trzeba było powtarzać.

– Zaraz będą jeszcze dwa! – Rozpromieniony wcisnął chłopakowi talerz z tostami oraz słoiczek wiśniowych konfitur, który wciąż stał na kuchennym stole.

– Ej, możemy go zatrzymać? – zapytał Niedaś ze łzami w oczach. – On mnie karmi...

– NIE! – warknęła Dżusi, po czym skupiła uwagę na starszych paniach. – Gdzie jest El?

– Nie wiemy – odparła chłodno Matylda Bolesna, usiadłszy naprzeciwko jasnowłosej dziewczyny. Pani Jaga zajęła krzesło u szczytu stołu, żeby mieć dobry widok na nie obie. Coś jej mówiło, że może się zrobić ciekawie.

– A jak ją znaleźć? – Dżusi nie przestawała drążyć.

– Nie wiemy.

– No wprost zajebicie...

– TITKU!!!

– Tak, tak, wiem. To może inaczej. Co wiecie?

– Obawiam się, że niewiele. Twoja siostra wyjechała nie wiadomo dokąd blisko miesiąc temu. Zapewne do ciebie również nie raczyła się odezwać? Tak myślałam – stwierdziła pani Matylda, bo Dżusi pokręciła głową. – Sądząc po tym, że skontaktowała się z nami z zaświatów, prawdopodobnie przeprawiła się i lada moment utonie w nadmiarze czasu, którego nam, o ironio, zostało stanowczo za mało. – Skinęła na Jagę, a ta wyciągnęła z torebki wymiętą pocztówkę, którą dostała Klara, i położyła na stole. – To nasz jedyny trop.

– Ktoś ją zuł czy jak?... – Dżusi z obrzydzeniem obracała zniszczoną kartkę w dłoni. – I kim, do cholery, jest znajomy porcelany?

– Niestety, nie zdołałyśmy tego jesz...

– O, Grodno!

Trzy kobiety jak na dany znak odwróciły się w kierunku Karolka, który pędząc do wygłodniałego Niedasia z ostatnimi tostami na łopatkach, zerknął przy okazji na pocztówkę.

– Co takiego?

– Grodno. Zamek Grodno – uściślił. Liczył, że to im wystarczy, lecz one wciąż wpatrywały się w niego jak sroka w gnat. Przełknął ślinę. Obejrzał się na Niedasia w poszukiwaniu wsparcia, lecz ten zdążył już czmychnąć z talerzem, porzucając go na pastwę kobiet i ich charakterów. Karolek uśmiechnął się zatem niepewnie, czując wzbierającą potrzebę udzielenia dalszych wyjaśnień. Precyzyjnych. Czym prędzej. – To w Ząbkowicach Śląskich. A nie, chwila, chwila... Nie w Ząbkowicach, gdzieś indziej. Też na zet, też na zet... O, w Zagórze! W Zagórze Śląskim, na szczycie Choiny. Zamek taki, stary, trochę zrujnowany, ale go naprawiają. No. Grodno. A co?...

– Jesteś pewien?

– No wie pani! – Mimo presji młody człowiek nadał się nieznacznie, urażony tym brakiem zaufania. – Z okolic Wałbrzycha brakuje mi tylko czterech znaczków turystycznych. Ten z zamku Grodno ma numer sto dwadzieścia osiem.

– Ach, no tak. – Dżusi przewróciła oczami. – Karolek i jego słynna kolekcja znaczków PTTK... Mógłby się nimi obwiesić jak radziecki generał. Jak cały radziecki sztab...

– A to? – Palec pani Matyldy spoczął na dziwnej plamie pośród wzgórz.
– Co to takiego?

– Jezioro Bystrzyckie – odparł Karolek bez zawahania i w okamgnieniu się ożywił, jak gdyby wstąpił w niego duch przewodnika turystycznego. – Bardzo malownicze, chociaż zaporowe, z początku dwudziestego wieku. Byłem tam raz, w czasach liceum, coś pięknego. Widzi pani, dwa brzegi tego jeziora łączy taka kładka, która...

Matylda Bolesna nie wykazywała jednak choćby cienia zainteresowania szczegółami natury krajoznawczej. Dźwignęła się z krzesła i poszła do telefonu.

Gerd Falk odebrał po paru sygnałach.

– Tak, przyjadę – wymamrotał, odpuszczając sobie kurtuazje – tylko błagam, zostawcie już tego beckera w spokoju...

– Gazety, te na stoliku pod oknem. – Pani Matylda również przeszła od razu do sedna. Sądząc po tym, jak rozwlekał słowa, zegarmistrz zdążył napocząć jakąś butelczynę. – Pamiętasz, jakie to były tytuły?

Westchnął ciężko.

– Lokalne. Głównie „Gazeta Wrocławska”, „Wyborcza” i jeszcze coś... Hm. Nie pamiętam teraz dokładnie, ale na pewno coś z Wałbrzycha.

– Z Wałbrzycha? Oczywiście. KAROLKU! – huknęła niespodziewanie w stronę kuchni.

– Rany boskie!... – dobiegło ze słuchawki.

Karolek przybiegł w te pędy, wciąż ściskając w dłoniach łopatkę pachnącą masłem.

– Jak długo się tam jedzie? – zapytała tonem sugerującym, że chłopak dla własnego dobra powinien sprężyć zwoje. – Do tego twojego zamku?

– Stąd? – Zmarszczył czoło. – Samochodem będzie... w zależności od trasy godzina, góra półtorej. Można najpierw na Sobótkę krajową ósemką, a potem...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Szczegóły trasy zostawiała kierowcom, ją interesowało coś innego.

– Wpuszczają ludzi pewnie najwcześniej od dziewiątej? Na zwiedzanie?

– Pewnie tak, mogę zaraz sprawdzić w...

– Zbiórka u nas, punkt siódma – rzuciła pani Matylda do słuchawki. – Lepiej dla ciebie, jeśli będziesz trzeźwy.

Przedtem

Hubert Dobrzyń aż jęknął, kiedy drżącymi dłońmi rozpięła mu rozporek i zaczęła zsuwać spodnie z bioder. Koszula już leżała na podłodze.

– Spokojnie – powiedziała Eleonora, spoglądając w górę, na napiętą twarz mężczyzny. – Spokojnie, dobrze? Nie musimy się spieszyć.

Cóż, to akurat niekoniecznie była prawda.

Centymetr po centymetrze zsunęła mu spodnie do kolan, po czym puściła, żeby pod własnym ciężarem opadły swobodnie aż do kostek.

Oboje uciekali wzrokiem, gdzie tylko mogli. Ona była dużą dziewczynką, on dużym chłopcem, wymowa sytuacji też nie pozostawiała żadnych wątpliwości, a mimo to oboje czuliby się zapewne dużo lepiej, gdyby jej twarz od jego krocza dzieliło nieco więcej centymetrów. Najlepiej metr.

– Okej. Dobrze. Bokserki też muszę ściągnąć.

– Jezu, nie... Nie, nie, nie...

– Przestań. Lepiej może... może stań bokiem do mnie.

Czekała cierpliwie, aż Hubert się odwróci. Wsunęła delikatnie palce za krawędź bokserek i pociągnęła za materiał, odklejając go stopniowo od zakrwawionego ciała. Ciepła strużka spłynęła jej z dłoni po nadgarstku. Eleonora bardzo, ale to bardzo starała się nie patrzeć przed siebie.

– Nie założyłaś okularów, wiesz?

Tak, była tego bardzo świadoma. I wcale jej to nie pomagało.

– Muszę dobrze widzieć, co robię.

– Zaczynam żałować, że je nosisz. Masz naprawdę piękne oczy, Eleonoro. Niesamowicie...

– Wiem – rzuciła, może trochę za ostro, ale podziałało, bo Hubert umilknął. – Wybacz. Muszę się skupić.

Mniej więcej do dolnych żeber nie wyglądało to źle, ot, kilka zadrapań. Za to poniżej...

– Nieźle się urządziłeś – przyznała, oceniając z bliska ogrom obrażeń. Poczynając mniej więcej od wysokości nerek, a kończąc tuż przed kolanem, cały lewy bok Huberta wyglądał, jakby ktoś przejechał po nim

papierem ściernym i poprawił grabiami. Gdyby nie ubranie, pewnie byłoby jeszcze gorzej. – Naprawdę.

– Nie miałem pojęcia, że tam są. Nikt tamtędy nie chodzi, ani teraz, ani latem, tam rosną gęste chaszczce. Te deski musiały być naprawdę stare.

– Stare – zgodziła się Eleonora – i pewnie też zmurszałe. Dodaj do tego swój ciężar, no i ciężar śniegu. A ostatnio bez przerwy pada.

Przytaknął nieznacznie.

– Usłyszałem tylko trzask i nagle jakby mnie ziemia wciągnęła. Cud, że zawisłem na tych deskach, które tam zostały, ktoś drobniejszy ode mnie zleciałby na sam dół i... Był człowiek, nie ma człowieka, dosłownie.

„I nikt nie znalazłby ciała”, dodała w myślach Eleonora. Gęsty, ciężki śnieg padał nieprzerwanie od kilku dni i według prognoz miał padać jeszcze co najmniej do początku przyszłego tygodnia. Zasypałby nie tylko ślady, ale pewnie też sporą część jamy, w której o mały włos skończyłby Hubert.

– Dobra wiadomość jest taka, że nie widzę tu nic do szycia. Daruję ci wyprawę na pogotowie, przynajmniej po nocy. Zobaczmy, jak będziesz się czuł rano.

– A zła?

– Trzeba to wszystko porządnie oczyścić. Jeśli wda się jakieś świństwo, nie obędzie się bez antybiotyku. Muszę wyciągnąć drzazgi, żwir i... wszystko. A trochę tego jest. Pamiętasz chociaż, kiedy ostatnio szczepiłeś się przeciwko tężcowi? – zapytała z nieskrywanym powątpiewaniem.

– Zaskoczę cię, bo trzy lata temu.

– To chociaż tym nie musimy się martwić. – Podniosła się z klęczek i podstawiła Hubertowi ramię. – Chodź.

– Dokąd?

– Obawiam się, że pod prysznic. Jeśli chcesz, zaśpiewam ci *Mydło lubi zabawę* na poprawę humoru.

Kiedy wyszorowany Hubert leżał już na jej łóżku, dysząc w poduszkę, Eleonora przyniosła z łazienki apteczkę, po czym wróciła się jeszcze raz, żeby wyszorować ręce.

– Tam coś było, pod spodem – odezwał się, gdy wydłubała z niego pęsetą ostatnią drzazgę i zabrała się do odkażania ran. Całkiem nieźle znosił te zabiegi. Jedynie od czasu do czasu syknął z bólu albo wstrzymał na moment powietrze, jak teraz. – Pod tymi deskami. Jakiś szyb czy korytarz, czy... Muszę tam wrócić. Muszę się dostać do tego pałacu i...

– Po pierwsze, nie dostać, tylko włamać – przerwała mu Eleonora. Obok niej, na podłodze, rosła pomału sterta zakrwawionych gazików. – Nazywajmy rzeczy po imieniu, dobrze? A po drugie – omiotła sceptycznym wzrokiem zdarty bok i pośladek Huberta – na pewno nie w tym stanie.

Nie protestował.

– Ja tam pójdę.

– Nie! Mowy nie ma, Eleonoro, jesteś zbyt...

– Jaka? Krucha? Wrażliwa? Słaba?

– Nie. Słaba na pewno nie. Prawdę mówiąc... jesteś chyba najsilniejszą kobietą, jaką znam. Ale wołałbym ciebie w to nie wciągać.

– Już mnie wciągnąłeś – zauważyła i pomachała do niego gazikiem. – Głębiej, niżbym sobie życzyła. Ale na twoje szczęście akurat ja wiem, jak ci pomóc.

– Nie masz nawet pojęcia...

Prychnęła. Rany boskie, momentami zachowywała się jak własna ciotka...

– Mam, i to całkiem spore. Na przykład wiem, że chinosy z sieciówki to kiepski wybór odzieży na wyprawę z włamaniem. To samo kurtka, buty. Te twoje są dobre do samochodu albo na romantyczny spacer po zaśnieżonym parku. Doprawdy, pełna amatorszczyzna.

Hubert podniósł głowę. Dostrzegła niepokój w jego oczach, ale też fascynację.

– Przepraszam, czy ty masz może zawodowych włamywaczy w rodzinie?...

– Włamywaczy? Nie, tych chyba nie. – Uśmiechnęła się szelmowsko. – Za to szabrowników, owszem, mam. Oraz odrobinę wyobraźni. Czy ty w ogóle zabrałeś ze sobą cokolwiek poza latarką?

– Miałem telefon... ale chyba mi wypadł – przyznał z niechęcią. – Cud, że nie zgubiłem też kluczyków do auta, nie dotarłbym tu na piechotę. – Westchnął. Dalsze dyskusje mijały się z celem. Eleonora miała rację, nie znał się na włamywaniu. – I co? Nadal uważasz, że nie jestem wieloznaczny?

– Wieloznaczny? Możliwe. Wielobarwny? Na pewno.

– Eleonoro, wołałbym, żebyś się dla mnie nie narażała.

– Bez obaw, mam swoje sposoby. Tylko... Nie wiem, czy mi na tyle ufasz.

- Żeby co?
- Żeby mi ją powierzyć.

W lot zrozumiał, o czym mówiła. Uśmiechnął się do tej bladej, kruchej dziewczyny o niesamowitych oczach, dziewczyny, przed którą obnażył się dwukrotnie, najpierw duszą, a potem ciałem, chociaż znali się niecały miesiąc. Niebывałe, ale ufał jej jak nikomu innemu.

- Jest w moim pokoju. Na stole.

Znalazła ją w kubku z resztkami kawy. Wyglądała całkiem zwyczajnie – ot, łyżeczka, stara i trochę już pociemniała. Nikt by nie przypuszczał, jak bardzo była cenna. Eleonora uśmiechnęła się mimowolnie, strzepując z niej fusy. Ukryte na widoku, pierwsza zasada masonerii. Niezawodna również w dwudziestym pierwszym wieku.

– No dobrze. Powiedz mi jeszcze, czego mam szukać? – zapytała, wróciwszy do swojego pokoju.

- Czegokolwiek.

- Tam?

- Tak.

- A kiedy?

- Przepraszam, ale...

– Kiedy to się stało? Potrzebna mi data, możliwie precyzyjna. Później ci wytłumaczę... choć nie obiecuję, że od razu dostrzeżesz w tym sens.

– Czternasty sierpnia. Czternasty sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. Wtedy widzieli go ostatni raz.

Eleonora podkreśliła ogrzewanie i pomogła Hubertowi okryć się kołdrą, a potem posprzątała wszystko z podłogi. Okazało się, że krew z koszuli, spodni i bokserów, które tak niedbale rzuciła w kąt, zupełnie jak nie ona, zdążyła wsiąknąć w szarą wykładzinę.

- Zostanie plama – westchnął ciężko Hubert.

Uśmiechnęła się z politowaniem.

- Od razu widać, jak mało mnie znasz.

Poranek przyniósł Hubertowi ból i liczne siniaki w pełnym rozkwicie, Eleonorze, która spędziła noc na krześle, dorzucił zmęczenie zesztywniałych mięśni, obojgu zaś zaserwował szczodłą porcję skrzepowania.

Za obopólną i równie milczącą zgodą postanowili nigdy nie wracać do wczorajszych chwil nieplanowanej intymności. Zjedli śniadanie, wypili kawę, pogawędzili miło o sprawach niezobowiązujących. Potem Eleonora ubrała się ciepło i poszła na spacer do parku na drugim końcu ulicy.

Zamierzała zrobić coś bardzo głupiego i musiała to najpierw gruntownie przemyśleć.

Park nie był szczególnie rozległy, przez co pozostawiał niewielkie pole do popisu nawet niedzielnemu piechurowi. Koniec końców Eleonora przyłapała się na tym, że dochodzi już południe, ona zaś krąży w kółko, wydeptując własne ślady. Myśli także wracały te same – że to niebezpieczne, że może się źle skończyć, że nie musi tego robić, że nie powinna tego robić, a już z pewnością nie w pojedynkę, z kradzioną pasówką Józefa Hartmana w garści.

Istotnie. Nie musiała, nie powinna. Sęk w tym, że chciała.

Zaszła jeszcze do kawiarni po coś słodkiego, zastrzyk kalorii w sam raz po nużącej przeprawie. Dopiero potem spokojnym krokiem wróciła do pensjonatu. Schowawszy ciasto do lodówki, ogarnęła się i zastukała do pokoju Huberta.

– Gotowy?

– Nie – odparł szczerze. – Ale bardziej chyba nie będę, więc równie dobrze możemy zrobić to teraz.

Zasugerował, że u niego lub w kuchni mieliby więcej miejsca, Eleonora wołała jednak zostać u siebie. Zaczekała, aż Hubert, posykując, usadowi się naprzeciwko niej przy stoliczku, a potem bez słowa położyła przed sobą dwa przedmioty – srebrną łyżeczkę i starą pasówkę.

– Ciekawy zegarek – zauważył Hubert.

– Chronometr. Tak to się fachowo nazywa. Kiedyś należał do... do pewnego człowieka, który już nie żyje.

– Czyli to jakby spadek, tak? Dobrze rozumiem?

– Raczej rekompensata. Z pozoru może nie przedstawia sobą zbyt wielkiej wartości, ale to bardzo przydatne narzędzie dla... kogoś takiego jak ja.

– To znaczy? – zainteresował się z miejsca.

Wyprostowała się, ściągnęła ramiona, złożyła dłonie na blacie stoliczka. Tak, może i wyglądała teraz niczym pensjonarka odpytywana z ułamek przez surowego psora, tak też zresztą się czuła, ale panowanie nad swoim ciałem dawało jej przyjemne złudzenie, że resztę również ma

całkowicie pod kontrolą. Choćby w rzeczywistości było to jedno wielkie łgarstwo. Ostatnio nie poznawała samej siebie. Odkąd przekroczyła nieprzekraczalną granicę, zabijając człowieka, kolejne mijała niemal mimochodem. Rzuciła pracę, uciekła z Wrocławia, odcięła się od wszystkich i wszystkiego, a teraz... teraz zamierzała tak po prostu zdradzić swoją największą tajemnicę człowiekowi, którego ledwo co poznała. Dlaczego? Po co? Odsunęła od siebie te pytania, obiecując sobie, że pomyśli o tym jutro.

– Nie będę przed tobą udawać – zaczęła tonem, jakim zwykła streszczać co bardziej opornym czytelnikom regulamin biblioteki. – Nie wiem, jak to się dzieje, jak to działa i dlaczego w ogóle działa. – Tak, dokładnie tym samym tonem. – Z naukowego czy logicznego punktu widzenia to, co potrafię, jest niemożliwe i niewytłumaczalne. Cóż. Nie ja jedyna to robię, więc nawet jeśli cierpię na ostre halucynacje, to przynajmniej nie cierpię w samotności.

– Zachęcający wstęp.

– Prawda? – Wzięła powolny, głęboki wdech. – Nie wiem, czy umiem to wyjaśnić swoimi słowami. Niedawno ktoś lepiej zorientowany wyjaśniał to mnie, lecz tamta metafora nie do końca mnie przekonuje. Ciągłe szukam innej.

– Metafora w fazie beta-testów. – Hubert skinął głową. – Dobrze, będę to miał na uwadze. A czego dotyczy ta metafora?

– Czasu. Pamiętasz może ze szkoły taki rysunek? Przekrój, od atmosfery aż do jądra Ziemi. Egzosfera, termosfera, mezosfera, stratosfera, troposfera, litosfera...?

– Skorupa, płaszcz górny, płaszcz dolny i tak dalej. Owszem, jestem w temacie. Jaki to ma związek z czasem?

– Mówi się potocznie, że czas płynie, prawda? Płyne, upływa i tak dalej. Traktujemy go w kategorii cieczy o osobliwych właściwościach. Zwykle postrzegamy czas jako rzekę, która zmierza od punktu A do punktu B, potem C, potem D i tak dalej, w nieskończoność.

– Albo zawraca.

– Albo zawraca, owszem, istnieje i taka koncepcja. Ja wyobrażam sobie czas raczej jak nieustannie wzbierający akwen. Albo... wykopaliska archeologiczne.

– O!

– Zapewne kojarzysz, jak to wygląda. Archeolodzy robią taki specjalny wykop w ziemi, stają przed nim i proszę, od razu wszystko wiedzą.

– No, może nie tak od razu.

– Może rzeczywiście nie. Ale dla ciebie czy dla mnie to tylko dżdżownice, kamyki, piasek i ziemia w różnych odcieniach, prawda? Co najwyżej odróżnisz glinę od żwiru. A taki archeolog wyczyta z tego przekroju wszystko, co się w tym konkretnym miejscu działo. Zobaczy, że ktoś tu kiedyś wyrzucił śmieci, postawił mur, wykopał jamę, że wybuchł tu pożar czy wylała rzeka. Określi, co się wydarzyło najpierw, a co potem, ile lat czy wieków temu to było. – Przez moment sama dała się zwieść wrażeniu, że mówi o czymś całkowicie normalnym. Niestety, musiała w końcu przejść do sedna tej skomplikowanej metafory. – A teraz wyobraź sobie, że właśnie tak odkłada się czas. Jak ta ziemia, żwir i tak dalej. Warstwa po warstwie, jedna na drugiej, począwszy od dna, czyli początku wszelkiego istnienia, aż ku powierzchni, ku temu, co tu i teraz. I że istnieje ktoś taki jak ja, ktoś... szczególnie uzdolniony, kto potrafi czytać w warstwach czasu jak w otwartej książce.

– Po co?

– Żeby się między nimi przemieszczać.

Hubert odchylił się na krześle i zmierzył dziewczynę baczным spojrzeniem. Nie, nie żartowała, choć całkowicie zdawała sobie sprawę, jak to brzmi.

– Mówisz o podróży w czasie – podsumował.

– Nie do końca. Chodzi o przemieszczanie się wyłącznie w obrębie przeszłości, z pewnymi ograniczeniami. I nie ciałem, ciało zwykle nie bierze w tym udziału. A teraz wróćmy na moment do metafory akwenu.

– Z warstwami?

Westchnęła, choć raczej z powodu skrępowania niż irytacji.

– Wybacz, ciągle dopracowuję tę metaforę. Tak, akwen z warstwami. Wyobraź sobie teraz, że nasz szczególnie uzdolniony człowiek umie w tym akwenu...

– Nurkować? – podsunął pierwsze, co mu przyszło do głowy, gdy długo szukała słowa.

– Stosowany powszechnie termin brzmi: tonąć.

– Nie brzmi to zbyt optymistycznie – stwierdził Hubert. – I sugeruje brak kontroli nad tym... procesem.

– Owszem, dlatego ja wolę określenie: zanurkować. Aczkolwiek nie ukrywam, w czasie można utonąć – dodała Eleonora. – Naprawdę, dosłownie, tak samo jak w wodzie. Znam takie przypadki. Ale przy zachowaniu pewnych względów bezpieczeństwa można dotrzeć na dowolną głębokość, do dowolnej warstwy czasu, zobaczyć na własne oczy, co się wtedy wydarzyło, po czym wrócić na powierzchnię.

– Do terazniejszości?

– Tak. I właśnie w ten sposób zamierzam ci pomóc. Zanurkuję do czternastego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku i sprawdzę, co się wtedy tam stało. A gdybym...

Nie idź sama na śmierć.

– Gdybyś co?

„Przecież nie idę, Ramzesie. To tylko krótka przechadzka, nic więcej. Zaraz wrócę”.

– Nic – odparła na wydechu. – Po prostu czekaj i nie panikuj. Nie ruszaj mnie, nikogo nie wzywaj, nic nie rób. To może potrwać godzinę, a równie dobrze nawet dzień czy dwa. Może też wyglądać trochę strasznie, ale wrócę.

Hubert zamyślił się głęboko.

– Nie jestem przekonany, czy ci wierzę.

– Nie musisz. Na szczęście jestem psychopompem, a nie wróżką. Nie umieram, kiedy ktoś we mnie nie wierzy.

Nic więcej nie mogła mu już powiedzieć. Wpuściła po kropli belladonny do swych zbieleńszych oczu. Do lewej dłoni wzięła łyżeczkę, prawą zacisnęła na pasówce. Pozwoliła powiekom opaść.

Poczuła, jak po powierzchni czasu rozchodzi się pierwszy krąg.

Zabawne. Czy to urok, czy reguła, czy zwykły przypadek, że za każdym razem, gdy miała skoczyć w głębiny czasu, słyszała w głowie ten sam głos?

Aksamitny, niski, wibrujący.

Toń, Eleonoro.

Tonęła więc, tak jak prosił.

Teraz

Kwadrans przed siódmą rano pani Jaga odchyliła firankę i wyjrzała przez okno.

– To twoja sprawka? – zapytała, oglądając się na starszą siostrę.

Pani Matylda przypatrywała się krytycznie glanom, które pożyczyła od Salki, rudowłosej lokatorki sióstr Bolesnych, z myślą o dzisiejszej wyprawie. Karolek ostrzegwał, by nie dała się zwieść wczesnowiosennej aurze – o tej porze roku w okolicach Zagórza Śląskiego wciąż panowały warunki bliższe zimowym. Co prawda nie planowali wspinaczki po skałkach ani wędrowki czarnym szlakiem, lecz nawet zwykły spacer wymagał zupełnie innego obuwia niż tutaj, w wielkim mieście. Również – a może zwłaszcza – w przypadku osoby wiekowej niemal dosłownie. Pani Matylda, jak to ona, najchętniej machnęłaby ręką na tak nieistotny szczegół, lecz Karolek uparł się jak nigdy. Jednocześnie szykując prowiant, bombardował emerytowaną łacinniczkę statystykami na temat urazów u osób starszych, ze szczególnym uwzględnieniem złamań szyjki kości udowej. A że nic tak nie irytowało pani Matyldy jak choćby sugestia zniedołężnienia, w kuchni natychmiast rozpętało się piekło na skalę lokalną. Gdyby nie Salka, która przybyła z obuwniczą odsieczą, kto wie, jak skończyłaby się ta wieczorna awantura między wredną staruszką i jej głęboką pogardą dla osteoporozy a przewodnikiem wycieczki cierpiącym na przerost instynktu matki kwoki.

Szczęśliwie glany miały odpowiednią podeszwę i nieźle trzymały kostkę. Poza tym były czarne, do połowy łydki, trochę znoszone, ale w sposób, który jedynie dodawał im stylu, a także dużo lżejsze, niż mogłoby się wydawać. No i pasowały jej, stwierdziła z zaskoczeniem pani Matylda, gdy już uporała się z grubymi skarpetami i kilometrem sznurowadeł. I nie miała tu na myśli wyłącznie rozmiaru.

– Co proszę, Jaguś?

– Pytam, czy to twoja sprawka – powtórzyła pani Jaga i odchyliła firankę nieco bardziej, tak by Matylda również mogła zobaczyć to samo co ona.

Na chodniku za furtką, w świetle ulicznej latarni, przechadzał się w tę i z powrotem Gerd Falk, popijając na rozgrzewkę coś gorącego. Za papierowym kubkiem wyraźnie ciągnęły się smugi pary. Kawalek dalej, niczym posągowe wcielenie rozdrażnienia i papierosowego nałogu, stała Klara Stern, produkując jeden za drugim kłęby dymu.

Pani Matylda wydała z siebie niskie, pełne zadowolenia mruknięcie, jakiego nie powstydziliby się żaden kot.

– Och, nie, Jaguś – odparła wreszcie, sięgając po płaszcz. – Za tym cudem stoi siła o wiele bardziej bezlitosna niż ja.

– Meksykański kartel narkotykowy z delegaturą we Wrocławiu?

– Sumienie.

Ponad ich głowami wezbrały ściszone głosy i chwilę później z piętra zstąpili Dżusi i Karolek.

– A ten co? – zdumiała się pani Jaga na widok młodego człowieka.

Powiedzieć, że był gotów na wyprawę, to mało. Karolek był wręcz wyekwipowany, od stóp do głów. Skazy na materiale spodni i przetarcia na czubkach wiernych, schodzonych butów świadczyły jednak niezbitcie, że oto stał przed nimi nie weekendowy turysta, mocny w sprzęcie, lecz bezradny wobec prawdziwej dziczy, ale urodzony wędrowiec, globtroter bez mała, współczesny nomada z kompasem w głowie i żądzą przygody tętniącą w krwiobiegu.

Dżusi, która była dzieckiem miasta, żarliwą wyznawczynią dostępu do bieżącej wody i galerii handlowych, przewróciła oczami, bardzo, ale to bardzo wymownie.

– Niech pani nawet nic nie mówi, pani Jadwigo, błagam. Gdyby mu pani powiedziała, że za kwadrans rusza dokarmiać rosołkiem Szerpów w Himalajach albo miziać bambusy w lasach zwrotnikowych, żeby im się lepiej rosło, to na pewno by się okazało, że Karolek zupełnym przypadkiem cały potrzebny sprzęt wozi w bagażniku.

– Wcale że nie!

– Wcale że nie wozisz? – Dżusi uniosła brew na znak niedowierzania.

– Wcale że nie przypadkiem! – sprostował. – Bez względu na okoliczności odpowiedni sprzęt to podstawa przetrwania! – wygłosił z przekonaniem, co jego narzeczona skwitowała krótkim wzruszeniem ramion.

– W sumie racja. Zawsze to powtarzam facetom.

– No właś... co...?

W ciągu pięciu minut byli już gotowi do wyjścia. Tuląc do piersi termos z kawą, Dżusi poszła przodem, żeby przywitać się z ciotką i nagrzać w samochodzie. Tuż za nią podążył Karolek z bambetlami i błyskiem w oku. Bez względu na okoliczności perspektywa wyprawy jak zawsze wprawiła go w wyborny nastrój.

Pani Jaga w milczeniu obserwowała, jak jej siostra zapinała płaszcz. Wełniany, ciężki, do kolan. Na marzec w mieście był już nieco za gruby, ale w górach powinien się sprawdzić. Ile to już lat w nim chodziła? Ze dwadzieścia, jak nic, albo nawet i więcej. Chociaż tu i tam trzeba było załatać podszewkę, wciąż trzymał fason tak samo jak pierwszego dnia. Kiedyś to wszystko robiło się porządnie, na lata – płaszcze, buty. Ludzi też.

– No. – Nasadziwszy na głowę beret, pani Matyllda przewiesiła sobie torebkę przez pierś i sięgnęła po laskę. – To my jedziemy. Obok telefonu zostawiłam ci kartkę z numerami do dzieci. Gdybyśmy... gdybyśmy dłużej nie wracali, to klucz do mieszkania na Lompy znajdziesz w skrzyneczce, wiesz gdzie.

– Matylldo.

– Tak? – rzuciła machinalnie, pochłonięta szukaniem rękawiczek. Potrzebowała ich, ale nie tych dzianinowych, byle jakich, dobrych co najwyżej na spacer do sklepu za rogiem, tylko skórzanych. Skórzane były lepsze na śnieg, nie przemakały tak szybko. Minęła chwila, zanim zorientowała się, że odpowiedziało jej milczenie.

Jaga stała przy schodach, ściskając palcami poły szlafroka w zielono-fioletowe kwiaty. Uśmiechała się do siostry z łagodną czułością, w której nie było jednak choćby cienia pobłażania.

– Ja sobie poradzę, Matylldo.

Przez chwilę patrzyły na siebie – ni to dwie krople wody, ni to jedna, uchwycona w zwierciadlanym odbiciu. Łączyła je więź silniejsza niż geny. Nie potrzebowały żadnych słów czy gestów, zresztą każdy wydawałby się trywialny i pusty wobec ogromu tego, co czuły. Mimo to Matyllda podeszła do siostry i położyła dłoń na jej dłoniach.

– Wiem. Wiem.

Punktualnie o siódmej bmw na opolskich tablicach wyruszyło z Lipowej, kierując się na Sobótkę.

Ledwie minęli Świdnicę, mgła, która dotąd zasnuwała okoliczne pola, rozplynęła się w niebycie, a razem z nią zniknęła wiosna. Przetykana czernią biel śniegu rozlewała się aż po horyzont, gdzie coraz wyraźniej wzbierały masywy gór.

Wysiedli na niewielkim parkingu w samym sercu Zagórza. Pani Matylda uśmiechnęła się nieznacznie, gdy każde z nich kolejno zaciągało się łapczywie świeżym, mroźnym powietrzem. Widać ostatnie półtorej godziny uporczywego milczenia nie tylko ją przyprawiło o ćmiący ból głowy. Z dyskretną pomocą Gerda wysiadła z samochodu. Karolek już na nią czekał, a nawet się czaił, bardzo z siebie zadowolony – w garści, niczym krzyżacki rycerz z nagimi mieczami, dzierżył dwa kijki trekkingowe. Po namyśle i próbnej przechadzce starsza pani przyznała, że mogą się sprawdzić. Tym sposobem dębowa laska została w bagażniku.

Poświęciwszy sennemu miasteczku kilka niezobowiązujących spojrzeń i obietnic, że kiedyś na pewno tu wrócą i zabawią dłużej, wyruszyli w kierunku masywu Choiny, wypatrując szlaku na zamek Grodno. Zaczynał się zaraz po drugiej stronie drogi, tuż za tablicą informacyjną i wiatą w kształcie nieśmiertelnej jodełki. Dla przeciętnego człowieka o równie przeciętnej sprawności fizycznej podejście nie stanowiło większego wyzwania – szeroka droga wpierw dobiegała do łagodnego, ośnieżonego zbocza, po czym zaczynała się jakby mimochodem snuć jego śladem, zmierzając miarowo ku szczytowi. Zanosilo się na spacer, nieco forsowny, bo pod górę i po udeptanym śniegu, ale mimo wszystko spacer, do tego w miłych okolicznościach przyrody. Tak przynajmniej uznała Matylda Bolesna, która przez całe życie trzymała się daleko od przeciętnej i siłą przyzwyczajenia zamierzała robić tak do samej śmierci, jeśli nie dłużej, uparcie ignorując fakt, że po osiemdziesięciu sześciu latach na tym łoż padole jej ciało mogło mieć na tę kwestię pogląd zgoła odmienny. Dlatego gdy zorientowała się, że Gerd i Karolek trzymają się blisko niej niczym wierni przyboczni kruchej księżniczki i czujnie śledzą każdy jej krok, z trudem się powstrzymała, żeby nie podstawić im kijka, a potem nie poprawić drugim.

Szli w skupieniu, jak gdyby zimowy krajobraz zauroczył ich ciszą i surowością barw – iskrami słońca na śnieżnej bieli, chłodnym błękitem nieba ponad czernią obnażonych gałęzi. Ich wytężone oddechy buchały w powietrze kłębamii pary. Niezliczone bransoletki Klary, na co dzień rozbręczane i migotliwe, milczały teraz, skrępowane rękawami kurtki.

Dżusi, która maszerowała przodem, wyprzedzając resztę o kilkanaście metrów, zatrzymała się raptem.

– To tutaj? – zawołała i wskazała coś po prawej stronie szlaku. Poniżej drogi, za ścianą bezlistnych drzew, widniał jakiś zniszczony budynek. – Czy nie tutaj? Bo to mi średnio wygląda na zamek?

– Ha! – zakrzyknął Karolek w odpowiedzi. Znow miał tę półprzytomną minę, jak gdyby śnieg i ściółka zamiast asfaltu pod stopami oraz wyższa zawartość tlenu niż smogu w powietrzu automatycznie wprowadzały go w stan upojenia.

– Co ha, jakie znowu ha? Mów jak człowiek!

– Otóż zeszłej nocy zrobiłem pewien research... – zaczął tajemniczo, kiedy zrównali się z jego narzeczoną i razem spojrzeli w dół.

Budynek rzeczywiście w niczym nie przypominał zamku, raczej coś bliższego kamienicy. Miał zwartą, symetryczną bryłę i płaski dach, który kompletnie do niego nie pasował. Teren wokół był płaski jak stół i pokryty warstwą zmarzniętego śniegu. Tylko w jednym miejscu ciągnął się wyraźny szpaler nagich krzewów, wytyczając granicę o nieznanym przeznaczeniu.

Pani Matylda uniosła brew.

– Przepraszam, co zrobiłeś?

– Research – powtórzył Karolek, po czym się z lekka stropił. – No... że szukałem informacji na jakiś temat.

– Za moich czasów, drogie dziecko, to się nazywało kwerenda.

Dżusi zachichotała złośliwie.

– A za czasów Karolka to się nazywa: siedział pół nocy w internecie, czytając Wikipedię.

– Jak zwał, tak zwał. Liczą się wyniki – odparł niezrażony. – No więc siedziałem pół nocy w internecie, czytając Wikipedię, i co nieco wyczytałem. Czy mówi wam coś taka nazwa: Kynau? Kynsburg? Albo Königsberg? Ha! – zakrzyknął ponownie, bo Gerd poblądł na twarzy. – Czekaj, nic nie mów! Widzicie, właśnie tak przed wojną nazywało się Zagórze Śląskie. A tam, w tym pałacu na dole, bo to jest pałac, nie zamek, no więc tam znajdowała się jedna ze skrytek pewnego wielce szanownego pana...

– Günthera Grundmanna. – Matylda Bolesna najszybciej podchwyciła i rozgryzła aluzję.

Dżusi podskoczyła i klasnęła niczym mała dziewczynka, zachwycona odkryciem.

– Znajomy! Znajomy z pocztówki! Och, to jego miała na myśli El, na pewno!

– Chryste... – Gerd sarknął pod nosem wbrew poruszeniu, jakie nagle zapanowało na ścieżce. – Czy tylko mnie aż skręca na sam dźwięk tego nazwiska?

Nie oczekiwał, że ktoś mu w ogóle odpowie, więc tym większe było jego zaskoczenie, kiedy Klara Stern, która przystanąła tuż obok, milcząco pokręciła głową, wprawiając czerwone pukle w lekkie rozkołysanie. Jako jedyna nie założyła czapki. Z policzkami zarumienionymi od mrozu i wysiłku oraz rozpuszczonymi włosami przypominała płomień, od którego mógłby się zająć cały las.

Czym prędzej ruszyli dalej, wkładając teraz w marsz zdwojone siły. Musieli jak najszybciej dotrzeć na szczyt i sprawdzić ten trop.

Im wyżej wchodzili, im bliżej szczytu byli, tym siłą rzeczy robiło się chłodniej, a stromizna i śliski, udeptany śnieg coraz bardziej dawały starszej pani w kość. Przy każdym kroku aż drżała z wysiłku, jednocześnie zziębnięta i zlana potem. Zaświtała jej nawet myśl, że może powinna zawrócić, zanim zjedzie z tej góry nogami do przodu, i to prosto pod własny nagrobek wraz z gustownym wieńcem. Dlatego nie zaprotestowała, kiedy Karolek i Gerd zarzucili już wszelkie pozory i przejąwszy kijki, posłużyli jej za wsparcie.

– Rośniesz w mych oczach, chłopcze – przyznała pani Matylda, zwracając się do Karolka, kiedy tuż przed dziewiątą zatrzymali się u stóp zamku. Gdyby nie zapobiegliwość chłopaka, który z myślą o niej zabrał nie tylko kijki, ale też raczki turystyczne, nie pokonałaby ostatniego fragmentu podejścia.

Wspięli się po kamiennych schodach. Dwa sgraffitowe lwy zdawały się podtrzymywać opleciony ornamentami portal, w którym widniała uchylona brama. Za nią ujrzeni zamkowy dziedziniec. Nie byli pierwsi – kilkoro turystów kręciło się w pobliżu piętrowego budynekczku, w którym mieściła się wciąż nieczynna kasa biletowa, inni podziwiali bogate zdobienia na budynku bramnym, francuską armatę i górskie widoki. Po lewej, zaraz za mostkiem, przeżyła się charakterystyczna kwadratowa wieża, znana im już z pocztówki.

Uwolniwszy się na moment od asysty, pani Matylda przysiadła na najbliższej ławeczce, żeby złapać oddech, dać mięśniom odpocząć i dla odmiany bardziej wyteńczyć głowę. Tymczasem dzieci, jak o nich zwykła myśleć, rozpełzły się po dziedzińcu. Westchnęła, mierząc się z czarnymi myślami, które znów w niej wezbrały. Od początku nie miała złudzeń, czym się kierowali, podążając tym wąłym tropem, jaki poddała im pocztówka od Eleonory – rozpaczliwą nadzieją. A teraz, kiedy znaleźli się u celu, powróciło natrętne pytanie o to, co dalej, co potem. Jakie były szanse, że odnajdą dziewczynę? Nikłe, jeżeli nie zerowe. Ale może dzięki temu, gdy już... gdy już będzie po wszystkim, może wtedy równie rozpaczliwie uchwycą się świadomości, że przynajmniej próbowali coś zrobić. Zapobiec najgorszemu.

– Ej! – Wszyscy na dziedzińcu, z obcymi włącznie, obejrzeni się na Karolka, który stał przed kasą. – Patrzcie!

U boku pani Matyldy jak spod ziemi wyrósł Gerd. Prychnęła, ale przyjęła jego ramię – duma dumą, a nogi wciąż miała jak z waty. Naraz zatęskniła za swoją laską. Kijki, owszem, były nad wyraz praktyczne, brakowało im jednak charakteru. A bez charakteru... cóż. Bez charakteru pani Matylda czuła się jak staruszka.

Karolek nie musiał nawet nic mówić. Gdy tylko stanęli przed kasą, z miejsca zrozumieli, co przyciągnęło jego wzrok.

Po drugiej stronie szyby wisiały przeróżne pamiątki z numerami wypisanymi markerem na pomarańczowych naklejkach – mapy, broszury, zakładki do książek, magnesy na lodówkę, a nawet znaczek turystyczny PTTK z napisem: „Zamek Grodno w Zagórzcu Śląskim”, prostym drzeworytowym rysunkiem pośrodku i numerem, oczywiście sto dwudziestym ósmym, tak jak mówił Karolek.

Oraz, rzecz jasna, pocztówki. Ta opatrzona markerową siódemką wyglądała dokładnie tak samo jak ta, którą Dżusi miała w torebce, acz była w stanowczo lepszym stanie. Najwyraźniej kontakt z Poczta Polska nie służył nie tylko ludziom pokaranym awizo.

– No dobrze. – Gerd przerwał milczenie, gdy to przeciągnęło się już ponad jego wytrzymałość. – Co teraz? Pocztówka doprowadziła nas do Grodna, Grodno do starego znajomego, ale nie do Eleonory.

– Ani do porcelany – zauważyła Dżusi. – Wciąż nie wiemy, o co chodziło z tą porcelaną, może ona zaprowadzi nas dalej. Czy tu jest jakaś wystawa zamkowych nocników albo co?

Ponad ich głowami zaskrzypiały drzwi. Z pomieszczenia nad kasą zszedł po schodach wąsaty jegomość w grubym polarze i narciarskiej czapce, nieco przymałej, spod której wystawały wyjątkowo krzaczaste brwi. Przepinki na piersi mężczyzny natychmiast przyciągnęły sroczą uwagę Karolka.

– O, blacha – skonstatował odruchowo.

– Co, kolejny upragniony paciorek do twojej kolekcji? – Dżusi uniosła brew.

– No gdzie. To blacha przewodnika sudeckiego, tego się nie dostaje za piękne oczy!

Jego narzeczona aż podskoczyła, gdy dotarło do niej, co właśnie usłyszała. I co to mogło dla nich oznaczać.

– Halo, proszę pana! – zawołała, puszczając się biegiem za wąsaczem. Ten zatrzymał się w pół kroku i obejrzał na drobną blondyneczkę, która błysnęła najbardziej promiennym uśmiechem, jaki miała w swoim arsenale. – Przepraszam, czy mógłby pan...

– Samodzielne zwiedzanie obiektu od godziny dziewiątej – wyrecytował, nie czekając na ciąg dalszy – zwiedzanie z przewodnikiem o pełnych godzinach od godziny dziesiątej.

– Ale my nie chcemy zwiedzać zamku, proszę pana, tylko...

– Nie?... – powtórzył Karolek z takim rozczarowaniem, że nawet kamień ruszyłby się z miejsca, żeby natychmiast kupić bilet. Ale nie Dżusi. Dżusi pozostała nieugięta.

– Nie! – Tupnęła, przywołując go do porządku. – Nie mamy na to czasu. Proszę pana, prowadzimy bardzo ważne poszukiwania...

W przewodnika jakby piorun strzelił. Poczzerwieniał tak, że z trudem dało się określić, gdzie kończył się człowiek, a zaczynał polar.

– Proszę pani! – zakrzyknął z werwą, aż zakołysały mu się sumiaste wąsy. – Proszę pani! W kwestii amatorskich i niewątpliwie grabieżczych poszukiwań skarbów, skrytek i innych tajemnic drugiej wojny światowej z pewnością pani nie pomożę. Mowy nie ma! *No pasarán*, proszę pani, *no pasarán!*

– Ale my... – Dżusi próbowała mu przerwać, lecz przewodnik nie przestawał tokować.

– Pani się doksztalci! Pani sobie najpierw przeczyta rozporządzenie ministra kultury i dziedzictwa narodowego, ustawę o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami, potem pani uzyska zgodę odpowiednich władz

i instytucji, czyli właściwego konserwatora zabytków, gminy Walim, zarządcy...

– I co, może jeszcze rodziców, dziadków i księdza proboszcza?! – ryknęła, odpuszczając sobie urok osobisty miniaturowej seksbomby i sięgając po najcięższą broń, jaką dysponowała, czyli szewską pasję.

U jej boku zaraz stanęła płomiennowłosa Klara.

– Jakby tak pan z łaski swojej przestał klepać – wycedziła jak gdyby dla zrównoważenia – a zaczął słuchać, najlepiej ze zrozumieniem, to może by dotarło pod tę pańską czapkę, że my tu szukamy człowieka! W dupie mamy skarby, skrytki i cały ten szajs!

– Pani jest nieuprzejma!

– No szok stulecia! Ratuje ludzkie życie, gdzie moje maniery!

Obserwując tę wymianę ognia Matylda Bolesna uniosła oczy ku niebu.

– To moja szkoła, poznaję – mruknęła do zegarmistrza, wskazując na rozjuszoną ciotkę, potem zaś na bratanicę. – Ale to?

W odpowiedzi Gerd najpierw westchnął z rezygnacją.

– Geny, pani Matyldo. Geny. Przepraszam najmocniej! – zwrócił się do Bogu ducha winnego przewodnika. Prawdopodobnie ryzykował życie, przerywając zmasowany atak dwóch Sternowskich furii, ale był chyba zbyt trzeźwy, żeby się tym przejąć. – Źle zaczęliśmy tę... z braku lepszego słowa powiedzmy, że rozmowę. Nie chodzi nam o żadne hitlerowskie skarby. Akurat w tej kwestii wybitnie się z panem zgadzamy, nam też wychodzą już bokiem.

Krzaczaste brwi powędrowały w górę.

– Nie?...

– Nie. Słowo harcerza.

– A to, wie pan, miła odmiana. Miła. Wie pan, teraz co druga wycieczka w kółko wypytuje mnie o skarby, o złote pociągi... nawet o Bursztynową Komnatę! Rozumie pan? Bursztynową Komnatę! Tutaj! I wie pan co? Zrobi się cieplej i zaraz się tu zlecą z wykrywaczami metali. Tak zwane grupy poszukiwawcze, dobre sobie! Wandale, połowa z nich to zwyczajni bezmyślni wandal! – Wąsacz aż złapał się za głowę. – Rany boskie, co tu się będzie znowu działo...

– Sępy... – mruknęła Klara.

– A tak, sępy, tak! Dobrze pani mówi! Sępy, hieny i... i...

– Kondory?... – podsunął Karolek.

– O! Kondory, dobre! Dobre, muszę zapamiętać. – Przewodnik pokręcił głową i ściągnął krzaczaste brwi tak mocno, aż przez chwilę mieli wrażenie, że już nigdy nie zdoła ich rozdzielić z powrotem. – Ludzie są straszni, straszni... To mówicie, że ktoś zaginął, tak?

– Tak – odparła Klara nieco łagodniej. – Moja bratanica.

– A moja siostra – dodała Dżusi. Wyciągnęła z torebki wymiętoszoną kartkę i pokazała przewodnikowi. – Przysłała nam z Grodna tę pocztówkę. Sam pan widzi, że nie da się z niej wiele odczytać, a to nasz jedyny trop. Znajomego już rozgryźliśmy, została nam ta porcelana. Mówi to panu coś? Jakieś skojarzenie, legendy, pokrętne związki tego zamku z porcelaną?...

– Eee tam, nie takie znowu pokrętne – odparł przewodnik, trąc palcem prawą brew, jak gdyby ten gest uruchamiał u niego odpowiednie zasoby pamięci, nieczynne przed godziną dziesiątą. – Otóż, szanowni państwo, według legend z piwnic tego zamku wychodziły niegdyś tak zwane tunele ucieczkowe. Podczas oblężeń, a te z uwagi na położenie Grodna i burzliwe dzieje tych stron przytrafiały się regularnie, służyły do transportowania żywności oraz, rzecz jasna, ucieczki w razie najgorszego. Jeden z nich miał prowadzić aż do Freudenburga, czyli zamku Radosno. A dlaczego właśnie tam? Ano dlatego, że Radosno, Grodno, Rogowiec i Nowy Dwór tworzyły lokalną linię umocnień granicznych, strzegły też ważnego szlaku handlowego, który tędy przebiegał.

– Okej, teraz czuję się zobowiązana kupić bilet... – Klara rzuciła półgębkiem do pani Matyldy, a ta pokiwała głową.

– Natomiast drugi tunel ucieczkowy – ciągnął tymczasem przewodnik, uodporniony na mamrotanie turystów – kończył się rzekomo we wsi Tannhausen, która jeszcze trzy wieki temu wchodziła w skład zamkowych dóbr.

– I ta wieś miała coś wspólnego z porcelaną, tak? – zapytała z nadzieją Dżusi.

– Nie inaczej! Otóż, mili państwo, ówczesne Tannhausen to obecna Jedlinka, część Jedliny-Zdroju. Miejscowość uzdrowiskowa, leżąca około dziesięciu kilometrów w linii prostej stąd. O, tam. – Wskazał kierunek, a oni odruchowo podążyli wzrokiem za jego ręką. – Oznaczałoby to, że tunel łączący zamek Grodno z Tannhausen biłby rekordy długości. Pamiętajmy jednak, że mowa o legendzie, a legendy, jak wszyscy wiemy, rządzą się swoimi prawami i nie zawsze są to prawa logiki. W ramach

ciekawostki dodam, że na wieży tamtejszego kościółka ewangelickiego, którą dobudowano na początku dziewiętnastego wieku, umieszczono zegar pochodzący właśnie z zamku Grodno. A właścicielem znajdującego się w Jedlinie pałacu w latach tysiąc osiemset sześćdziesiąt jeden, tysiąc osiemset sześćdziesiąt cztery był niejaki Carl Krister, przedsiębiorca i założyciel słynnej na cały świat... – tu zawiesił głos, napawając się napięciem, z jakim oczekiwali na puentę – słynnej na cały świat fabryki porcelany: Krister Porzellan Manufaktur.

– Naprawdę nie rozumiem, czemu nie kupiłeś sobie tego znaczka. Przecież tam wlałeś, tak?

– Bez zwiedzania się nie liczy.

– Rany boskie...

Przeprosiwszy gorąco przewodnika zarówno zbiorowo, jak i indywidualnie, wracali na parking. Gerd z Karolkiem ostrożnie holowali panią Matyldę, a Dżusi nieustannie to trąła narzeczonemu, to głośno myślała.

– Grundmann, Grodno, porcelana – powtarzała w rytm własnych kroków – Grundmann, Grodno, porcelana, Grundmann, Grodno, porcelana...

– Kawalek kiełbasy dobrze obsuszonej...

– Że co? – Bratanica obejrzała się czujnie na ciotkę, która zamykała ich barwny korowód.

– Nic, nic. Mrucz dalej, jeśli ci to pomaga.

– Grundmann, Grodno, porcelana, Grundmann, Grodno, porcelana...

Okej. Okej, to mi się nawet układa w jakąś sensowną całość, ale...

– Ale co?

Dżusi przystanęła. Dotarli już na wysokość pałacu, w którym niegdyś mieściła się skrytka z dziełami sztuki – powojenny obiekt pożądania zarówno historyków, jak i szabrowników. A czasem historyków parających się szabrownictwem, jak chociażby ich nieświętej pamięci rodzice.

– No bo tak – zaczęła z namysłem, zapatrzona w bryłę poniżej szlaku. – To chyba jasne, czemu El wspomniała o Grundmannie, co nie? Zwiedzała ten tam zamek, przewodnik pewnie znów opowiadał o skrytce i skarbach

w pałacu. Zapadło jej w pamięć, wiadomo, w końcu to El. Chciała naskrobać coś nieoczywistego, coś więcej niż sztamkowe „Pozdrowienia z gór, Eleonora”, a nie wdawała się w szczegóły, bo nie miała pojęcia, że Poczta Polska obsłoni pół pocztówki. Pewnie uznała, że sprawdzimy Grodno w necie, zaraz wyskoczy nam Zagórze z Grundmannem i od razu skojarzymy gościa. No i słusznie, w końcu ostro nam w życiu namieszał. Ale o co jej chodziło z tą porcelaną i całą... jak jej tam, Padlinką?

– Jedlinką.

– Być może. Tam Grundmanna nie było, prawda? Więc skąd tamten pałac? Dlaczego El postanowiła napisać właśnie o porcelanie, a nie... bo ja wiem czym? Co jest w ogóle ciekawego w tych górach?

– Góry!

– Pytałam poważnie. Wiesz, nie każdy jest Karolkiem, Karolku.

Narzeczeni, którym od czasu do czasu w sukurs przychodziła ciotka, roztrząsali tę kwestię aż do samego parkingu. Tymczasem pani Matylda twardo udawała, że nie dostrzega żadnego z przelotnych spojrzeń, jakie raz po raz rzucał jej Gerd. Z ulgą uwolniła się z raczków i zamieniła kijki na starą, dobrą laskę. Może nie dawała tak fachowego oparcia z efektem antypoślizgowym, za to o wiele lepiej leżała w jej dłoni. A może to jej dłoń dobrze uleżała się na niej? Tak czy owak, przez tyle lat zdążyły dopasować się do siebie jak ulał.

Szybko zajęli swoje miejsca w samochodzie, żeby nie tracić czasu. Dopiero wtedy pani Matylda zdecydowała się przemówić.

– Ka pe em.

Siedziała pośrodku tylnego siedzenia, więc kiedy wszyscy na nią spojrzeli, znalazła się w centrum zainteresowania nie tylko w przenośni.

– Kapeco?

– Trzy litery, K, P, M. Krister Porzellan i tak dalej. Właśnie taka sygnatura widniała na filizance, którą znaleźliśmy wczoraj w leżu Ramzesa.

– Czyli jednak. – Klara nie ukrywała satysfakcji. – Czyli jednak Ramzes.

– Albo czysty przypadek – odparował Gerd tonem, który dobitnie sugerował, że jego zdaniem przerabiali ten wątek zdecydowanie zbyt wiele razy i mogliby sobie w końcu darować. – Nie każde nieszczęście jest mroczną sprawką Ramzesa.

Dżusi odpowiedziała mu równie wymownym parsknięciem.

– Jasne. Tak sobie wmawiaj, pieścioszku. Nie wierzę w przypadki.

– Proponowałabym – rzekła pani Matylda, która miała to nieszczęście tkwić niczym bufor między Klarą a Gerdem – abyśmy wstrzymali się z jakimikolwiek osądami i hipotezami na temat związków Ramzesa z zaginięciem Eleonory, dopóki nie znajdziemy niezbitych dowodów. Daleko stąd do Jedliny? – zapytała Karolka, który ustawiał nawigację.

– Jedliny czy Jedlinki? – uściślił.

– Jedliny – powtórzyła stanowczo. – Eleonora raczej nie zatrzymała się w pałacu.

– Ale to o nim wspomniała – zauważył Gerd.

Matylda musiała przyznać, że nie bez słuszności.

– Do centrum Jedliny wychodzi około jedenastu kilometrów, do pałacu niecałe dziesięć, tak jak mówił przewodnik. – Karolek szybko przeliczył dystans na czas. – Jeśli droga będzie w miarę czarna, dojedziemy tam w kwadrans. Możemy najpierw rzucić okiem na pałac, a potem podjechać do centrum i...

– I co? – Klara bez pardonu weszła mu w słowo. – No? Co wtedy? Czy którekolwiek z was się zastanowiło, co zrobimy, kiedy już tam dotrzemy? Będziemy się pałętać w tę i nazad ulicami obcego miasta o cholera wie, jakiej powierzchni...

– Siedemnaście i pół kilometra kwadratowego – uzupełnił Karolek niezrażony.

– ...i drzeć się na całe gardło, bo a nuż Eleonora usłyszy nas z zaświatów i miotnie szyszką na znak?

Spojrzenia, które rzuciła jej pozostała czwórka, nie pozostawiały cienia wątpliwości. Tak, właśnie tak zamierzali zrobić.

Dżusi spojrzała we wsteczne lusterko, prosto w żółte oczy Matyldy Bolesnej.

– Kwadrans – orzekła twardo, uruchamiając silnik. – I ani minuty dłużej.

Nawierzchnia była czarna przez większość trasy z Zagórza. Dżusi miała ciężką nogę, ale nie przekraczała dozwolonej prędkości. Ilekroć próbowała tej sztuczki, pełne nagany chrząknięcie z tylnego siedzenia przypominało jej o przepisach i elementarnym poczuciu odpowiedzialności za pozostałych uczestników ruchu drogowego.

A przynajmniej tak to interpretowała, być może przesadnie – a być może nie.

Zbliżali się już do granic miasta, gdy za kolejnym łukiem samochód nieoczekiwanie puścił się w płas. Dżusi wiedziała jednak, co robić. Przeklinając oblodzoną nawierzchnię i jednocześnie błogosławiąc zimowe opony, których nie zdążyła zmienić, wyprowadziła auto z poślizgu.

– Co, do cholery...?

Ze wszystkich stron samochód otoczył śnieg. Nawet nie woal, nie kurtyna – wręcz ściana śniegu, tak gęsto sypał się z nieba. I jakby zrobiło się ciemniej, zdecydowanie za ciemno jak na tę porę dnia. Chociaż Dżusi zaraz przełączyła światła na przeciwmgłowe, a wycieraczki pracowały na pełnych obrotach, jako taka widoczność kończyła się na dwóch metrach, ani centymetra więcej.

– Lokalne opady? – podsunął Karolek, próbując przebić wzrokiem wirującą biel.

– Cholernie intensywne, cholernie lokalne opady... – mruknęła. Ruszyła bardzo powoli, starając się wypatrzeć w zamieci, którą przebiega droga, żeby nie zjechać przypadkiem do rowu ani w pola. Zwały śniegu trzeszczały pod kołami bmw. – Daleko jeszcze?

– Jeszcze... – wściubił nos z powrotem w telefon, na którym wyświetlała mu się mapa – jeszcze... Ej!

– Co ej?

– Nie wiem! Nawigacja mi się przestawiła!

– Na co? Na Białystok?

– Na niemiecki! No sama... a nie, ty nie. Ty sam popatrz – Karolek odwrócił się do Gerda – niemiecki jak w mordę strzelił! Gdzie to się ustawia?

– A próbowałeś przełączyć na głośnomówiący?

– Paszoł won! – warknęła Dżusi zza kierownicy. – Żadnego głośnomówiącego, wkurwia mnie!

– Titku...

– Poważnie? Nawet z Hołowczycem?

– Hołowczyc też mnie wkurwia! Jedyne tryb głośnomówiący, jaki uznaję w samochodzie, to tryb Karolek. Paszoł won, powiedziałam!

Odpuściwszy drażliwy temat, zaczęli we dwóch deliberować nad komórką, która z jakiegoś powodu postanowiła komunikować się z nimi w języku Schillera, Goethego i Tokio Hotel. Dżusi odetchnęła głęboko,

próbując odeprzeć nieprzyjemne odczucie, że ta skłębiona biel napierała na nią, napierała z zewnątrz i od środka, śniegiem, który przesłaniał świat, pochłaniał światło dnia, oraz mgłą, która pożerała myśli. Przed oczami mignęła jej roztrzaskana na kawałki posrebrzana sowa i Dżusi pożałowała, że nie ma przy sobie niczego łatwo tłukącego. Potrzebowała tego, potrzebowała tego dźwięku, żeby ją wyrwał z otumanienia, z tego marazmu, w który znowu się osuwała.

– Spokojnie, dziecko. Spokojnie – dobiegło z tylnej kanapy. Pani Matylda. Posągowa, niewzruszona mimo okoliczności.

Dżusi bała się oderwać wzrok od drogi choćby na ułamek sekundy, więc tylko pokiwała energicznie głową, że owszem, słyszy i bardzo się stara, chociaż prawdę powiedziawszy, od spokoju wołałaby solidny wkurw. Działał ożywczo. Oddychając miarowo, skupiła się na drodze.

Minęli coś po lewej, coś dużego i masywnego, jakby kamienny filar. Parę minut później pośród śniegu zamajaczyły zabudowania z plamami światła w oknach i Dżusi zwolniła jeszcze bardziej. Wątpiła, aby przy tej pogodzie jakiś pieszy postanowił wybrać się na przechadzkę poboczem albo ulepić bałwana pośrodku drogi wojewódzkiej numer trzysta osiemdziesiąt trzy, lecz w zbłąkanego jelenia czy inszą zwierzynę też wołałaby nie wjeżdżać.

– Okeeej. – Zapatrzony w strzałkę, która sunęła po ekranie telefonu, Karolek uniósł wolną dłoń w uspokajającym geście. – Jedziesz, Titku. Trzymasz się drogi i jedziesz. Telefon gada językami, ale wciąż mamy zasięg, pokieruję cię. A jak się zasięg skończy, to mapę też mam, więc jedziesz.

– Jadę – powtórzyła do siebie. Kiepska mantra, ale lepsza taka niż żadna. – Jadę. Jadę, kurwa. Wolno, ale jadę. Słyszysz, El? Jadę, po ciebie jadę, więc lepiej, żebyś tam była w tej Padlince, żywa była, bo jak nie, to przysięgam, El, że cię zabiję. Odśnieżę, wskrzeszę i zabiję.

Reszta siedziała w absolutnym bezruchu i milczeniu, żeby jej nie przeszkadzać, podczas gdy Karolek intensywnie pracował nad zezem rozbieżnym, który pozwoliłby mu jednocześnie obserwować i milczące wskazania nawigacji, i stan faktyczny przed maską samochodu.

– Okej, Titku, teraz się skup – odezwał się po kilku minutach. – Za dwadzieścia metrów po lewej masz zjazd. Na pałac. W lewo, pod kątem prostym, i dalej prosto, ciągle prosto, zaraz będziemy na miejscu. Okej. Zjazd na pałac, Titku. W lewo. Zjazd masz, w lewo, zjazd, Dżusi, zjazd!!!

– NIE ZJADĘ, NIE WIDZĘ ZJAZDU!!!

Samochodem zakołysało. Zamiast skręcić, Dżusi zatrzymała się i włączyła awaryjne.

– Nie widzę. Nie widzę – powtarzała wycieraczkom do wtóru, już ciszej, chociaż serce wciąż tłukło jej się o żebra jak oszalałe. – Nie widzę zjazdu. Nie zjadę.

– Wiesz, Titku... że to akurat było bardzo... miło z twojej strony – odparł Karolek słabym głosem.

Po lewej, wzdłuż drogi, którą brnęli kwadrans za kwadrans, piętrzyła się biel – biel ni to mgły, ni to śniegu, tak gęsta, że prawie zbita. Nieprzenikniona. Nierealna.

Karolek przełknął ślinę. Już raz widział taką biel. Gdzieś. Kiedyś.

– Słuchajcie, czy tylko ja... znaczy, czy tylko mnie się wydaje, że...

– Że co? – zapytał Gerd, bo chłopak zamilkł na powrót. Wraz z nim uparcie milczała cała reszta. Słysać było jedynie głuchy wizg wiatru na zewnątrz i szuranie wycieraczek, które pracowały niestrudzenie.

Naraz pani Matyllda nachyliła się i zacisnęła kościste palce na ramieniu Karolka. Aż się wzdrygnął, upuszczając telefon na podłogę.

– Włącz radio – rozkazała. – Włącz. Radio. Natychmiast.

Jedną ręką macając gumową wycieraczkę w poszukiwaniu telefonu, drugą wcisnął włącznik i na wszelki wypadek od razu podgłośnił. Po czym znieruchomiał.

Kiedy Dżusi siedziała za kółkiem, nie znosiła, żeby coś jej grało, dzwoniło lub wydawało rozkazy. Karolek nie miał podobnych obiekcji, dlatego samochodowe radio było zawsze ustawione domyślnie na częstotliwość jego ulubionej stacji.

Tyle że nikt w niej nigdy nie mówił po niemiecku.

Ani po węgiersku.

A już z pewnością nie...

– Czy... eee, czy to jidysz?...

Pani Matyllda szarpnęła się do przodu, lecz pas zablokował się z miejsca, więżąc ją na siedzeniu.

– Do jasnej... uwolnij mnie z tego!

Gerd, który siedział po lewej, błyskawicznie sięgnął do klamry. Ledwie poczuła, że nic jej nie trzyma, pani Matyllda chwyciła się siedzenia kierowcy i wychyliła mocno do przodu.

Jej dłoń zastygła bezradnie przed kokpitem.

– Gdzie tu się zmienia stację? Częstotliwość?

– Tym tutaj. Może ja...

– Nie! – huknęło tuż za nim. Sekundę później Klara Stern zawisła nad Karolkiem niczym dusza potępiona. – Nie rusz! Musi to zrobić sama, inaczej nie zadziała.

– No, dalej, dziewczyno, dalej... – mamrotała pani Matylda. Nasłuchując, raz po raz naciskała wskazany przycisk. – Jesteśmy blisko, tylko odezwij się. Na litość boską, jak się wywołuje dusze na falach radiowych?!...

– ...tylde!

Echo, już nie szept, ale echo rozpaczliwego wołania dobiegało z samochodowych głośników fala za falą. Każde z nich rozpoznało ten głos. Zaczęli krzyczeć jedno przez drugie.

Pani Matylda gestem nakazała im ciszę.

– Eleonoro! – zawołała. – Dziecko, czy ty mnie słyszysz?

Lecz pojedyncze słowa, tak jak morskie fale, gdy tylko dotarły do celu, zderzały się z hukami, który wszystko zagłuszał. Ich uszu dolatywały zaledwie strzępy skłębionych słów:

– ...yldo! Ra...nku!

– Jestem tu, dziecko, jestem. Już. Już. Idziemy po ciebie. Mów, gdzie cię szukać?

– ...ało w kwia...ch...szuka...nie w... atach!

Coś trzasnęło, szcęknięło tak głośno, że cała piątka podskoczyła, i Eleonora umilkła. Głośniki szumiały teraz monotennie i nawet dłonie pani Matyldy nie wydobyły z nich niczego więcej.

– Słyszeliście to? – Dżusi obejrzała się na pasażerów. – Mówiła coś o kwiatach? „Ciało w kwiatach”? Ale w jakich kwiatach, chodzi o jakąś kwiaciarnię czy co, czy ona nie mogłaby się wyrażać jaśniej!?

– No... pod Wałbrzychem jest dość słynna palmiarnia...

Klara pokręciła głową.

– Wyraźnie powiedziała „nie”. „Nie w kwiatach”.

– „Mnie w kwiatach” – poprawił stanowczo Gerd.

– Patrzcie go, jaki pewny. Moczymorda i medium w jednej skromnej osobie?

– Zegarmistrz – przypomniał sucho, ignorując zaczepkę. Nie miał teraz sił na użeranie się z tą babą i jej małą złośliwością. Głos Eleonory z zaświatów wprowadził go w wewnętrzne drzenie, nad którym ledwo

panował. – W tym fachu oprócz sprawnych palców przydaje się też czułe ucho. „Ciało w kwiatach. Szukajcie mnie w kwiatach”, tak powiedziała.

– No tak, bo po co miałyby podawać współrzędne... – zaburczał Karolek, na co Klara fuknęła:

– A ty nie marudź, tylko szukaj!

– Ale czego?!

– Kwiatów!!! – odpowiedzieli chórem Klara, Dżusi i Gerd.

– Dobra, już szukam, tylko niech mi ktoś powie, jak to będzie po niemiecku?!

– *Blumen* – powiedziała pani Matylda, po czym przeliterowała dla pewności.

Karolek wpisał dyktowane słowo do paska zbuntowanej nawigacji i kliknął ikonę z lupką. Zasięg był coraz słabszy, wyszukiwanie ciągnęło się w nieskończoność. Musiał co chwilę smyrać ekran, żeby telefon mu się nie wygaszał.

– O! Mam coś! – Przesunął się z komórką tak, żeby oni też widzieli. – Feld... Feldblumen Pen... coś?

– *Feldblumen Pension* – poprawiła odruchowo Matylda Bolesna. – Pensjonat Kwiaty Polne. Brzmi kwieciście.

– Czekać. – Karolek wyciągnął ze schowka składaną mapę Sudetów Środkowych. Znalazł odpowiedni fragment i skrupulatnie porównał z tym, co wskazywała mu nawigacja w telefonie. Jasne, nowoczesne technologie bardzo ułatwiały życie, wymagały jednak zasięgu, który w każdej chwili mogli stracić już całkiem, a do tego równie zawodnej baterii. No i czasem postanawiały przemówić do człowieka w języku, którego akurat ni w ząb nie rozumiał. Nie to co niezależny językowo, analogowy kawałek papieru, laminowanego i zgodnego z układem WGS-84. Przyjechali od strony Zagórza, pałac był tutaj, jeśli uwzględnić jeszcze układ głównych dróg i skalę, to pensjonat musiał znajdować się mniej więcej w tym punkcie. – To niedaleko stąd – ocenił. – Północny zachód, tylko że...

– Wyznaczaj trasę – poleciła mu Dżusi i uruchomiła silnik. Sześć cylindrów zamruczało pod maską. Stęskniła się za tym dźwiękiem, najchętniej nie słuchałaby niczego innego.

– Tylko że trzeba będzie podjechać dość ostro pod górę – dokończył cierpliwie Karolek. Na dowód pokazał palcem na mapie właściwe poziomicę oraz trzy szczyty w bezpośredniej bliskości miejsca, gdzie

kierował go GPS. – Kamienna, sześćset trzydzieści jeden metrów, Kobiela, pięćset osiemdziesiąt osiem, Rzepisko, pięćset sześćdziesiąt jeden. A ta kreska tutaj, widzisz? Z takimi kwadracikami? Tak się na mapach oznacza wyciąg. Czeka nas ostry podjazd, w tych warunkach pogodowych, naszą kobyłą. Dasz radę? – zapytał z troską.

Odziedziczone po prawie że teściu czarne bmw miało już swoje lata i kilometry na liczniku. W warunkach miejskich, na co dzień, sprawdzało się średnio. Dżusi klęła, na czym świat stoi, ilekroć musiała manewrować tą kobyłą na podziemnych parkingach, w wąskich uliczkach Starego Miasta albo wkomponować się w miejsce pod blokiem, zdecydowanie za małe na jej ambicje i rozmach, lecz i tak kochała to auto. Bo gdy trzeba było, w czarnej kobyle budził się czołg. A Dżusi lubiła czołgi. Były duże, ciężkie i rozjeżdżały wszystko, co ośmieliło się stanąć na ich drodze lub nie uciekało dość dynamicznie. Jej wzrok w tym momencie nie pozostawiał żadnych wątpliwości – Karolek powinien się cieszyć, że nie stoi przed maską, bo strzał ostrzegawczy z lufy dostałby na dzień dobry. A potem zrobiłoby się ciekawiej.

– MILCZ – wycedziła, po czym skorygowała wytyczne. – Znaczy, mów, którą mam jechać. Ale poza tym to milcz.

Wrzuciła bieg i już miała ruszyć w kierunku centrum, kiedy w ostatniej chwili kątem oka dostrzegła ruch. I zmartwiała.

Nie. Po prostu... nie.

Nie mogła tego widzieć.

Nie mogła i już.

– Muszę się napić – usłyszała za sobą ochrypły głos Gerda.

– Wiesz, że... ja chyba też.

Wyłaniali się z bieli od strony zjazdu dwójkami i skręciwszy w lewo tuż przed maską samochodu, maszerowali dalej, na północ. Rozmawiali, śmiali się. Ktoś gwizdał nieznaną im skoczną melodię. Jak gdyby wokół nie szalała zamieć. Jak gdyby droga pod ich podeszwami nie ginęła pod lodem i śniegiem, który miejscami prawie sięgał już kolan, a na poboczach piętrzył się w masywne zwały. Jak gdyby nie widzieli ani czarnego bmw, migającego czerwonymi światłami dokładnie na wprost zjazdu na pałac, ani ludzi, którzy siedzieli w środku, wstrząśnięci i oniemieli.

– Co się wyprawia w tej pieprzonej Padlince?... – pomału zapytała Dżusi, kiedy ostatnia ciemna postać zniknęła w zadyńce przed nimi.

Świat na zewnątrz samochodu znów wydawał się zupełnie normalny – nie licząc, rzecz jasna, zamieszkujących go mojr, psychopompów i strzygoni. Tyle że z nimi zdążyła się jako tako oswoić.

– Jedlince – poprawił odruchowo jej narzeczony, jednocześnie próbując cokolwiek z tego zrozumieć. Jego umysł konsekwentnie odmawiał współpracy z obrazami, jakich dopiero co dostarczyły mu oczy. – Przecież to nie miało sensu! To nie miało prawa się wydarzyć!!!

– Ale wydarzyło się... prawda?

– Myślicie, że... że nam się już do końca we łbach poprzestawiało? Zmysły nam się pomieszały czy jak? No bo... bo chyba nie chcecie powiedzieć, że my...

– Że naprawdę widzieliśmy maszerującą kolumnę niemieckich żołnierzy w pełnym umundurowaniu i uzbrojeniu? – dokończył za niego Gerd. Przetarł twarz dłonią. Zaszło mu w ustach, a drżał teraz tak, że chyba tylko cudem nie dzwonił zębami. – Tak. Właśnie to widzieliśmy.

– Ale... ale jak?! JAK?!

Obydwie kobiety na tylnym siedzeniu aż do tej pory milczały. Młodsza, ze wzrokiem utkwionym we własnych dłoniach, pokręciła głową.

– To nie zmysły, Karolku. Tylko czas. Coś wzburzyło czas. Wymieszało warstwy.

Dębowa laska stuknęła o podłogę. Gumowy dywanik wytłumił odgłos, ale sam gest wystarczył, żeby pani Matyllda przykuła ich uwagę.

– Nie. Nie! – powtórzyła, tym razem ostrzej. – To nie ma sensu, nie może go mieć. Jesteśmy na powierzchni, tu i teraz. Żadne z nas się nie przeprawiało. Co więcej, żadne z nas, oprócz ciebie, nawet nie umie tego samodzielnie zrobić. Jak, jak niby mielibyśmy wzburzyć czas?!

Klara Stern w końcu podniosła wzrok na dawną nauczycielkę. Rozumiała jej wzburzenie. Sama też nie wiedziała, jak to możliwe, że stało się to, co się stało. Ale zmysł psychopompa podsunął jej rozwiązanie, którego oni nie mogli dostrzec. A może nie chcieli? Cóż, nie winiłaby ich za to. W obliczu prawdy też wiele by dała za choć chwilę ułudy.

– My nie jesteśmy blisko Eleonory, pani Matylldo. A przynajmniej... nie tylko niej – wyszeptwała. Z jej zmęczonych oczu wyzierał czysty, zwierzęcy lęk. – Jesteśmy blisko dna.

Hubert Dobrzyń drzemał. Starał się czuwać, na wypadek gdyby... gdyby coś się zmieniło, zmęczony organizm miał jednak swoje prawa i bezwzględnie je egzekwował. Zresztą, nic dziwnego. Był zmęczony – bólem, bezsennością, niepewnością, w końcu też i samym zmęczeniem. Czy stał, czy siedział, czy dreptał, prędzej czy później powieki opadały mu tak ciężko, że nie mógł ich już dźwignąć, a w ślad za nimi wędrowała ołowiana głowa. Budził się po kilku, czasem kilkunastu minutach płytkiego snu bez snów, nadal zmęczony i na dodatek zdjęty przerażającym przecuciem, że przespał najgorsze.

Ale nie. Najgorsze trwało.

Gdyby ocknął się chwilę wcześniej, nie umknąłby mu tumult i podniesione głosy na ganku przed domem. Teraz cały pensjonat Kwiaty Polne spowijała martwa cisza, która towarzyszyła im już trzeci dzień. Z początku wprawiała go w lekką nerwowość, ale zdążył się z nią oswoić. Trwająca kolejną dobę potężna zamieć, której nie przewidziała żadna prognoza pogody, czy to krajowa, czy zagraniczna, na dobrą sprawę uwięziła w domach mieszkańców i nielicznych turystów, wielbicieli gór wczesną wiosną. Jeszcze wczoraj jakoś funkcjonowali, chociaż wyprawa z plecakiem na dół, do najbliższego sklepu i apteki, a potem z powrotem na górę zajęła Hubertowi prawie cztery godziny. Samo odkopanie samochodu z zasy na parkingu przy pensjonacie trwałoby jednak co najmniej tyle samo, a na dodatek mijało się z celem, jako że droga przed pensjonatem była dla niego właściwie nieprzejezdna. Dopiero na niżej położonych ulicach dało się postawić śmiałą tezę, że dawno temu przejeżdżał tędy pług. Kiedy Hubert wspiał się wreszcie najkrótszą drogą do pensjonatu, taszcząc na plecach zapas opatrunków, ibuprofenu, dużą butelkę octeniseptu i kilka podstawowych produktów spożywczych, miał przemoczone na wylot buty i nie czuł palców u stóp. Za to zdarty od żeber aż po udo bok czuł aż za dobrze.

Ale dzisiaj już nikt nie ryzykował opuszczenia domu. Chociaż czasem, gdy wyglądał przez okno, wydawało mu się, że pośród tumanów śniegu dostrzega sunące pomału smugi ludzkich sylwetek. Niektóre były niepokojąco drobne, jakby należały do dzieci.

Hubert poszedł do łazienki, żeby przemyć twarz zimną wodą. Ciepłej wolał nie marnować. Co prawda linie energetyczne jeszcze się trzymały, bez większych przerw zaopatrując miasto w prąd, za to zapas ekogroszku

w kotłowni pensjonatu kurczył się w niepokojącym tempie. Mógł się skończyć szybciej niż zamieć.

Zachciało mu się herbaty, mocnej, z absurdalną ilością cukru, poszedł więc do kuchni, zostawiając za sobą uchylone drzwi pokoju. Na szczęście w sklepie mieli jego ulubioną – z punktu widzenia konesera zapewne popłuczyny niezdatne do spożycia, ale jemu smakowała, kupił więc pudełko. Kiedy woda w czajniku zaczęła szumieć, wrzucił torebkę do kubka i zasypał trzema łyżeczkami cukru. Po krótkim wahaniu wyciągnął z szafki pudełko ciastek o smaku maślanym. Skład wołał o pomstę do nieba – olej palmowy z syropem glukozowo-fruktozowym i ani grama prawdziwego masła, co nasuwało poważne wątpliwości co do pochodzenia rzekomego smaku – w tym momencie jednak Hubert potrzebował pustych kalorii, które pobudziłyby jego mózg. Dla równowagi zje potem kaszę z warzywami, obiecał sobie. Dołoży więcej brokuła, może tętnice mu to wybaczą.

Zmarszczył czoło. Zdawało mu się, że coś słyszy.

– ...EEEEEEEEEL!

Prawie upuścił pudełko z herbatą. Na zewnątrz ktoś krzyczał. Hubert skoczył do okna i wyjrzał na ulicę przed pensjonatem.

Czarny samochód stał z włączonymi światłami pośrodku jezdni, niemal wbity w zwały śniegu. Przy nim kręciły się cztery postacie. Nie, trzy, poprawił się szybko. Ta czwarta, wysoka i nieruchoma, wspierała się ręką o maskę auta i rozglądała po ulicy.

– El! Eeel, do cholery, odezwij się! – darła się najdrobniejsza z postaci, we wściekle czerwonej kurtce.

Dwie pozostałe wtórowały jej donośnymi męskimi głosami:

– Eleonoro!

– ELEONORO!!!

– Jezus Maria... – wyszeptał Hubert i pognał na dół, zapominając o herbacie i teoretycznie maślanych ciastkach.

W recepcji nikogo nie było, a wejścia przed intruzami strzegł zamek magnetyczny. Hubert w ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie zabrał przecież klucza, i zablokował drzwi grubą, ciężką wycieraczką, a potem w samych kapciach wypadł na ganek.

Piąta postać stała kawałek za furtką – to dlatego nie widział jej z góry. Obróciła się, słysząc za sobą ruch, i Hubert zdębiał.

Eleonora...?

Kiedy minął pierwszy szok, zaczął dostrzegać, jak wiele, mimo uderzającego podobieństwa z twarzy i sylwetki, różniło tę kobietę od Eleonory. Włosy miała dłuższe, do ramion, a do tego płomiennie rude. Jej czoło przecinała pionowa zmarszczka, zdradzająca skłonność do łatwego popadania w gniew. Była też starsza, choć nie więcej niż parę lat, ubiorem zaś przypominała barwnego ptaka. Mimo mrozu i zamieci spod płaszcza wystawała jej długa spódnica z grubego materiału w kolorowe, hipisowskie maziaje. Najbardziej jednak uderzyły Huberta jej oczy – piękne, tak, bez dwóch zdań, ale całkiem zwyczajne w porównaniu z oczami Eleonory.

Hubert chłonał każdy szczegół, nie zwracając uwagi ani na śnieg, który nasypał mu się do kapci, ani na fakt, że jego zmieszanie także nie umknęło uwadze kobiety. Widziała po nim, że ją poznał, chociaż nie mógł, bo przecież nigdy się nie poznali. Podeszła krok bliżej, przyglądając mu się pytająco. Nie, nie pytająco. Błagalnie.

– Jest pani do niej bardzo podobna – odezwał się. – Bardzo.

Aż na parę sekund zaparło jej dech, choć nie wiedział, czy bardziej z emocji, czy od mroźnego powietrza, które wciągnęła zbyt gwałtownie.

– Pan ją zna? – wydusiła wreszcie. – Pan zna Eleonorę?

Słyszając to, pozostali zlecieli się w okamgnieniu.

– Eleonora? Jest tutaj?

– Gdzie ona jest?!

– Eeel! EEEEEEL!!!

Potoczył wzrokiem po pozostałych, próbując ich spamiętać i nie ogłuchnąć od tych okrzyków. Dwóch młodych, zdrowo wyrosniętych mężczyzn. Od pierwszego biła taka życzliwość, że człowiekowi robiło się błogo na duszy, drugi, z blizną na czole, równoważył to ciężką, depresyjną aurą. Dziewczyna, dwudziestoparoletnia, emanowała energią zupełnie niewspółmierną do drobnej powłoki. Nic dziwnego, że to ona z całej piątki krzyczała najgłośniej. No i ta starsza kobieta z laską – majestatyczna właścicielka najbardziej przenikliwego spojrzenia, jakie kiedykolwiek przyszło mu znosić. Skinęła ręką. Reszta umilkła.

– Niech pan posłucha, panie... – Kobieta zawiesiła wyczekująco głos.

– Hubert Dobrzyń.

– Matylda Bolesna – przedstawiła się, by następnie dokonać szybkiej prezentacji reszty towarzystwa. – A to Klara, Justyna...

– Dżusi!

– ...Gerd i Karolek. Panie Hubercie, stało się coś bardzo złego. Ale to pan zapewne już wie. Musimy jak najszybciej zobaczyć Eleonorę.

Oni wiedzieli. Wiedzieli, co się stało, słowa tej kobiety wyraziły wszystko. Zobaczyć Eleonorę. Jakby mówiła o kimś nieprzytomnym albo martwym.

Hubert skinął głową na znak, że rozumie.

– Umiecie jej pomóc?

– Ja umiem – odparła bez wahania rudowłosa kobieta, znowu marszcząc czoło. Klara. Ktoś w ich rodzinie wykazywał słabość do nadawania dzieciom niecodziennych imion, uznał, całkiem już pewien, że obie Eleonory, ta ruda i ta czarnowłosa, są ze sobą spokrewnione. – I tylko ja – dodała z naciskiem.

– Chodźcie.

Poprowadził ich przez recepcję do schodów. Na korytarzu natknęli się na gospodynię, która dopiero co wyszła z kotłowni w piwnicy. Na ich widok wzięła się pod boki, zupełnie ignorując fakt, że ręce ma całe czarne.

– Czy ja mam wezwać policję, żebyście państwo wreszcie zrozumieli? – Zmierzyła ich groźnym wzrokiem. – Ostatni raz powtarzam: nie, nie powiem wam, kto mieszka w moim pensjonacie albo w nim nie mieszka, to są wrażliwe dane osobowe, a ludzie mają prawo do prywatności!

Hubert, który szedł pierwszy, wychylił się zza załomu schodów.

– Ci państwo są ze mną, pani Ewuniu kochana.

– Panie Hubercie...

– Proszę się nie obawiać, ci państwo są rodziną Eleonory. Wypijemy razem kawę, zjemy ciasteczko, porozmawiamy. Sama pani wie, co się tam dzieje. Proszę, proszę – zwrócił się do przyjezdnych, poganiając ich dyskretnie, żeby szli przodem. – Zapraszam państwa na górę. Pani Ewuniu – rzucił do gospodyni – proszę się nie obawiać, ja pani potem wszystko wyjaśnię.

– Eleonora powiedziała, że mam nic nie robić – zaczął tłumaczyć, idąc schodami na piętro. – Pod żadnym pozorem nikogo nie wzywać, niczego nie ruszać. Że nie muszę się martwić, bo zaraz wróci. Ale nie wróciła i... nie wygląda to najlepiej.

Znalazłszy się razem z nimi na piętrze, wskazał uchylone drzwi z numerem trzecim. Tak jak przypuszczał, Klara pobiegła przodem, dopiero za nią podążyła reszta.

– El!

– Rany boskie...

Eleonora wciąż siedziała tam, gdzie usiadła przed trzema dniami – przy stoliczku pod oknem, z zamkniętymi oczami, zwieszoną bezwładnie głową i starym zegarkiem w prawej dłoni. W lewej ścisnęła łyżeczkę. Z jakiegoś powodu uparła się, że te dwie rzeczy przydadzą jej się... tam. Czy raczej wtedy? Co z tego, że wyjaśniała mu to dwukrotnie, po czym zaprezentowała w praktyce, skoro wciąż nic z tego nie pojmował.

Choć już wcześniej Hubertowi wydawała się nienaturalnie blada, to dopiero teraz, gdy tuż przy niej uklękła barwna, żywa Klara, dostrzegł, że przez te trzy dni Eleonora zrobiła się niemal przezroczysta.

A nawet – na tę myśl nogi lekko się pod nim ugięły – przezroczysta całkiem dosłownie.

Klara tymczasem ostrożnie rozchyliła palce bratanicy, żeby odsłonić znajomą pasówkę. Przyjrzała się wskazówkom i szybko dokonała obliczeń.

– Jeszcze mamy czas. Niewiele, ale mamy.

– Zdążysz?

– Powinam. – Rozpinając w pośpiechu płaszcz, obejrzała się na Huberta. – Muszę za nią iść, natychmiast. Dokąd...

– Czternasty sierpnia czterdziestego dziewiątego roku – odparł, zanim dokończyła swoje pytanie. Pamiętał, o co wypytywała Eleonora, zanim... to zrobiła. – Pałac Jedlinka, to niedaleko.

– Wiem. Jak tam dotrę? Stąd?

– Przecież właśnie stamtąd przyjechaliśmy! – oburzył się Karolek. Ściągnął plecak, z przedniej kieszeni wyjął mapę i podał Hubertowi, a ten położył ją na stoliczku tak, żeby Klara dobrze widziała, i zaczął sunąć palcem od punktu do punktu.

– Niech pani spojrzy. Z pensjonatu trzeba iść tędy w lewo, do końca ulicy i znowu w lewo, aż na sam dół. Potem w prawo i dalej aż do wiaduktu, a za wiaduktem... Nie, to bez sensu. Słuchajcie, to jest trzy kilometry stąd, pół godziny marszu. Może was tam zawiozę?

– Wyglądał pan ostatnio za okno? – zapytała uprzejmie Matylda Bolesna.

– Wasz kierowca jakoś dał radę, prawda?

– Ale ten kierowca ma za sobą dodatkowy kurs kontroli poślizgu, kurs wymijania przeszkód, kurs jazdy ekstremalnej na torze i płycie

poślizgowej – wymieniła Justyna, czy też Dżusi, jak chyba wołała sama zainteresowana. – Oraz eco drivingu. No co? – odpowiedziała na zdumione spojrzenie Karolka. – Ty studiujesz paragrafy, a ja się uczę rzeczy pożytecznych.

– Czyli jest pani w stanie zawieźć tam koleżankę, czy tak?

– Ciotkę – sprostowała. – Klara jest naszą ciotką, moją i Eleonory. Młodszą siostrą naszego, pozał się Boże, ojca.

– Ach. – Czyli dobrze obstawiał. Tak, tak bliskie pokrewieństwo tłumaczyło i podobieństwo, i imiona.

– A odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: takiego wała. Dopóki nie dowiem się, co tu się odpierdala, moja noga nie postanie nawet w pobliżu tego pałacu. Opona mojej kobyły też.

– Bez obaw, panie Hubercie – wtrąciła się pani Matylda, gromiąc wzrokiem dziewczynę, która niespecjalnie się tym przejęła. – Samochód nie będzie potrzebny.

– No... no dobrze, ale piechotą w tych warunkach...

– Ależ Klara nie będzie brnęła przez śnieg, zapewniam pana. Na pewno nie w sierpniu, prawda? – Naraz na jej twarzy odmalowała się konsternacja. – Przepraszam, nie chcę być niedyskretna, ale... czy to krew?

– Proszę? Och... – Ciemnoczerwone plamki, które rozkwitły na jego boku, nie były wielkie, za to doskonale widoczne na jasnym, gładkim tle. Kolejna koszula nadawała się wyłącznie do prania. – Najmocniej przepraszam, chyba znów zacząłem przeciekać.

– Pan jest ranny?

– Otarty – sprostował. Sytuacja ewidentnie go krępowała. – Dość solidnie, to fakt, ale nic poza tym. Tyle że bez pomocy Eleonory nie za bardzo umiem się opatrzyć... no i takie są tego konsekwencje.

– Damy radę – skwitował Karolek. – Ja też ukończyłem parę kursów. Ma pan jakieś opatrunki i tak dalej?

– Tak, leżą u mnie w pokoju. Zaraz je...

Nie dokończył. Musieli się wszyscy odsunąć, żeby przepuścić Gerda, który bez słowa poszedł do kuchni i wrócił po chwili z dwoma krzesłami. Ustawił obydwie przy stoliczku.

Klara spojrzała na niego z niepokojem.

– A to drugie to na co?

– Idę z panią, panno Stern.

– Co!? Mowy nie ma!

– A ja myślę, że jest. – Splótł ręce na piersi, doskonale świadomy wymowy tego gestu. Klara Stern mogła mu naskoczyć. – Eleonora powiedziała temu miłemu panu, żeby się nie martwił, bo zaraz wróci. Pewnie tak sądziła. Tyle że to było prawie trzy dni temu, a ona do tej pory tam tkwi. Czyli coś musiało ją zatrzymać, i to coś, czego nie mogła przewidzieć.

– Albo zwyczajnie nie umiała – odparowała Klara zadziornie.

– Bardzo możliwe. A teraz proszę sobie przypomnieć, co widzieliśmy po drodze, co sama pani mówiła, proszę to poskładać do kupy i zastanowić się dobrze, jaką ma pani gwarancję, że to coś nie zatrzyma też pani.

Obejrzała się na Matyldę Bolesną, która siedziała na skraju łóżka z dłońmi złożonymi na główce laski. Wszyscy, z przeciekającym Hubertem włącznie, czekali, co powie starsza pani. Czekali na werdykt.

– Gerd ma rację – przyznała po namyśle. – Jeżeli pójdziesz sama i utkniesz, to koniec. Koniec. Bez Ramzesa nie będzie już absolutnie nikogo, kto mógłby wam pomóc. Utoniecie obie, najpierw ona, i to w ciągu najbliższej godziny, a potem ty. Ktoś musi z tobą iść.

– To może ja? – zaoferowała Dzusi. – Mnie też ciotka nie znosi, ale trochę mniej niż Gerda. Chyba.

– Wykluczone – orzekła natychmiast pani Matylda. – Po moim trupie, Justyno Stern – ucięła jej protesty tonem niepozostawiającym już żadnych wątpliwości, że jeszcze słowo i trup niewątpliwie tu padnie, acz niekoniecznie ten, którego wskazywałaby wygłoszona przed momentem deklaracja bądź chronologia urodzeń. – Ja iść nie mogę, bo gdyby doszło do najgorszego, nikt inny was tu nie usłyszy. Karolek musi zająć się panem Hubertem, a po waszym powrocie Eleonorą. Idziesz z Gerdem, Klaro, i na tym koniec dyskusji.

Ciotka wydała z siebie przeciągły jęk.

– Przecież on nigdy się nie przeprawiał!

– Ale ogarniam teorię, znam chronometry, i to nieporównywalnie lepiej niż pani, panno Stern, w sytuacjach podbramkowych nie tracę głowy, no i... – zawiesiwszy głos, Gerd wzruszył ramionami – ...i raczej nikt nie będzie po mnie płakał, jeżeli nie wrócę.

– Samobójca. Cudownie.

– No. Idealny towarzysz podróży w czasie.

Gdyby miała więcej czasu, pewnie wybiłaby mu to z głowy, jeśli nie racjonalnymi argumentami, to dziką awanturą, na którą w tej sytuacji nie mogli sobie niestety pozwolić. Wyjęła z portfela monetę i położyła na stoliku.

– Siadaj.

Zajął miejsce na wprost Eleonory, zostawiając Klarze krzesło pomiędzy nimi.

Kiedy wyciągała z torby sowy zegar z chronometrami, sam jego ciężar wystarczył, by ukryć, jak bardzo drżały jej ręce. Ale potem poszło już znacznie gorzej. Wyciągnąwszy mniejszy chronometr z wnęki, dopiero za trzecim razem zsynchronizowała go z głównym, zanim zawiesiła sobie na szyi i wsunęła pod sweter tak, by dotykał nagiego ciała. Rzeczywiście, zegarmistrz znał teorię. Wiedział, co robić, a czego nie. Zamiast wziąć buteleczkę z belladonną i zakropić sobie oczy, jak zapewne zrobiłby ktoś całkowicie nieobeznany z tematem, chwycił Klarę za nadgarstek, żeby nie drżała jej dłoń. Musiała to zrobić osobiście.

– Trzymaj się mnie – poleciła, kiedy mrugał jak szalony, żeby rozprościć płyn pod powiekami. Wsunęła Gerdowi monetę do lewej dłoni i zacisnęła na niej jego palce. – Gdybyśmy się z jakiegoś powodu rozdzielili, zostań tam, gdzie jesteś, wrócę po ciebie. A gdyby... gdyby...
– Nabrała powietrza i naraz oddech jakby uwiązł jej w piersi, a serce zatrzępotowało panicznie. Nie mogła, nie mogła, nie mogła...

– Hej. Hej. Popatrz na mnie.

Delikatnie ujął palcami nadgarstek Klary. Czuł jej oszalałe tętno, musiał czuć.

– Nie zostawię cię – powiedział cicho, darując sobie konwenanse, kiedy wreszcie podniosła wzrok zamglony łzami. – Słyszysz? Cokolwiek się stanie, nie zostawię cię tam samej, Klaro Stern.

Nie mieli już czasu na subtelności. Wynurzenie było gwałtowne.

Nie tego się spodziewał, z pewnością nie tego. Zaciskał kurczowo powieki, próbując odepchnąć od siebie to wszystko – ogłuszający łoskot czasu, natrętne wspomnienia koszmaru, z którego dopiero co wyrwali Eleonore, teraz bezwładną i zimną w jego objęciach, bezwładną i zimną jak trup, jak topielec wywleczony z wody. A przede wszystkim tę

świadomość, jeszcze boleśniejszą, bolesną aż do granic szaleństwa, że to być może ostatni raz, kiedy są tak blisko, bo gdy tylko znajdą się na powierzchni, wraz z przytomnością wróci Eleonorze pamięć o winie, niby cudzej, a jednak nie do końca, którą dźwigał na barkach Gerd.

Na tę jedną sekundę, na sekundy ułamek, jaki dzielił tam i wtedy od tu i teraz, mimowolnie rozchylił powieki – i zobaczył.

Zobaczył zielone oczy Klary Stern, a w nich złoty żar, nieziemski, nieludzki, a w nich głód i sytość zarazem, tak dzikie i tak straszliwie znajome.

Jednak to nie one sprawiły, że w gardle zegarmistrza wezbrał krzyk.

Nie.

To sprawiły inne oczy, te, w które spojrział z czułością i tęsknotą, by zobaczyć w nich śmierć.

Wysławszy Huberta do kuchni, żeby zaparzył im mocnej herbaty, pani Matylda zajęła się Klarą i Gerdem. Polegało to głównie na pilnowaniu, żeby nie próbowali wstać, dopóki ich mózgi nie nawiążą stabilnego połączenia z materialnym światem i nie odzyskają pełnej kontroli nad ciałem, zwłaszcza nad nogami. Przeciekający Dobrzyń oraz psychopomp na skraju wycieńczenia wyczerpywali pulę atrakcji, nie potrzeba im było jeszcze dwóch rozbitych głów.

Karolek tymczasem ułożył nieprzytomną Eleonorę na łóżku i znowu rzucił się do plecaka.

– Czy ciebie bez reszty pogięło? – zapytała wisząca nad nim Dżusi, kiedy na szafce nocnej, obok opatrunków i litrowej butelki octeniseptu, które przyniósł wcześniej z pokoju Huberta, zaczęły się piętrzyć kolejne przedmioty: dwie kroplówki, opaska uciskowa z klamerką, plaster na rolce, wenflony, strzykawki i cała paczka sterylnych rękawiczek. – Zdobywasz sprawność dzielnego pielęgniarza czy co?

Ze zdumieniem obserwowała, jak zawiesił jeden woreczek z kroplówką na kinkiecie nad łóżkiem, podwinął Eleonorze rękaw i długo macał zgięcie łokciowe w poszukiwaniu żyły. W końcu znalazł. Założył rękawiczki i gorliwie zdezynfekował miejsce wkłucia. Prawdę mówiąc, nawet trochę zbyt gorliwie.

– Podaję twojej siostrze płyn wieloelektrolitowy, pięćset mililitrów, na szybko – wyjaśnił, gdy już się wkłuł i zabezpieczył wenflon plastrem. No, to najgorsze miał za sobą. Z dumą przyjrzał się swojemu dziełu, a potem odwrócił do narzeczonej. – A na deser mam dla niej w zanadrzu coś słodkiego. – Pomachał radośnie drugim woreczkiem. – Pięcioprocentowy roztwór glukozy, żeby sobie pomalutku kapał. To ją postawi na nogi.

– Nas chyba coś ominęło, co?

– Och, nie – wtrąciła pani Matylda. – Nas nie. Siedź, mówię – zwróciła się do Gerda, grożąc mu laską – albo ci pomogę, ale wtedy wstaniesz pojutrze.

Dżusi ani myślała odpuścić.

– To pani sprawka? Ten NFZ dla ubogich?

– Dziecko, ja mogłabym co najwyżej nauczyć go deklinacji łacińskich zaimków. *Hic, haec, hoc* i tak dalej.

Karolek triumfalnie strzelił ściaganą rękawiczką.

– Widzisz, Titku, zeszłej nocy, kiedy wy grzecznie spaliście przed wyruszeniem w drogę...

– ...ty czytałeś Wikipedię?

– Czytałem Wikipedię – potwierdził, by chytrze zmylić jej czujność – oraz, uwaga, przechodziłem przyspieszony kurs szukania żył, wkłuwania się i podłączania kroplówki pod czujnym okiem utytułowanego lekarza. – Westchnął. – Pani Jaga jest straszną nauczycielką...

– Strasznie dobrą?

– Też. Leci? Leci. A teraz przepraszam, muszę skoczyć do samochodu. W bagażniku mam nutridrinki w proszku. Bananowe!

– El nie znosi bananów! – zawołała za nim Dżusi, nie bez satysfakcji.

– Szlaaag!

Kiedy pierwsza kroplówka zeszła i Karolek podłączył drugą, wspólnymi siłami odholowali Klarę i Gerda do kuchni, gdzie czekał Hubert Dobrzyń z herbatą, ciasteczkami i butelką wiśniówki. Znalazł nawet kilka kieliszków, chociaż każdy był z innej parafii – mniejsze, większe, zwyczajne albo z napisami, które mogły się wydawać zabawne dopiero po przekroczeniu promila alkoholu w wydychanym powietrzu.

– Czy ktoś może mi w końcu wyjaśnić, co się stało z jej oczami? – zapytała Dżusi, gdy już usiedli przy stole. Wodziła czujnym wzrokiem od ciotki do zegarmistrza, podejrzewając, że tych dwoje może mieć najwięcej do powiedzenia w interesującym ją temacie.

– To omówimy później – odparła pani Matylda. – Najpierw ważniejsze sprawy.

– A może to jest ważniejsza sprawa, co? Nie może pani tego wiedzieć!

– No, ja bym nie był tego taki pewien, Titku...

– Powiedzmy, że po tym, co zobaczyłam, pewne słowa Ramzesa nagle zyskały sens. I na tym poprzestańmy. – Napila się herbaty, żeby nawilżyć gardło. Od paru godzin nie miała nic w ustach i zaczynało jej to mocno doskwierać. Nie byłaby jednak sobą, gdyby się do tego komukolwiek przyznała. – Eleonora chwilowo niczego nam nie wyjaśni, więc przejdźmy dalej. Dzieci?

Klara jednak nie zareagowała. Opierała łokcie na stole, a twarz wtuliła w zaciśnięte pięści tak, że widać było tylko jej oczy, zaczerwienione od płaczu i puste.

Gerd też nie odpowiedział. Zamiast tego sięgnął po butelkę i jeden z kieliszków. Napis „Niech żyje, kto wypije” brzmiał ni to jak kiepski toast, ni to zawołana groźba, zwłaszcza na tle rubinowej czerwieni. Pani Matylda już otwierała usta, żeby wygłosić jadowity komentarz, kiedy Gerd, zamiast unieść napelniony kieliszek do ust, bez słowa postawił go przed Klarą, a ta bez zastanowienia wychyliła zawartość do ostatniej kropelki. Niema scena aż krzyczała, że w głębinach czasu stało się coś bardzo złego. Coś, z czym jeszcze nie byli gotowi się zmierzyć.

– Dobrze. Zatem został nam tylko pan, panie Hubercie – zwróciła się do Dobrzynia. – Może pan będzie nieco bardziej rozmowny.

– Będę, tylko muszę najpierw coś przynieść. Zaczekajcie.

Wrócił po minucie, ściskając w dłoni jakiś drobny przedmiot.

– Państwo wybaczą, ale nie jest mi łatwo o tym mówić – zaczął, odchrząknąwszy. – Trochę brakuje mi wprawy w takich... kwestiach. Nigdy o tym z nikim nie rozmawiałem, trochę się bałem, że... że weźmiecie mnie za wariata. Nawet moja żona o niczym nie wiedziała, a ona przyjeżdżała tu ze mną przez dwanaście lat. Pomagała mi też szukać informacji, źródeł, opracowań i tak dalej. Do końca była święcie przekonana, że to tylko takie moje hobby, bezpieczne antidotum na kryzys wieku średniego. Wiecie, jeden facet wtedy zmienia żonę na młodszy model, drugi rodzinny samochód na furę za sto tysięcy, trzeci kupuje skórę i zaczyna jeździć na motocyklu albo znajduje sobie inne ryzykowne hobby, chociaż bardziej przydałby mu się termofor i turnus rehabilitacyjny w Solcu... – Uśmiechał się przy tym, jak gdyby żadnego

z przykładów, które podawał, nie wyssał z palca. – A ja zająłem się historią. Bardzo konkretnym wycinkiem historii lokalnej.

– Zgrabny wstęp. Rozumiem, że zainteresowanie Eleonory pałacem w Jedlinie to pańska sprawa?

– Tak. Tak, moja. W innych okolicznościach nie zabrzmiałoby to jak zarzut, prawda? Tak... Z początku trochę jej opowiadałem, wiadomo, jak to pasjonat tematu. Przejechaliśmy się tam nawet, ale zbyt wiele nie zobaczyliśmy, bo pałac jest chwilowo zamknięty dla zwiedzających. Prace remontowo-konserwatorskie – dodał dla wyjaśnienia. – Tyle że Eleonora szybko rozgryzła, że tu chodzi o coś więcej niż takie hobby miłego pana po pięćdziesiątce.

Pani Matylda się uśmiechnęła.

– W przeciwieństwie do pana Eleonora ma wprawę w takich kwestiach.

– Och, tak, to prawda. Ma. Zaskoczyła mnie, przyznaję.

– Czyli tym tematem, który tak pana pasjonuje, jest pałac Kristera.

– Porcelanowy pałac. Tak o nim mówiono, sam zresztą bardzo lubię ten przydomek, ma w sobie taki... dreszczyk tajemnicy. Jak z *Pana Samochodzika*. Aczkolwiek akurat okres Kristerowski i sam Carl Krister średnio mnie interesują, z całkowicie osobistych pobudek, a to o nim przewodnicy opowiadają najchętniej. W końcu, jakkolwiek by patrzeć, nawet brytyjska królowa ma podobno serwis z jego fabryki. Znaczący, nie do końca jego, tylko... nieważne. – Machnął ręką. – Przepraszam, odbiegam od tematu.

– Więc jeśli nie Krister, to co?

– Inny okres, bliższy współczesności. Widzicie, zaraz po wojnie w tym pałacu działało Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, organizowano tu również kolonie, letnie i zimowe. A potem, między tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym a pięćdziesiątym czwartym rokiem, w Jedlinie mieścił się dom dziecka. W pierwszej grupie, która tam trafiła trzy lata po wojnie, byli dwaj bracia, Jerzy i Henryk Dobrzyniowie.

– Pańscy krewni?

– Tak. Henryk Dobrzyń to mój ojciec, miał wtedy dwanaście lat. Jurek siedemnaście, był starszy. No, logiczne. Ich ojciec, czyli mój dziadek, zginął na froncie w czterdziestym pierwszym, a matka i najmłodsza siostra, Bronia, zmarły na tyfus zimą czterdziestego trzeciego.

– Klasyczny wojenny scenariusz, jaki życie często wtedy pisało dla ludności cywilnej – podsumowała starsza kobieta.

– Byli zaradni, rozgarnięci, przez pewien czas jakoś sobie radzili – ciągnął Hubert Dobrzyń. – Trochę sami, trochę z pomocą sąsiadów. Ale potem wojna się skończyła i nastał nowy porządek. Dalszej rodziny nie znali, sąsiedzi albo byli za starzy, żeby ich przygarnąć, albo sami musieli się stąd wynosić z uwagi na niemieckie pochodzenie, więc władza zdecydowała, że miejsce mojego ojca i stryjka jest w domu dziecka.

– Tu, w Jedlince.

– Tak. Ojciec często wspominał tamte lata, które spędził w porcelanowym pałacu. Cuda opowiadał, cuda! O tajemnicach, o duchach, o upiorach w pobliskim lesie... Strasznie lubiłem słuchać tych jego historii. Jak coś nabroili, to za karę musieli czyścić tralki w balustradzie, takiej przy głównych schodach. Reprezentacyjnych. Te tralki były zrobione z porcelany i bardzo, bardzo drogie. I każda była inaczej zdobiona. Swoją drogą, to od nich wzięła się ta nazwa, porcelanowy pałac. Potem, w pięćdziesiątym czwartym roku, dom dziecka przeniesiono z Jedlinki do Jedliny-Zdroju. Trzydzieści lat później sam pałac i tereny użytkowe wokół pałacu przejęły tutejsze zakłady włókiennicze, potem spółdzielnia, potem gmina, aż w końcu, już w dwudziestym pierwszym wieku, wszystko trafiło z powrotem do prawowitych spadkobierców ostatnich właścicieli. W strasznym stanie, strasznym.

– Ale po drodze coś się wydarzyło – wtrąciła pani Matylda. – Czternastego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku.

– Zapamiętała pani – zauważył Hubert z uznaniem. – Widzę, że nie tylko ja mam tu głowę do liczb.

– Zdaję sobie sprawę, jak istotne bywają dokładne daty, kiedy w grę wchodzi podróż w czasie. A zatem?

– Czternastego sierpnia czterdziestego dziewiątego roku Jurek zaginął – powiedział po krótkiej zadumie. – Tamtego dnia widziano go po raz ostatni.

Teraz nawet zegarmistrz, dotychczas apatyczny i pochmurny, spojrział na Dobrzyń z przebłyskiem zainteresowania.

– Gdzie? – zapytał.

Hubert rozłożył ręce.

– Tego nigdy nie udało się jednoznacznie ustalić, chociaż znaleźli się świadkowie. Ale jedni mówili, że widzieli go tu, w Jedlince, inni, że kawałek dalej, w Kolonii Głuszycy, ktoś jeszcze inny twierdził, że

podobny chłopak mignął mu w Zimnej Wodzie. Szukali go kilka dni, nawet z psami myśliwskimi, przyjechał też ktoś z Wrocławia, ale...

– Ale co? – zapytała naiwnie Dżusi.

– Góry? Lasy? Tuż po wojnie? – Matylda Bolesna pokręciła głową. – Nikomu nie wróżyłabym sukcesu.

Hubert Dobrzyń przytaknął ze smutkiem.

– W tamtych czasach dorosły człowiek zniknąłby tu bez śladu, a co dopiero wyrostek, choćby nie wiem jak silny i zaradny. Jurek przepadł jak kamień w wodę. Zostały po nim tylko zimowy kozuch, jeszcze po dziadku, książeczka do nabożeństwa i to.

Dopiero teraz rozprostował palce. Na jego dłoni leżała niewielka, kunsztownie grawerowana łyżeczka. Delikatnie położył ją pośrodku stołu, tak żeby wszyscy mogli się przyjrzeć.

– Piękna...

– To prawdziwe srebro?

– Tak. Kozuch mu zaraz ukradli, książeczkę do nabożeństwa sam zgubił, ale tej łyżeczki mój ojciec nie dał sobie odebrać, chociaż kosztowało go to dwa złamane palce i wybity ząb. Aż do śmierci pilnował jej jak oka w głowie. Nigdy nie przestało go dręczyć, co stało się wtedy z Jurkiem. Z Juruś, jak o nim mówił. Juruś był całym jego światem.

– Dla pana chyba też sporo znaczył, skoro go pan szuka – zauważył Karolek.

– Nie, tak bym tego nie ujął – przyznał Hubert. – Owszem, fascynował mnie, ale raczej w kategoriach rodzinnej legendy.

– Więc co się zmieniło?

– Moja żona zmarła rok temu. Ojciec kilka miesięcy później. Ale był już bardzo starym i zmęczonym człowiekiem, czas był najwyżej... – Urwał i spurpurowiał, zdawszy sobie sprawę, że jeden z jego słuchaczy znacząco zawyża średnią wieku. – Przepraszam najmocniej, pani Matyldo, absolutnie nie chciałem pani urazić.

– Swoje lata mam, ale szybko się regeneruję, panie Hubercie. Zapewniam.

– Ojciec już od paru lat cierpiał na demencję – podjął swoją opowieść Dobrzyń. – Nie był agresywny czy pobudzony, tylko... zagubiony. Ciągłe chodził i wołał Juruś. Juruś, Juruś, gdzie ty jesteś... Rozmawiał z jakimiś ludźmi stąd, z Jedliny, jakby jego stare ciało utknęło w dwa

tysiące jedenastym, a głowa wróciła do tamtego sierpniowego dnia. Strasznie się tego słuchało. A potem umarł, a Juruś... Juruś został ze mną.

– Wtedy zaczął pan szukać na poważnie?

– Tak. Wiecie, ja znam te okolice. Może nie jak własną kieszeń, ale całkiem dobrze. Zacząłem tu jeździć jeszcze jako smarkacz w krótkich porciętach, na wakacje z rodzicami, potem czy to sam, czy to z kolegami ze studiów, wreszcie z żoną. No i... znowu sam.

– Nie znudziło się panu jeszcze?

– A skąd. Zabrzmi to niepoważnie, ale... Mam pięćdziesiąt trzy lata, a ciągle się czuję, jakbym wracał do magicznej krainy ze wspomnień ojca. Chodziłem po górach, zwiedzałem zabytki, sporo też czytałem o historii i tak dalej. Ale dopiero po śmierci ojca postanowiłem, jak to pani ujęła, szukać na poważnie. Pod kątem tego, co się stało z Jurkiem.

– Coś pan znalazł?

– Trochę teorii spiskowych, trochę nazwisk ludzi, którzy już dawno nie żyją i zapewne nikt już o nich nie pamięta... Czyli nic konkretnego. Miałem zamiar zacząć od początku, czyli od Jedlinki, ale zaskoczyli mnie tym remontem. Specjalnie przyjechałem teraz, żeby się rozejrzeć na spokojnie po pałacu, pogadać trochę z przewodnikami o tamtym okresie, zanim do Jedliny ściągną turyści i zrobi się... no, może nie tłoczno, ale tłoczniej. A tu taka niespodzianka. Próbowałem dostać się do środka na własną rękę, nie do końca legalnie...

– No i pana pokarało.

– Oj, tak. Chyba nawet słusznie. Wszedłem na jakieś deski pod śniegiem, te deski pękły, a ja wpadłem do dziury czy jamy pod spodem. Ledwo się stamtąd wygrzebałem. Wtedy Eleonora zaproponowała, że mi pomoże. Z początku sądziłem, że chce się... no, włamać, nazwijmy to po imieniu. Oczywiście zaprotestowałem, ale wytłumaczyła, na czym to polega... to coś, co ona robi. I pani. – Skinął na Klarę, która przysłuchiwała mu się w milczeniu. – Dalszy ciąg już znacie.

Słyszając za sobą kroki, Klara Stern obejrzała się przez ramię.

– A ty co? – warknęła, kiedy Gerd Falk stanął na ganku. – Teraz wszędzie będziesz za mną tak łaził jak szczeniak?

Bez pytania wyjął papierosa spomiędzy jej palców i zaciągnął się mocno.

– Przeszanę, jeśli ty przestaniesz ryczeć jak ostatnia miągwa – rzucił, wypuszczając dym od niechcenia.

– Boże, jaki ty jesteś prymitywny...

– Za to ty taka wyrafinowana.

Zamieć co prawda nie ustała, trochę jednak straciła na sile. Na tyle, że dało się już dostrzec zarys innych domów wzdłuż ulicy, przy której znajdował się pensjonat Kwiaty Polne. Resztę świata, aż po same niebiosa, wciąż spowijała niezmordowana biel.

Klara wyciągnęła z paczki nowego papierosa i zapaliła, zerkając z ukosa na zegarmistrza. Wyraz jego pobladłej twarzy zdradzał jednak, że choć Gerd Falk patrzył przed siebie, to nie widział niczego.

– Ciągle się zastanawiałem, dlaczego nie poszłaś wtedy za Eleonorą – przemówił w końcu, ale jakoś tak dziwnie, bardziej do siebie niż do niej. Gorycz, która dotychczas dominowała w jego głosie, ustąpiła miejsca znużeniu. – Ty pierwsza wiedziałaś, że zniknęła, byłaś najbliżej, chodziło o twoją bratanicę... a jednak czekałaś na Ramzesa. Pierwsza niespodzianka. Niespodzianka druga – Ramzes spełnił twoją prośbę. Wyręczył cię, sam poszedł za Eleonorą. Dlaczego?

Wzruszyła ramionami, mocniej przyciskając ręce do piersi, jakby przeszył ją mroźny wiatr. Szkoda tylko, że prawie nie wiało.

– Najwyraźniej nie mógł mi się oprzeć – odparła opryskliwie. Miała dość tej rozmowy, w ogóle wszelkich rozmów. Marzyła o kilku dniach milczenia w odosobnieniu, tylko ona, Kot i zapas papierosów.

– Widziałem.

Czy to śnieg naraz zawirował, czy cały świat?

– Co takiego? – zapytała Klara cicho, tak cicho, że Gerd żadnym sposobem nie mógł jej słyszeć.

– Ciebie.

Naraz wszystko podeszło jej do gardła – serce i żółć, łzy i wspomnienia, jak gdyby próbowało wywrócić ją na drugą stronę. Obnażyć każdy skrywany sekret.

– I jak... jak wrażenia? – Tylko tyle zdołała wydusić, chociaż chciała krzyknąć: Powiedz coś! Powiedz, że jestem potworem, potworem i pieprzoną hipokrytką, że się mną brzydzisz, że sobie zasłużyłam na to

wszystko. Powiedz cokolwiek, tylko przestań milczeć, przestań milczeć, bo mnie tym milczeniem zabijasz...

– Do tej pory uważałem, że twój brat był złamanym chujem. Bez obrazy. – Żar osypał się Gerdowi na palce, boleśnie mu przypominając, że trzyma w ręce papierosa. Zaciągnął się ostatni raz. – Teraz mam ochotę wyprawić gościowi pogrzeb z pompą na Grabiszynku tylko po to, żeby jeździć tam raz w tygodniu i szczać mu na nagrobek.

Rozejrzał się i przy drzwiach dostrzegł kosz na śmieci – jeden z tych modeli z popielniczką w górnej części. Starannie zdusił w niej niedopałek, zamiast cisnąć go w śnieg.

– Dobra, należy ci się. Mnie zresztą też. – Staął z powrotem na skraju ganku, już nie obok rudowłosej kobiety, jakby mimochodem, przypadkiem, lecz przed nią. Otwarty i szczery, choćby miało boleć. – Byłem wobec ciebie niesprawiedliwy, Klaro Stern. Posądzałem cię o najgorsze, a nie przyszło mi do głowy, że ty się śmiertelnie boisz czegoś, co mnie się nawet w tej głowie nie mieści. Przepraszam.

Oniemiała. Patrzyła na Gerda szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, a on prawie słyszał, jak myśli kłębiły jej się bezwładnie w głowie.

– Co? Nie tego się spodziewałaś?

– Nie. W ogóle.

– Hej, podobno jestem porządnym facetem. Chociaż moczymordą.

Parsknęła niepohamowanym śmiechem. Napięcie pomału zaczęło z niej spływać – co prawda pojedynczymi kroplami, nie strugą, ale zawsze to coś.

– Podobno też każdy popełnia błędy, wiesz?

– Niby tak – przyznał. – Tyle że nie każdy błąd da się cofnąć. Albo naprawić. I potem weź to dźwigaj, człowieku, do usranej śmierci.

Trwało to może sekundę, a może nawet nie. Ot, ulotne spojrzenie rzucone mimowolnie w stronę budynku, nic więcej. Dość jednak, by Klara uświadomiła sobie, że mówiąc o błędach, Gerd miał na myśli nie tylko te własne.

– Myślisz, że to dlatego chciała pomóc temu całemu Dobrzyniowi? Żeby jakoś... zrekompensować to, co zrobiła?

– Nie wiem. Jeśli chodzi o Eleonorę, to nie wiem już w zasadzie niczego. – Przechylił głowę i zmierzył Sternównę zadziornym spojrzeniem. – To o to się pokłóciłyście, co?

Już nie próbowała zaprzeczać. O ile jednak wczoraj, w kuchni Bolesnych, doprowadziło ją do szału, że Gerd rozgryzł ją w mgnieniu oka, o tyle teraz Klara poczuła ulgę. Przynajmniej jemu nie musiała niczego tłumaczyć. Postąpiłaby jednak wbrew własnej naturze, gdyby nie rzuciła przekornie:

– Irytujący jesteś, wiesz?

– No.

Pozbyła się swojego niedopałka i w zamyśleniu odgarnęła włosy z twarzy.

– Ramzes powiedział mi wtedy, że nie muszę się bać, bo nigdy nie stanę się taka jak on. Nawet jeśli... wiesz.

– Przesadzisz z ekspozycją na dno i zmienisz się w strzygę? – Gerd pokiwał głową. – Tu pełna zgoda. Do tego, żeby być Ramzesem, trzeba... szczególnych predyspozycji.

– Ludwikowi bardzo by się przydał taki Ramzes. Bardzo. W sumie... niewiele brakowało, a miałby swojego własnego.

– No patrz. Czyli na upartego znalazłby się jakiś powód, żeby dziękować mojemu ojcu.

– Nie rozumiem, co ona w nim widzi... – mruknęła.

– Matyllda?

– Tak.

– A ja rozumiem. – Uśmiechnął się na widok jej zaskoczonej miny. – Ale ja chyba wiem trochę więcej niż ty.

– Podzielisz się jakimś smakowitym szczegółem?

– Cudzych tajemnic się nie zdradza – odparł w zamyśleniu, czy to mimowolnie, czy też celowo dając jej do zrozumienia, że nie tylko tajemnice Ramzesa i Matylldy były u niego bezpieczne. Musiała przyznać, że bardzo ją ucieszyła ta perspektywa.

– Wracaj do domu, Klaro. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą i przeszłość wypływa nam na powierzchnię, to w twojej sytuacji nie powinnaś tu przebywać ani chwili dłużej.

– Nikt nie powinien.

– Ale ktoś to musi naprawić. Czarnobyl też się sam nie posprzątał.

– Wiesz, że prawdopodobnie będziecie potrzebować psychopompa?

– Tak. Ale takiego, który się przeprawia bez ataku paniki, że się zaraz przemieni w strzygę z klawą egipską ksywą. Eleonora najwyraźniej nie ma takiego problemu, w przeciwieństwie do ciebie. No, bez sentymentów.

Mam ci przypomnieć, co widzieliśmy? Co może tu lada moment wypłynąć jak gównno z przerębli?

Zbladła. Pokręciła głową.

– Tak myślałem. Więc spieprzaj stąd, dziewczyno, dla własnego dobra.
– Obejrzał się jeszcze raz na budynek pensjonatu. – Pogadam z Dżusi. Stąd do Wałbrzycha jest niedaleko, jak ładnie poproszę, to cię podrzuci na pociąg. Godzina z hakiem i będziesz we Wrocławiu. A my to jakoś rozwikłamy.

Po dziesięciu minutach Gerd wrócił, niosąc solidną szufłę, którą pożyczyła mu gospodyni. Za nim dreptała Dżusi z kluczami w garści i dziwną miną – najwyraźniej zegarmistrz słusznie założył, że nigdy nie spodziewałaby się takiej prośby właśnie po nim i że z tego wrażenia nie odmówi. Nie wiedziała, jak skomentować tę sytuację, więc nie komentowała wcale. We trójkę sprawnie odśnieżyli samochód.

Kiedy ciotka i bratanica odjeżdżały spod pensjonatu, Gerd odprowadzał je wzrokiem.

Co prawda w samej Jedlinie również była stacja kolejowa, ale Dobrzyń zasugerował, żeby mimo to przejechały się do Wałbrzycha, skąd pociągi do Wrocławia kursowały znacznie częściej niż raz na parę godzin. Tak jak przypuszczał Gerd, tuż za granicami zaszypanego śniegiem miasta zaczynał się czarny asfalt. Dżusi z ulgą wdepnęła gaz. Bez wcielonego potępienia na tylnym siedzeniu od razu prowadziło się jakoś tak przyjemniej.

– Jedziesz prosto do domu? – odezwała się, gdy wkrótce potem dotarły na miejsce i wcisnęła czarną kobyłę w miejsce parkingowe. „Wałbrzych Główny”, głosiła dumnie biała tablica nad wejściem. Bez porównania z wrocławskim dworcem, uznała Dżusi w przybliżeniu lokalnego patriotyzmu, i to nawet przed generalnym remontem, który podobno dobiegał już końca. Ale gdy przyjrzała się ponownie ceglastemu budynkowi, doszła do wniosku, że jednak miał swój urok. Mały, lecz z charakterem. Mogłaby go polubić.

– Nie, chcę najpierw wpaść na Lipową.

No tak, racja, pani Jaga musiała się już naprawdę niepokoić. Wszelkie próby dodzwonienia się do niej z dowolnego telefonu i przeprowadzenia w miarę zrozumiałej rozmowy spełzły na niczym. Nie tylko komórka Karolka zdurniała od kontaktu z dnem i zaczęła szumieć, trzeszczeć i gadać językami.

– Ale potem odpocznij, co? I może zrób coś w końcu z tym odrostem, bo psuje cały efekt.

– A kogo to obchodzi... – prychnęła odruchowo, tak jak odruchowo oddychała. Skąd mogła wiedzieć, że w ułamku sekundy jej młodszą bratanicę trafi ciężki szlag?

– Przestań!!! – ryknęła Dżusi. – Przestań mówić o sobie tak, jakby twoje życie było bez znaczenia, jakby... jakby oni mieli rację! Ty masz znaczenie, ty! Klara Stern! Nie musisz się już na nikogo oglądać, ani na nich, ani na nas, zrozum to wreszcie, do cholery!!!

Klara dałaby głowę, że jeszcze przez parę sekund echo tej miniaturowej eksplozji niosło się po samochodzie.

– Dżusi, czy ty nie potrzebujesz pomocy? – zapytała bez cienia złośliwości, za to z nieskrywanym niepokojem. – Wiesz, takiej... profesjonalnej?

– A co, twoim zdaniem choć jedno z nas jej NIE potrzebuje? – odparowała dziewczyna, wybałuszając teatralnie oczy na ciotkę. – Proszę bardzo, oto spektakularne osiągnięcia ostatnich sześciu miesięcy: Gerd chleje, *like there's no tomorrow*, moja siostra zdurniała, rzuciła pracę i odcięła się od wszystkich, Matylda przestała wychodzić z domu, ty nie możesz się zdecydować, czy wolisz popadać w apatię, czy w histerię, czy może w jedno i drugie naraz, Karolek dostał kompletnego fioła na punkcie surwiwalu i preppersów, jakby lada moment miał się skończyć świat, a ja...

Ciotka nic nie mówiła, tylko czekała cierpliwie na ciąg dalszy. Dżusi, która ledwo przed kwadransem ze stoickim spokojem i pewnością siebie manewrowała samochodem po zaśnieżonym zboczu, teraz aż musiała zacisnąć ręce na kierownicy, bo tak nią zatrzęsło.

– Przysięgnij, że nikomu nie powiesz – wycedziła, gdy odzyskała panowanie nad sobą. – Przysięgnij. Bo jeśli komuś powiesz, to ja... to ja ci... nie wiem, co ci zrobię, ale wykażę się inicjatywą.

– Chyba raczej inwencją.

– Tym też. – Dżusi nabrała głęboko powietrza. – Jestem w ciąży.

Ciotka milczała. Długo, tak długo, że Dżusi przestała wwiercać się wzrokiem w przednią szybę i w końcu odważyła się odwrócić głowę.

Napotkała uważne spojrzenie zielonych oczu.

– A Karolek...?

– Nie. Nie wie. A ja jeszcze nie wiem, czy chcę mu powiedzieć.

Ku jej niewysłowionej uldze ciotka w lot pojęła, o co chodzi.

– Okej. Który tydzień?

– Piąty. Znaczący... piąty był, kiedy się dowiedziałam. Teraz będzie... początek siódmego.

– A... jak się czujesz?

Dżusi otworzyła usta. Zamknęła. Gładkie kłamstwa, choć wydawały się opcją kuszącą, łatwiejszą, nie przechodziły jej przez gardło.

– Jakbym miała w głowie mgłę zamiast myśli – przyznała – tylko taką gęstą i duszącą. Dławiącą, wszędzie, aż tu – dodała, kładąc dłoń na piersi.

– Albo jakby mi ktoś waty tam napchał. Jedyne, co mnie z tego czegoś wyrывa, to złość, więc albo się snuję otumaniona jak owca w drodze na rzeź, albo zmieniam się w mały wulkan, wybucham i zrównuję z ziemią najbliższą ludzką osadę.

– No, fakt. Drzesz się teraz o byle co i klniesz bez skrępowania. Podobno hormony w pierwszym trymestrze...

– Halo, to ja! Dżusi Stern. Gdyby ci umknęło, to miotam się tak od ładnych paru lat. Hormony tylko podkręciły mi charakter. Nawet nie chcę myśleć, jak to mutuje geny... Dobra, dość. – Zerknęła we wsteczne lusterko i kilkoma wprawnymi ruchami poprawiła fryzurę. – Za dziesięć minut masz pociąg.

– Jesteś pewna? Mogę... mogę poczekać na następny.

– Jedź. Pani Jaga już i tak długo czeka na wieści. Nic mi nie będzie, chciałam tylko to z siebie wyrzucić.

Klara kiwnęła głową. Wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę dworca. Ale już po kilku krokach zawróciła i zastukała w okno od strony pasażera.

– Ona wie – oświadczyła, kiedy Dżusi opuściła szybę.

– Kto?

– Pani Matylda. Wie, że jesteś w ciąży. Dlatego nie chciała cię ze mną puścić.

– Niemożliwe. Oprócz mnie i lekarza jesteś jedyną osobą, która... ja pierdołę, ona wie. Myślisz, że powie Karolkowi?

– Matylda? – Brew ciotki wystrzeliła w górę czoła. – Nigdy. Ale ty swoje usłyszysz, to pewne jak amen w pacierzu.

– Szlag...

Klara zerknęła na zegarek na kokpicie samochodu – zostało sześć minut do odjazdu pociągu, który sądząc po odgłosach za jej plecami, właśnie zatrzymywał się na peronie.

– Posłuchaj, Dżusi. Może nie mam... nie, na pewno nie mam ani prawa, ani kompetencji, żeby to oceniać, i absolutnie nie zamierzam wywierać na tobie żadnej presji, ale... wydaje mi się, że byłabyś dobrą matką.

Teraz to Dżusi uniosła brew. Pod pewnymi zaskakującymi względami były do siebie uderzająco podobne.

– Bo się drę o wszystko?...

Klara nie musiała się nawet zastanawiać nad odpowiedzią. Słowa same spłynęły jej z ust, choć smakowały goryczą:

– Bo walczysz. Walczysz i nie boisz się odejść od kogoś, kto cię krzywdzi. Oddałabym wiele za taką matkę jak ty.

Wskoczyła do pociągu w ostatniej chwili.

Ponieważ nawet po dwóch kroplówkach Eleonora wciąż nie nadawała się do konwersacji, głosami trzy do jednego postanowili nie wracać tego dnia do Wrocławia, tylko przenocować w pensjonacie.

– Nie mamy nawet szczoteczek! – zaprotestowała Dżusi, do której należał osamotniony głos za powrotem.

Karolek prychnął.

– Co? Mamy?

– A czy bez nich jechałbym miziać bambusy? – odparł i poszedł do samochodu.

– On tak zawsze? – Hubert Dobrzyń zwrócił się z tym pytaniem do pani Matyldy, która dopijała w spokoju herbatę.

– Zawsze – potwierdziła. – Karolek to najlepsza polisa na wypadek końca świata. Osobiście uważam, że powinno się go klonować.

Pani Ewa, gospodyni, przestała zerkać na nich z podejrzliwością, zwłaszcza po tym, jak obydwaj młodzi mężczyźni wspólnymi siłami przekopali się do drewnutni i przynieśli jej solidny zapas drewna do kominka, którym dogrzewała prywatną część budynku. Uznawszy stertę polan za dość oryginalną, za to niezmiernie praktyczną odmianę gałązki oliwnej, bez dalszych dyskusji udostępniła im wolne pokoje na parterze. W jednoosobowym, z widokiem na zasypany ogród i leżące w dole miasto, rozgościła się pani Matylda. Dwójkę obok zajęli Dżusi z Karolkiem, natomiast Gerda przygarnął Hubert, oferując mu wolne łóżko w swoim pokoju.

Tego dnia wszyscy wcześniej położyli się spać.

Pewnie dlatego Gerd obudził się przed świtem, z głową pełną mglistych wspomnień po snach, których wolałby nigdy nie śnić. A może dlatego, że po tej przeklętej herbacie, którą pili na wyścigi przez całe popołudnie i wieczór, straszliwie chciało mu się sikać. Nie Cokolwiek by mówić o wysokoprocentowym alkoholu, akurat takich skutków ubocznych nie dawał.

Prosto z łazienki Gerd wyszedł na korytarz, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

W kuchni paliło się światło.

Przy oknie, plecami do wejścia, stała Eleonora. Wyglądała na drogę przed budynkiem i popijała herbatę. Miała na sobie koszulę nocną w wielkie różowo-zielone kwiaty, z zieloną koronką przy dekolcie, a na nogach, zamiast kapci, ciepłe wełniane skarpety, które wyglądały, jak gdyby wydzierała je sobie na drutach, biorąc miarę z kogoś o znacznie większych stopach. Dawno jej takiej nie widział – ze zmierzwionymi włosami, zaspanej, bladej i tak kruchej, że bał się przy niej oddychać, a zarazem pragnął ją przytulić, ochronić przed całym światem.

Obejrzała się.

– Obcięłaś włosy. Ładnie ci.

– Chciałam coś zmienić.

Przystrzyżone na pazia czarne włosy Eleonory same z siebie układały się w ciężkie pukle o jakby leniwym splocie. Jak nigdy wcześniej przypominała teraz istotę z epoki czarno-białych fotografii. I nawet jej oczy o tęczęwkach jasnych jak śnieg za oknem pewnie wydawałyby mu się piękne, gdyby nie świadomość, co odebrało im kolor.

– No to ci się udało, gwiazdeczko. Udało ci się.

Nalał sobie szklankę mleka, które znalazł w lodówce, i usiadł z nią przy stole, przez cały czas konsekwentnie unikając patrzenia w stronę okna. Już sam nie umiał powiedzieć, co ciążyło mu bardziej – świadomość tego, co zrobił jego ojciec, czy tego, co zrobiła Eleonora? Śmierć Sternów czy śmierć Juniora? Wymierzona szabrownikom okrutna sprawiedliwość czy jeszcze okrutniejsza zemsta na mordercy?

– Myślałam, że cię zabił.

Gerd nic nie powiedział. Łyk za łykiem pomału sączył zimne mleko.

– Spójrz na mnie. Proszę.

– Nie. Wybacz, ale nie, to mnie chwilowo przerasta.

– Myślałam, że Junior cię zabił – powtórzyła opanowanym głosem. Ciekawe, ile razy wyobrażała sobie tę rozmowę? Czy zastanawiała się, co mu powie i jak, jakich słów użyje? Ile scenariuszy przerobiła w głowie?

I czy choć jeden z nich kończył się dla nich dobrze?

– Błagam, tylko nie mów, że zrobiłaś to dla mnie, bo się porzygam.

– Nie, skądże znowu. Zrobiłam to dla siebie – powiedziała, tak zupełnie, boleśnie zwyczajnie. – Co, ciebie to dziwi? Naprawdę? Gerd, ja chciałam wyjść żywa z tamtej piwnicy. Ale tak, przyznaję, chciałam się też zemścić. Za ciebie, za naszego listonosza, za rodziców, za ciotkę... Za wszystkich, za wszystko. Trochę się tego nazbierało.

Umyła dokładnie kubek po herbacie i odstawiła na suszarkę. Musiała zebrać myśli i siły na ciąg dalszy tej rozmowy. Gerd milczał uparcie.

– Wiesz, co przesądziło? – zapytała Eleonora, wycierając do sucha kran i blat wokół zlewu, jak przystało na poukładaną, dorosłą kobietę. – Co przechyliło szalę? Junior wciąż miał na rękach twoją krew, ale mówił w kółko o jednym, o niczym innym. O złości Breslau. O tym, że ono mu się należy. I tylko jemu. Chciałam, żeby cierpiał przez wieczność za to, co zrobił, choćbym nawet miała tam cierpieć razem z nim. Chciałam go ukarać.

– Zabić.

– Tak. Zabić. I zrobiłam to. Zwabiłam Juniora aż na samo dno, żeby go tam zostawić.

Zadrzała – od tamtych wspomnień czy od chłodu zimowego poranka? Sama nie umiała powiedzieć.

– Wtedy zjawił się Ramzes.

Już nie antykwariusz o hipnotyzującym uroku ani puszczyk, którego śmiech prowadził ich przez straszliwą styczniową noc, lecz strygoń. Drapieżnik. Bestia opita czasem i krwią. Tamten uśmiech na jego nieludzkim obliczu, leniwy i chciwy, gdy zwęszył ofiarę, wracał do niej noc w noc.

– Chciał mnie powstrzymać – ciągnęła – a kiedy zobaczył, że już za późno, próbował wziąć to na siebie. I był pewien, że zdążył, ale kiedy się wynurzyliśmy... Zobaczył moje oczy. Od razu zrozumiał, że mu się nie udało. Trochę to zabawne, nie sądzisz? Ktoś wyprzedził czas.

– Brawo ty. Sęk w tym, gwiazdeczko, że istnieje jeszcze coś takiego jak zasady, moralność. Dobro i zło.

– Oraz Ramzes.

– RAMZES JEST... – Nie. Nie mógł krzyczeć, bo był pewien, że jeśli teraz zacznie krzyczeć, to już nigdy, nigdy nie przestanie. Pomału wypuścił powietrze, jak gdyby razem z nim wyduszał z siebie kipiącą wściekłość. – Ramzes jest strzygoniem. Nie człowiekiem, jak ty czy ja. Ramzes nie ma sumienia, bo go nie potrzebuje!

– A ja mam! – odparowała. – Mam sumienie i tak, mam też wyrzuty sumienia, bo zrobiłam coś strasznego. To chciałeś usłyszeć, prawda? Tak, mam wyrzuty sumienia – powtórzyła. – A czy żałuję?

Zamknął oczy niczym mały chłopiec, który myśli, że jak czegoś nie widzi, to to nie istnieje. I nie widzi jego. Bał się tego, co usłyszy, bo zdawał sobie sprawę, jak wiele zależało od tego jednego słowa. Przyszłość. Szczęście. Nieszczęście. Sny. Wszystko. Eleonora powie tak – i może jeszcze pożyją długo i szczęśliwie. Lecz jeśli Eleonora powie...

– Nie.

I co, panie Falk? Świat nie okazał panu współczucia. Nie zawałił się, nie zadrzał nawet. Śnieg za oknem wciąż sypał, a zza ściany dobiegało miarowe chrapanie Dobrzynia.

Gerd dopił mleko i podniósł się ciężko. Kiedy wstawiał szklankę do zlewu, ramieniem dotknął ramienia Eleonory. Już miała oprzeć o niego głowę, lecz uświadomiła sobie, że nie. To już minęło.

Uśmiechnął się smutno.

– Co teraz?

– Teraz... – Westchnęła. – Teraz usiłuję dojść z tym do ładu. Pogodzić się z tym, co zrobiłam, i... sama nie wiem. Ruszyć dalej? Zrozum, Gerd. Nie wypieram się tego, co zrobiłam. Ale nie zamierzam utknąć jak ciotka. Czy ci się to podoba, czy nie, w tamtej piwnicy dokonałam wyboru. Świadomie. Teraz ponoszę konsekwencje.

– Brzmi to trochę tak, jakbyś była z tego dumna. – W jego głosie nie było nagany, nawet przytyku. Jedynie czyste stwierdzenie faktu.

– Dumna? Nie. Pogodzona. Zdążyłam już swoje wypłakać, a teraz próbuję to sobie mniej więcej poukładać. Podobno się tak da. – Odłożyła w końcu ściereczkę i ostrożnie, ni to z czułością, ni to z obawą, położyła dłoń na dłoni zegarmistrza. – Ty chciałbyś, żeby wszystko było po staremu. A my się zmieniliśmy, wszyscy. Nieodwracalnie.

Gerd nie zdążył już nic powiedzieć, bo usłyszeli zbliżający się stukot.

– Och, wstaliście już. – Pani Matyllda przystanąła w wejściu, wodząc wzrokiem po kuchni. – Doskonale. Mam nadzieję, że wszystko sobie

wyjaśniliście.

– Tak, jasne. Mój ojciec zabił jej rodziców, ona zabiła Juniora, wszyscy są szczęśliwi.

Jednak Matyllda Bolesna albo nie wychwyciła kąśliwej nuty w jego głosie, albo zinterpretowała ją zupełnie inaczej, niż zakładał Gerd.

– A co twoim zdaniem powinna była zrobić? No? Słucham. Powiedz mi, chłopcze, co dokładnie miała zrobić wążąca... ile? pięćdziesiąt kilogramów, przerażona, pobita dziewczyna z agresywnym osiłkiem, który już zamordował dwóch dorosłych mężczyzn, a także, jak święcie wówczas sądziła, ciebie? CO? Rozplakać się? Wydrapać mu oczy? Czy położyć się i umrzeć?

– Nie, pani Matylldo, ja...

– Ty – nie dała mu dokończyć – ty byś się na niego rzucił na oślep z pięściami i może byś coś ugrał tym sposobem, a ona miała nad nim tylko jedną, JEDNĄ przewagę. I ją wykorzystała. Nie z wyrachowania. Z rozpacz. Rozpacz nawet świętego potrafi pchnąć do ostateczności, a co dopiero człowieka. Więc przestań pieprzyć, Gerardzie Falku, bo już mi się niedobrze robi od tego twojego angstowania. Mężczyźni! – podsumowała ze złością, po czym zasiadła przy stole. Zaciskając zęby, zmierzyła wzrokiem Eleonore, równie zaskoczoną i oniemiałą co zegarmistrz. – A ty siadaj, dziewczyno, i mów, co tam zaszło, zanim się zirytuję.

Przedtem

Pierwsze było zaskoczenie.

Najbardziej chyba bała się bólu. Nie utonięcia. Bała się, że gdy tylko zejdzie pod powierzchnię, śmierć Juniora znów poniesie się echem w każdej komórce jej ciała, jak wtedy. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Czuła jedynie napór otaczającego ją powietrza, jak gdyby stała aż po czubek głowy zanurzona w ciepłej wodzie. Postąpiła krok, potem drugi. Nic, żadnego bólu, wprost przeciwnie. Błogość, którą napawał ją ten rozkołysany, gęsty czas. Aż dziw, że nie chlupotał, kiedy szła przed siebie.

Tamto przebudzenie pamiętała w przebłyskach. Twarz Ramzesa nad swoją twarzą. Głos powtarzający jej imię. Jego dłoń na swoim czole, z którego odgarnął włosy, sklezione potem i krwią. Wyczekiwanie w zielono-złocistych oczach – i wreszcie szok, kiedy spojrzał w jej oczy, zbielejące do cna, i zrozumiał, co zaszło tam, na dnie. Z bólu nie mogła oddychać. Dławiła się. Topiła. Potem znowu zapadła ciemność.

Z podwórka dobiegały stłumione odgłosy zwyczajnego dnia. Ktoś kogoś wołał, gdzieś zaszczekał pies, zgrzytał łańcuch dźwigający wiadro pełne wody. Frontowe drzwi budynku, w którym sześćdziesiąt trzy lata później miał się mieścić pensjonat, były otwarte na oścież, a za nimi rozlewał się słoneczny blask. Eleonora zatrzymała się w pół kroku, jednocześnie zasłaniając ręką twarz. Czekwała, aż jej wzrok przyzwyczai się do jasności.

Nie zauważyła, że to już wtedy coś poszło nie tak.

Nie dostrzegłaby go, gdyby nie to oślepiające słońce, gdyby na ten ułamek sekundy nie uciekła wzrokiem w bok. Stał, tak jak ona, w przedsionku, tyle że w najdalszym kącie, skulony, zwrócony twarzą do ściany, jakby próbował się w nią wtopić, zlać z szarością i cieniem. Na moment Eleonorę ogarnęło kuriozalne przeczucie, że ze wszystkich sił starał się jej nie widzieć.

Paradoksalnie, nie miała czasu, żeby się nad tym dłużej zastanawiać. Obrzuciwszy osobliwego człowieka ostatnim spojrzeniem, wybiegła przed dom, potem drogą w dół zbrocza i dalej, kierując się na południowy wschód. Na szczęście wojenna zawierucha, która zrównała z ziemią całe

dzielnice jej rodzinnego miasta, nie przetoczyła się z impetem przez Jedlinę i okolice. Wiele się tu zmieniło, rzecz jasna, lecz nie wszystko. Mijając co rusz znajome już domy, Eleonora dotarła do wiaduktu i skręciła w lewo.

Chociaż nie docierał do niej ani upał, ani zapach tamtego sierpniowego dnia, a dźwięki rozbrzmiewały jakby zza grubej szyby, mimowolnie syciła się tym marszem. Wciąż szła wolniej, niż szłaby w rzeczywistym świecie, lecz bez towarzyszy, których obecność ciążyłaby jej kamieniem u szyi, u rąk, u nóg, u duszy, nie musiała brnąć z mozołem przez miniony czas i własny ból. Mijała niczego nieświadomych ludzi, zajętych zwyczajnym życiem – pracą, żniwami, pogawędką z sąsiadem. Dla nich była... no właśnie, czym? Podmuchem wiatru, który zniknął, ledwie go poczuli? Ulotnym przywidzeniem zrodzonym z rozgrzanego powietrza? Przeczuciem, którego uchwycić nie potrafili ani nie chcieli? Czy może zjawą, tak po prostu? Idąc, bawiła się tą myślą, a pasówka w jej dłoni odmierzała minutę za minutą.

Po niespełna godzinie Eleonora znalazła się u celu wędrówki.

W porównaniu z tym, co zapamiętała z nieudanej wycieczki, pałac Jedlinka mógłby się wydawać przygnębiająco nędzny. A jednak, mimo niszczącej elewacji, miejscami zdartej aż do gołej cegły, mimo mchu, który porastał pusty basen fontanny, i żalonych ruin, w jakie obróciły się pobliskie zabudowania gospodarcze, natychmiast zrozumiała, co miał na myśli Hubert, gdy powtarzał za ojcem opowieści o porcelanowym pałacu pełnym tajemnic i duchów. Nawet ją przeszył rozkoszny dreszcz.

Przemierzywszy spory dziedziniec, zaczęła pomału zbliżać się do budynku. Przy jednym z kamiennych lwów, które strzegły wejścia, stała w kółeczku grupka bosych dzieci. Musiała im się przyjrzeć. Pokrzykiwały coś, to znów śmiały się, lecz nie okrutnie – jak śmiać potrafią się jedynie dzieci, gdy jeszcze nie do końca rozumieją, czym w ogóle jest owo okrucieństwo – ale radośnie, i wskazywały sobie coś na ziemi. Eleonora pochyliła głowę i między ich nogami dostrzegła śmigające kształty. Kociaki. Trzy kociaki, dwa szarobure i jeden czarny jak sadza, tarmosiły się i ganiały ku uciechu własnej i zebranej publiczności. Czy jej się wydawało, czy rzeczywiście znieruchomiały na moment i wbiły w nią spojrzenie wciąż niebieskich oczu?

Odetchnąwszy z ulgą, Eleonora przyjrzała się starszym chłopcom z kółeczka. Ani jedno zdjęcie nie zdążyło zachować dla potomności rysów

twarży Jurka Dobrzyń, musiała więc polegać na zdawkowym opisie, który przekazał jej Hubert. Siedemnastolatek, niewysoki, drobnej budowy, ciemny blondyn. Żadnych znaków szczególnych, ale poprzedniego dnia – mimo demencji Henryk Dobrzyń nigdy tego nie zapomniał – bawili się w kilku w ruinach wozowni i Juruś pechowo upadł, zdzierając sobie obydwie kolana i łokieć. Żaden z tych chłopców nie pasował.

Za wejściem znajdowała się obszerna sień z dwiema kolumnami i pociemniałą posadzką z marmuru, ułożonego w klasyczną szachownicę. Drzwi w głębi były uchylone. Tamtędy dotarłaby do pomieszczeń służby i piwnic, lecz Eleonora, pamiętając słowa Huberta, najpierw poszła w prawo.

Znalazła się u stóp klatki schodowej, która wiodła od parteru aż po ostatnie piętro pałacu. Wysokie, dwuskrzydłowe drzwi były zamknięte. Na schodach po lewej siedział chłopiec, pięcio-, może sześćoletni, i bez przekonania czyścił porcelanowe tralki jakimś wystrzępionym gałgankiem. Nad nim, jakby na straży, sterczała dużo starsza dziewczynka i tokowała zawzięcie. Sądząc po marsowej minie chłopca, właśnie zbierał potężną burę, bynajmniej nie pierwszą. Gdyby miał parę lat więcej, pewnie by coś odpyskował, a wtedy – Eleonora była tego pewna – jego koleżanka poleciałaby na skargę do pani.

Zauważyła, że chłopiec obejrzał się, kiedy przechodziła obok niego. Jakby poczuł, że nie są tu sami.

– W Jedlinie nie ma korytarzy. – Wspinając się po stopniach na pierwsze piętro, przypominała sobie instrukcje Huberta. – Nie ma korytarzy, bo pałac ogrzewano węglem i dzięki takiemu rozwiązaniu nie traciło się ciepła. Będiesz przechodzić z sali do sali, więc niczego nie pominiesz, bez obaw. Sprawdź najpierw piętro, tam znajdowały się sypialnie dzieci i jadalnia. Potem strych, no i parter, choć wątpię, żeby Jurek gdzieś tam się kręcił. Chyba że w kuchni, o ile miał wtedy dyżur przy obieraniu ziemniaków albo zmywaniu. Piwnice pod północnym skrzydłem. Budynki służebne i gospodarcze zostaw sobie na koniec, ale nie zapomnij o nich, dobrze? Stajnie, obory, oficyny, browar. Dzieciaki ciągle się tam bawiły, mimo zakazów.

– Wiesz mniej więcej, o której godzinie widziano go tam ostatnio?

– Jeszcze przed obiadem jedna z opiekunek zauważyła przez okno sypialni, że Jurek siedział na trawie za pałacem. Czuwała wtedy przy

chorym dziecku. Nie było go tam, kiedy wyjrzała ponownie.

Kierując się jego wskazówkami, Eleonora zaczęła badać piętro.

W każdym z dawnych pomieszczeń rezydencjonalnych pałacu stał wysoki kaflowy piec – to by się zgadzało z tym, co tłumaczył jej Hubert. Nigdzie nie widziała żadnych zabawek i innych dziecięcych skarbów, jedynie łóżka, puste i równo zasłane. Przez otwarte na oścież okna razem z powietrzem i muchami wpadały do środka okrzyki i śmiechy. Najwyraźniej wszyscy przebywali teraz na zewnątrz. Dopiero dalej, w sypialni na tyłach, natknęła się na starszą kobietę. Przycupnąwszy na skraju łóżka, zmieniała właśnie kompres na czole małej dziewczynki o poczerwieniałej od gorączki buzi. To musiała być ta opiekunka, o której mówił Hubert. Eleonora podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Za pałacem biegało kilkoro dzieci, ale żadne z nich nie wyglądało na Jurka Dobrzynia. Widać jeszcze było za wcześnie, żeby go tu zobaczyła. Po cichu, żeby nie burzyć spokoju chorej, która wodziła za nią nieprzytomnym wzrokiem, przemknęła się dalej.

Wchodząc do którejś z kolei sali, rzuciła okiem na chronometr – w porządku, jeszcze nie musiała się spieszyć. I dobrze, bo w przeciwnym razie i tak by zaraz o tym zapomniała.

Stała w progu, oniemiała z zachwytu. To musiała być sala balowa – wysoka, wyższa od pozostałych, z dwóch stron doświetlona dodatkowym rzędem okien. Nad wejściem ciągnęła się galeria dla orkiestry. Resztki nie tak dawnej wspaniałości, parkiet, sztukaterie, boazeria, lustra i kryształowe żyrandole, w których tańczyło światło, jeszcze stawiały opór przyziemności nowego świata, ale coraz słabiej, coraz mizerniej. Wszystko niszczało, czy to za sprawą upływającego czasu, czy też ludzkiej ręki.

Wtedy znowu coś poszło nie tak. Tym razem jednak nie uszło to jej uwadze.

W połowie sali Eleonora stanęła jak wryta. Wyraźnie poczuła pod stopami drgnienie, po nim zaś pierwszy krąg rozchodzący się po tafli czasu.

Drugi.

Trzeci.

Czas drgał i drgał, i drgał, a wraz z nim kryształowe żyrandole, aż wreszcie zaczął kipieć.

Pomału, jakby powietrze zgęstniało jeszcze bardziej, Eleonora obróciła głowę.

Z lustra spoglądała na nią dziewczyna w czepku i białym fartuchu narzuconym na ciemną suknię. Klęczała na parkiecie i płakała, głośno, tak głośno, jak gdyby pragnęła, by usłyszał ją cały świat, wtedy, potem, przedtem, teraz, a od jej płaczu, od jej krzyku zadrżały wszystkie lustra w lustrzanej sali.

Pękły.

Czas tąpnął.

Eleonora puściła się biegiem.

Jeszcze nigdy nie biegła tak szybko jak teraz, lecz im szybciej biegła, tym więcej wyrastało przed nią drzwi, a za drzwiami sale, nieskończoność sal, bo w tym pałacu nie ma korytarzy, Eleonoro, tylko sale, sale, a w nich dzieci, roześmiane dzieci i trupy, trupy w mundurach, z pianą wciąż kapiącą z ust, z oczami wytrzeszczonymi w ostatnim akcie niedowierzania, że to już, że to pora umierać. A ona nie wiedziała, gdzie zaczyna się tamten krzyk, który ją ścigał, a gdzie zaczyna się jej własny, aż wypadła na zewnątrz, prosto w blask sierpniowego słońca i styczniowego śniegu, w dzień i noc zarazem, i wszelki dźwięk zamarł jej na ustach. Potoczyła błędnym wzrokiem po dziedzińcu, szukając ratunku, drogi, żeby stąd uciec, lecz nie potrafiła nawet powiedzieć, co było prawdziwe, a co prawdziwsze – czy te dzieci roześmiane, które stały boso wokół pustej fontanny i wyliczały: *za górami, za lasami, jechał pociąg z wariatami, a w ostatnim wagoniku siedział Hitler na nocniku, zbierał szmaty na armaty i ogryzki na pociski*, czy te wozy, ciężkie wozy załadowane trupami, z których sterczały trupie ręce, trupie nogi, zwisały trupie głowy, sinożółte, sinoblade i rozkołysane w takt jazdy, w takt beztroskiej dziecięcej wyliczanki.

Teraz

Znaleźliśmy ją w jednym z tych budynków przy pałacu – dokończył za nią Gerd, bo Eleonora już nie była w stanie. Nie płakała jednak, tylko ukryła twarz w dłoniach i oddychała, skupiona wyłącznie na tej czynności, wdech, wydech, wdech, wydech. Prawie widział, jak zapina się od środka na wszystkie guziczki, z góry na dół, co do jednego. Żeby trzymać fason, żeby przypadkiem nie pęknąć. – Razem z...

– Z kim?

– Z ludźmi, pani Matyldo. Jeszcze ludźmi... ale już im niewiele brakowało.

– A... a do czego? – odważył się zapytać Karolek. Od paru minut stał razem z Dżusi w wejściu do kuchni i przysłuchiwał się temu, co mówiła Eleonora. Jej młodsza siostra była niewiele bledsza od ściany, o którą się opierała.

– Do trupów. – Gerd obejrzał się przez ramię i uśmiechnął krzywo. – Dzień dobry, robaczki. Dobrze się spało?

Dżusi odpowiedziała mu bliżej nieokreślonym grymasem.

– Czegoś tu nie rozumiem – zwróciła się do siostry. – Znaczy, niczego nie rozumiem, ale jednego to już w szczególności. Trupy? Serio, El?... Skąd trupy w domu dziecka?

– Pamiętasz, jak szliśmy wtedy po ciotkę?

– Wiesz, trudno zapomnieć. Katedra szła radośnie z dymem, waliło śniegiem, pizgało złem, Ramzes napażał w dzwon, a ty krzyczałaś, że tu się nic nie zgadza, czemu się nie zgadza, ty nie wiesz, czemu się nie zgadza...

– I teraz też się nie zgadzało.

– Może ty... no wiesz? Czegoś nie ogarniasz?...

– Dzięki. Stokrotne dzięki.

– El, przyznaj, że to by było dość logiczne wytłumaczenie. Nawet bardzo logiczne. Może zwyczajnie nie trafiłaś we właściwą datę, a nie... bo ja wiem, w inne lato? Parę lat wcześniej?

– W tym sęk, że trafiłam. Widziałam szyldy na sklepach, na warsztatach. Napisy były polskie. A na parapecie w pierwszej sypialni

leżała książka, zapamiętałam tytuł: *Złoty klucz, czyli niezwykle przygody pajacyka Buratino*. I natknęłam się na tę opiekunkę, o której wspominałeś – zwróciła się do Huberta, który przystanął za jej siostrą, w polarze narzuconym na pizamę. – Tę, która widziała wtedy Jurka. Rzeczywiście siedziała przy chorym dziecku, ale Jurka jeszcze za pałacem nie było. Wiem, bo specjalnie wyjrzałam przez okno. To był dokładnie ten dzień, czternasty sierpnia czterdziestego dziewiątego roku. Do pewnego momentu wszystko się zgadzało. Wszystko. Było lato, piękne, gorące lato, ludzie pracowali w polu, dzieciaki biegały bosą i... dzieciaki... – Urwała, nagle coś sobie przypomniawszy.

Pani Matylda obserwowała ją uważnie.

– Co z nimi, Eleonoro?

– Miałam wrażenie, że niektóre z nich mnie widzą. Ale tylko te młodsze, starsze już nie.

– A psy? Albo koty?

– Wie pani, że wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale... tak, jeden kot syczał na mnie, kiedy przechodziłam.

– I wszystko było dobrze, dopóki nie dotarłaś do sali balowej, czy tak? Sali z lustrami?

– Tak. Dopiero tam... wszystko stanęło na głowie.

– A co było najpierw? – zapytał Gerd. – Tąpnięcie czy ta dziewczyna w lustrze?

– Tąpnięcie – odparła Eleonora zdecydowanie. – Dziewczyna pojawiła się zaraz potem... i ona też się nie zgadzała.

– Dlaczego?

– Jej strój. Jej strój się nie zgadzał. To nie była sukienka z czterdziestego dziewiątego czy czterdziestego któregoś roku. Raczej, bo ja wiem? Tak ze sto lat wcześniejsza.

– Nic już z tego nie rozumiem... – mruknęła Dżusi. Reszta zgodnie pokiwała głowami. Dobrzyń tymczasem, precyzyjnie się między narzeczonymi, wyciągnął pół zawartości lodówki i przystąpił do masowej produkcji kanapek.

– Zatem w Jedlinie mieszają się nam co najmniej trzy czasy – podsumowała pani Matylda. – Co do tego chyba nie mamy wątpliwości. Rok czterdziesty dziewiąty, rok, powiedzmy, czterdziesty czwarty, może czterdziesty piąty oraz bliżej nieokreślony, w połowie dziewiętnastego wieku.

– Cztery – poprawił Gerd. – Proszę nie zapominać o dwa tysiące dwunastym. Jadąc tutaj, na wysokości pałacu natknęliśmy się na kolumnę hitlerowskich żołnierzy – wyjaśnił, widząc nieme pytanie w oczach Eleonory.

– Może to były widma? – podsunęła. – Może wypłynęły na powierzchnię za mną albo za jakimś innym psychopompem?

– Nawet jeśli, to chyba żaden zwyczajny człowiek nie powinien ich widzieć, prawda? Ani Karolek, ani Dżusi, ani ja. Pani nie uwzględniam, pani Matylde, pani widuje takie rzeczy, że ja wysiadam.

– A pan, panie Hubercie? Panie Hubercie?

Dobrzyń podniósł głowę znad deski do krojenia. Nie sprawiał wrażenia szczególnie przytomnego, choć raczej nie była to kwestia niewyspania.

– Proszę?

– Czy pan zaobserwował może coś niezwykłego? W Jedlinie albo okolicach?

– Bardziej niezwykłego niż fakt, że siedzimy w kuchni uroczego pensjonatu i rozmawiamy o podróżach w czasie, hitlerowskich oddziałach maszerujących przez Jedlinę, dzieciach, trupach, otrutych inżynierach i...?

– Nikt nic nie mówił o inżynierach – przerwał mu Gerd. – Zwłaszcza otrutych.

– Och, przepraszam, chyba się rozpędziłem. – Odłożył nóż i oparłszy się plecami o kuchenną szafkę, splótł ręce na piersi. – Chodzi o te widma, które widziała Eleonora. To dość znana historia, myślałem, że rozpoznaliście... A może tylko ja ją od razu rozpoznaję. To także jedna z opowieści o pałacowych duchach, które słyszałem od ojca – wyjaśnił. – Ma ścisły związek z dwiema największymi, choć niezmiernie mrocznymi tajemnicami Gór Sowich. A tak się składa, że obydwie łączy właśnie porcelanowy pałac.

– Zapewne pierwszą z tych tajemnic jest Rogoźnica – domyśliła się Matylde Bolesna.

– Rogoźnica? – powtórzył Karolek i zmarszczył czoło, wyraźnie skonfundowany. – Przecież to na Przedgórzu Sudeckim, kawał drogi stąd. Co ma wspólnego Rogoźnica z Górami Sowimi?

I wtedy pani Matylde na niego spojrzała. Spojrzała tak, że Karolek, mimo wzrostu i postury, poczuł się naraz tyciuteńkim człowieczkiem. Po

czym przesunęła ten wzrok kolejno na pozostałych – i sądząc po ich minach, wcale nie czuli się w tym momencie wiele więksi od Karolka.

– Co? Wy też nic? Jedźmy, nikt nie woła? Na litość boską, czego oni ich teraz uczą w tych szkołach!... O powstaniu warszawskim pewnie napisalibyście całą rozprawkę, ale o historii własnego regionu to już ani słowa, co?

– Ja staram się nadrobić, ostatnio sporo czytam o Festung Breslau... – próbował wtrącić Karolek na swoją obronę, lecz starsza pani nie do końca doceniła te starania.

– Brawo ty. A mówi wam coś nazwa Gross-Rosen?

Poznała po ich minach, że owszem, tę nazwę znali. I chyba nie chcieli jej usłyszeć.

– Hitlerowski obóz koncentracyjny, i to jeden z najcięższych – rzekł Hubert litościwie, zanim emerytowanej nauczycielce przyszło do głowy, żeby przepytała ich ze szczegółów. – Powstał właśnie pod Rogoźnicą. Tamtejsi więźniowie, przede wszystkim Żydzi, Polacy i Rosjanie, pracowali w kamieniołomie. Ale w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku Gross-Rosen stało się czymś więcej.

– Czymś więcej niż obozem koncentracyjnym? Znaczy co, piekłem?

– Blisko. Bardzo blisko. Stało się tak zwanym obozem głównym. Pod Gross-Rosen podlegało ponad sto podobozów, czyli filii, rozsianych na terytorium dzisiejszych Czech, Niemiec i Polski. Aż trzynaście z nich znajdowało się w Eulengebirge, czyli tu, w Górach Sowich. Trzynaście – powtórzył z naciskiem, a gdy żadne z nich nie zareagowało, zaczął wymieniać z pamięci: – Głuszycza, Głuszycza Górna, Jedlina-Zdrój, Jugowice Górne... co tam jeszcze... a tak, Kolce, Ludwikowice Kłodzkie, Olszyniec, Osówka, Soboń, Sokolec, Sowina, Włodarz. Oraz Zimna Woda. Razem z oddalonym obozem Fürstenstein, czyli Książem, tworzyły sieć o dość specyficznym... przeznaczeniu. A tu, w Jedlinie, w zabudowaniach gospodarczych porcelanowego pałacu, mieścił się *Zentralkrankrevier*, który tę sieć... cóż, nie zabrzmiał to może stosownie, ale dziś powiedzielibyśmy, że obsługiwał. Myślę, że właśnie to zobaczyłaś, Eleonoro, kiedy byłaś... tam? Wtedy? *Zentralkrankrevier*.

Oczy zebranych w kuchni młodych ludzi zwróciły się ku pani Matyldzie.

– Centralny rewir chorych – przetłumaczyła. – Innymi słowy, szpital obozowy. Języków, jak widzę, też się nie uczycie.

– Szpital? – powtórzył Gerd. Słowa ledwo przeciskały się przez jego ściśnięte gardło. – Chyba raczej trupiarnia. Pani Matyldo, proszę mi wierzyć, to miejsce w niczym nie przypominało szpitala...

Odwrócił się do Eleonory, jak gdyby szukał u niej wsparcia, potwierdzenia tego, co widział, a teraz usiłował zapomnieć. Wzięła głęboki, drżący wdech.

– Wtedy, podczas tamtej przeprawy przez zimowe Breslau... tamten marsz, płonące miasto... to było straszne. Straszne. Ale... to... – Nie znał nikogo, kto tak jak ona umiałby trzymać na wodzy swoje emocje, a teraz widział jak na dłoni, że ledwo nad sobą panowała. To, co zobaczyła, co przeżyła po drugiej stronie, wstrząsnęło Eleonorą do głębi. – Brakuje mi słów, żeby to opisać.

Hubert poruszył się niespokojnie.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Eleonoro. W żadnym razie nie chciałem cię narażać na takie... przykrości.

– Wiem. Wiem – powtórzyła z bladym uśmiechem. – I nie mam do ciebie pretensji. Przeprawiłam się z własnej woli i na własną odpowiedzialność. Ale pomału zaczynam podejrzewać, że żadna z moich przepraw nigdy nie zakończy się inaczej jak koszmarami.

Mózg Karolka tymczasem intensywnie przetwarzał posiadane informacje – mapy, liczby, odległości – i stopniowo formułował pytanie, którego nie potrafił zachować dla siebie. Chociaż istniało spore prawdopodobieństwo, że po jego zadaniu Karolkowi przyjdzie skurczyć się do rozmiarów tyciuchnych, a nawet tyciutynieczkich.

– Ale po co aż tyle obozów na tak małym obszarze?...

Ku ich zaskoczeniu Hubert Dobrzyń uśmiechnął się z uznaniem.

– O. I tu docieramy do drugiej tajemnicy Gór Sowich. Tej, która wciąż rozpała wyobraźnię historyków, poszukiwaczy przygód i szaleńców czystej wody. Do Riese.

– Muszę tam wrócić.

Dżusi wyłączyła suszarkę i wyjrzała z łazienki.

– Oszalałaś? – zwróciła się do starszej siostry. – Chcesz wracać do hitlerowskiego rewiru?! Już nie pamiętasz, co tam widziałaś?!

– Tak, pamiętam – odparła Eleonora, wciąż ze spokojem, choć z każdym słowem miała go w sobie coraz mniej. – A wiesz, co zapamiętają dzieci, które natkną się na podobne widma w drodze do szkoły? Teraz ludzie siedzą w domu zasypani po dach, ale za parę dni, jak się skończy ta przekłeta zamieć, wyjdą. I zobaczą to samo co my. Albo, kto wie, może nie będą musieli nawet nigdzie wychodzić, bo widma zaczną im wypływać w ich własnych domach?!

– Ty mnie tu nie bierz pod włos! – fuknęła jej młodsza siostra.

– Zrozum, Dżusi... Nie chcę tam wracać, naprawdę nie chcę, ale jeżeli to całe wymieszanie czasów stało się przeze mnie, tym bardziej muszę to jakoś naprawić.

– Bo...?

– Bo muszę! Bo podobno istnieje coś takiego jak moralność i zasady!

– A jeżeli to nie przez ciebie?

Eleonora podniosła rękę, by zaraz je opuścić.

– A jaka to różnica? Co? Jaka to różnica? Muszę.

– I może jeszcze sądzisz, że pójdziesz tam sama, co, Kapitan Zasado?

– A nie?

– Rany boskie... Że ci gały przepaliło od tego całego psychopomponowania, to widzę, ale że razem z mózgiem? – Dżusi ostentacyjnie przewróciła oczami, by następnie na powrót wlepić je w zdumioną siostrę. – No? No co tak stoisz, zagęszczaj ruchy!

– Ale... ale co? Że teraz?

– A kiedy?! Ty myślisz, że ja tu przyjechałam prawdziwym czołgiem?! Teraz jeszcze jakoś dam radę, ale za parę godzin będzie już po ptokach! Albo jedziemy teraz, albo wcale, więc sugerowałabym zintensyfikować decyzyjność.

Na dźwięk pukania obydwie odwróciły głowy. Drzwi pokoju przez cały ten czas były otwarte. Hubert, który słyszał ich rozmowę, postanowił się wtrącić.

– Może ja w takim razie wezmę chłopców i spróbujemy odkopać też mój samochód – zaproponował. – Nie zmieścimy się w szóstkę do jednego.

– Ale my nie jedziemy w szóstkę. – Dżusi kategorycznie ucięła temat. – Pani Matylda zostaje.

– Słucham? – dobiegło z kuchni.

– O szlag, o szlag, o szlag...

Starsza Sternówna uniosła na to brew i westchnęła z wyraźnym potępieniem.

– Naprawdę się łudziłaś, że cię nie usłyszy?...

Chwilę później pani Matylda w całej swej okazałości stanęła w drzwiach.

– Słucham? – powtórzyła z tym złudnym spokojem szacownej staruszki.

Ale na tę sztuczkę nabierali się wyłącznie ci, którzy jej jeszcze nie znali. Dżusi już wiedziała, że czeka ją ciężka przeprawa. Co wcale nie znaczyło, że zamierzała się wycofać.

– Halo? Czterdziesty dziewiąty rok? Pani już chyba była wtedy na świecie, prawda? Ani myślę zaszuwać stąd przez czas aż do Wrocławia, żeby pani szukać. Zwłaszcza bez Ramzesa!

– Jak to bez Ramzesa? – zdziwiła się Eleonora, nikt jednak nie zwracał na nią uwagi.

– Przypominam ci, Justyno, że byłam z wami, kiedy widma wymaszerowały z Jedlinki, a jakoś nic mnie wtedy z samochodu za duszę nie wywlokło. Zdaje się, że ta... anomalia, cokolwiek ją wywołało, ma charakter lokalny. A mnie tu w czterdziestym dziewiątym z pewnością nie było. Ja jadę i koniec dyskusji na ten temat. Za to ty zostajesz.

Dżusi wzięła się pod boki.

– Bo co?

Chcesz *va banque*, to masz *va banque*, mówiło jej śmiałe spojrzenie. Wiem, że wiesz, ale wiem też, że nigdy, przenigdy mnie nie zdradzisz. Witaj w kozim rogu, Matyldo Bolesna.

– Tak właśnie myślałam – skwitowała milczenie starszej pani, po czym poprawiła argumentem: – W razie czego i tak potrzebujecie drugiego samochodu. I drugiego kierowcy. Pani jest stara, Eleonora nie ma prawa jazdy, Gerd chyba jeszcze nie wytrzeźwiał, a Karolek, owszem, wykopie w zaspie igloo, upoluje białego niedźwiedzia i przed nadejściem weekendu założy na poboczu eskimoską wioskę, ale przy tych warunkach rozbije was na pierwszym zakręcie. Co ja gadam, na pierwszym łuku drogi.

Hubert Dobrzyń nie wyglądał na przekonanego. Obejrzał się na Karolka i Gerda, którzy stali z boku i udawali, że ich tam wcale nie ma, nie było i prawdopodobnie nigdy nie będzie. A nawet bardziej.

– Może jednak będzie lepiej, jeśli wasza babcia...

– To nie jest nasza babcia – odparł Karolek uprzejmie, acz stanowczo.

– A... a w takim razie kim dla was jest?
– Naszą moją – odpowiedział Gerd.
– Oraz łacinniczką – uzupełnił Karolek.
– No i trochę poganiaczem niewolników.
– I może nie wygląda, ale... – Karolek zawiesił się na parę sekund. – Nie, w sumie to wygląda. No, w każdym razie ma pojęcie o takich sprawach, że... no.

Dopiero teraz, gdy chłopak urwał na dobre, Dobrzyń uświadomił sobie, że starsza pani przez cały ten czas przyglądała im się z chłodnym zainteresowaniem.

– Jeszcze jakieś pytania, panie Hubercie? – zapytała.
– Nie. Skąd. Absolutnie żadnego.
– Doskonale. Cenię sobie rozsądnych ludzi.
– To ja może pójde zapytać, czy pani Ewa nie ma drugiej szufli – stwierdził Dobrzyń i czym prędzej tę deklarację wcielił w czyn.
– Wszystko pięknie, ale jak my się dostaniemy do tego pałacu? – dobiegło go jeszcze z korytarza na piętrze, gdy był w połowie schodów. Nadstawił ucha, żywo zainteresowany rozstrzygnięciem tej kwestii.
– Nadal nosisz wytrychy w torebce? – rozległ się w odpowiedzi głos Eleonory.
– A podobno nie masz włamywaczy w rodzinie! – zawołał z wyrzutem, przystając na stopniu.

Zza ściany u szczytu schodów wyłoniła się czarnowłosa głowa.

– Bo nie mam – odrzekła Eleonora całkowicie zgodnie z prawdą. – Mam Dżusi, a ona jest jak szwajcarski scyzoryk. Mały, głośny, klnący szwajcarski scyzoryk.

Recepcja pensjonatu była pusta, ale Hubert dobrze wiedział, że gospodyni, o ile nie oczekiwała właśnie przyjazdu nowych gości, rzadko tam przesiadywała. Zwykle, jeśli tylko pogoda dopisywała, można ją było zastać w ogrodzie, w ostateczności zaś w jej mieszkaniu na tyłach. Wystarczyło skrócić za recepcją i zejść po paru schodkach. Ponieważ pensjonat znajdował się na zboczu, ten najniższy poziom, choć z perspektywy frontu wydawał się piwnicą, od strony położonego dużo niżej ogrodu i parkingu za budynkiem stawał się parterem.

Hubert Dobrzyń zstąpił na pierwszy stopień i w ostatniej chwili chwycił się barierki, kiedy stopa wyrwała mu do przodu w niekontrolowanym poślizgu. Niestety, nawet ta odrobina ekwilibrystyki wystarczyła, żeby

poraniony bok natychmiast o sobie przypomniał. Posykując, Hubert otarł łzę, która spłynęła mu w kącik oka, i zerknął pod nogi. Topniejący śnieg i kafle, pułapka doskonała. Mokre ślady podeszew prowadziły w dół, aż do uchylonych drzwi mieszkania, zza których dobiegały głosy. Ten znajomy należał do pani Ewy, drugi do jakiegoś mężczyzny.

– ...ale nie pomogę – mówiła gospodyni przepaszającym tonem. – Sama ogarniam wszystko, przez tę pogodę Wiesia w ogóle nie ma jak dojechać. A może z Nowej Rudy ktoś?

– Gdzie? No nie dojadą. Za Ludwikowicami wszystko odcięte, za Jugowem to samo.

– To może z Wałbrzycha?

– Nie dojadą – powtórzył mężczyzna z rezygnacją. – Trakcja zerwana, wszystko stoi. A samochodami mówią, że się boją. Zresztą pani im się dziwi? Od strony Unisławia jak puścili pług, to utknął. Ech, taka robota...

Mężczyzna umilkł i Hubert uznał, że to dobry moment na strategiczne chrząknięcie.

– O, dzień dobry! – Gospodyni uchyliła drzwi szerzej. – Proszę, panie Hubercie, proszę. Pan pamięta pana Michała? Sąsiada mojej Kasi?

– A dzień dobry, dzień dobry – przywitał się z mężczyzną w zaśnieżonych butach, mimowolnym sprawcą jego poślizgu. Poznali się chyba trzy lata temu. Co prawda Dobrzyń nigdy nie mógł sobie przypomnieć jego imienia, za to inny szczegół na amen utkwiał mu w pamięci już podczas tamtego pierwszego spotkania. Sąsiad Kasi, kuzynki pani Ewy, pracował w porcelanowym pałacu. – Jak tam, już po remoncie?

– Niby po.... Nie ma komu posprzątać, rozumie pan? Nie ma. Ekipe miałem umówioną, ale nic z tego, nikt mi tu teraz nie dojedzie, ani ci od sprzątania, ani nasi. Konserwatorzy swoje ogarnęli, ale tam trzeba gruntownie, a nie że przelecieć raz szmatą z rynku i gotowe. Kierowniczką cała w spazmach, bo już koniec marca, zaraz święta, wtedy na pewno nikt nie będzie niczego sprzątał, a po świętach otwieramy, wszystko musi być gotowe, bo zaraz potem rekonstrukcja i ludzi się zjedzie jak mrówek, a tam w środku burdel, nie pałac! Pani Ewuniu, może pani...? To tylko dwie sale, obróci pani raz-dwa. Ja bym panią podrzucił do... no, może nie pod same drzwi – zreflektował się szybko – ale chociaż kawałek...

– Sama? Takie pomieszczenia? Skicham się, panie Michale, a nie objadę. Tam trzeba całej ekipy, żeby to porządnie ogarnąć. – Westchnęła współczująco nad niedolą sąsiada, po czym uśmiechnęła się do Dobrzyń. – No, co tam, panie Hubercie? Co pan taki zamyślony?

– Ano myślę, pani Ewuniu, tak sobie myślę, że jak się znajdzie druga szufla, to z ekipą też nie będzie problemów.

– Pani Matylde, co się stało z Ramzesem? – zapytała Eleonora, kiedy wyruszyli spod pensjonatu.

Czarna kobyła mozolnie parła przodem przez zaśnieżoną ulicę, a za nią Hubert Dobrzyń za kierownicą drugiego samochodu, ze zdobytymi cudem kluczami do pałacu w kieszeni oraz Gerdem dla wątpliwego towarzystwa.

– Piekło go pochłoneło, przeżuło, a teraz trawi – mruknęła Dżusi z siedzenia kierowcy.

– Tylko bez hysterii, dziecko, bez hysterii. Ramzes przepadł bez wieści – wyjaśniła pani Matylde rzeczowo. – Nikt nie wie, gdzie się od dłuższego czasu podziewa. A ty? Kiedy go ostatnio widziałaś?

– Na początku października. Nie fukaj mi tu! – Eleonora bez pardonu zganiała młodszą siostrę. – Gdyby nie Ramzes, właśnie byś wybierała kieckę na mój pogrzeb. Po... po wszystkim spotkaliśmy się jeszcze parę razy. Zawsze na moją prośbę – podkreśliła. – Miałam pytania, na które ciotka nigdy by mi nie odpowiedziała, a ja chciałam... chciałam więcej zrozumieć.

– I to Ramzes nauczył cię tej sztuczki z wołaniem z zaświatów? – domyśliła się pani Matylde.

– Mhm. Powiedział, że jeśli kiedyś nie będę mogła wypłynąć z powrotem i będę już blisko, naprawdę blisko... śmierci, wtedy mam zacząć wołać, dopóki nie ochrypnę. Albo nie umrę. Jak te głosy w waszym telefonie, na Lipowej. I że jeśli będę naprawdę zrozpaczona, tak jak one, to ktoś mnie w końcu usłyszy. Ale to musi być ktoś... czuły – dokończyła po zastanowieniu – kto potrafi słyszeć zaświaty, a ja nie mogę pozwolić, żeby mną zawładnęła bliskość dna. Bo jeśli stracę nad sobą kontrolę, to po mnie. – Wzruszyła ramionami. – Cóż. Akurat kontrolę mam dość dobrze opanowaną.

– I co? – Dżusi posłała jej drwiące spojrzenie we wstecznym lusterku. – Żadnych zaklęć, rytuałów, magicznych wyciągów z dupy jednoroźca?

– Sama jesteś dupa jednoroźca – odcięła się młodszej siostrze Eleonora, czerwieniąc się przy tym nieznacznie. – Ramzes powiedział, że wystarczy rozpacz i śmierć. Tylko tyle – dodała z przekąsem, który nie umknął pani Matyldzie.

Starsza kobieta uśmiechnęła się krzywo.

– Cały Ramzes.

– Najpierw wołałam Dżusi, potem ciotkę – ciągnęła Eleonora. – Słyszały mnie, Dżusi ledwo ledwo, ciotka lepiej, ale chyba wciąż za słabo, żeby cokolwiek zrozumieć. Dopiero pani się udało. Dziękuję.

– *Honos habet onus* – skwitowała krótko pani Matylda.

– A tak bardziej po naszymu?

– Sława nakłada brzemię.

– Czyli twoje zniknięcie nie miało nic wspólnego z Ramzesem? – upewnił się Karolek, oglądając za siebie.

– Nic a nic.

– No to ciotka dostanie piany... – orzekła nie bez satysfakcji Dżusi i zatrzymała samochód.

Kawałek dalej, na prawo od drogi, wznosiła się ściana nieprzejrzonej bieli. Zjazd na porcelanowy pałac.

– Dobra. – Dżusi opuściła szybę i wystawiwszy głowę na zewnątrz, zaczęła, aż jadący za nią Hubert zrobi to samo. – MASZ MI SIEDZIEĆ NA DUPIE, SŁYSZYSZ?! – wrzasnęła.

Nie zrozumieli ani słowa z odpowiedzi, która padła. Może to i dobrze?

– Titku, w piekle cię nawet usłyszeli...

– I dobrze. Niech wiedzą, że nadciągam.

W drugim samochodzie długo panowała napięta cisza. Hubert Dobrzyń, który ukończył zaledwie jeden kurs jazdy, bez żadnych piruetów i do tego dość dawno temu, skupiał się na tym, żeby zjechać ze zbocza w sposób mniej więcej kontrolowany i nie wbić się ani w zaspę, ani w tył czarnego bmw. Dżusi by mu tego nie wybaczyła aż do śmierci. Jego śmierci, ma się rozumieć.

Gdy wreszcie znaleźli się na głównej drodze i zrobiło się przyjemnie płasko, dłonie lepiły mu się od potu. Odchrząknął i łypnął z zaciekawieniem na siedzącego obok Gerda. Zastanawiał się, ile wytrzyma, zanim uprzejmie spuści go na drzewo.

– Wszystko gra? – zagaił.

– Jasne. Ot, jedziemy sobie w zamieci na miłe zwiedzanie pałacu, w którym mieszają się cztery czasy, dając unikatowe combo, od którego już siwieję. A czemu pan pyta?

– Odnoszę wrażenie, że się poróżniliście. Z Eleonorą. Byliście parą?

– Ano byliśmy. – Gerd wymówił te słowa pomału, jak gdyby wciąż oswajał się z tym nowym, obcym jeszcze smakiem czasu przeszłego. – Ale wszystko... nie powiem, że się spierdoliło, bo pani Matylda na bank słyszy i mnie obsztorcuje, więc ujmę to inaczej. Gruzy. Tyle zostało ze mnie i Eleonory.

– Aż tak źle?

– Gru-zy. Gruzy aż po horyzont. Ale bez obaw. Pył już opadł, podłoże względnie osiadło. Stan ofiar stabilny.

– Niedobrze.

– Że stabilny?

– Że gruzy. Gruzów nie da się posklejać.

– No nie – zgodził się Gerd. – A jak się człowiek potknie, to jeszcze sobie do kompletu zęby wybije. Skąd ta ciekawość?

– Wyglądasz i mówisz... znajomo. A to niedobrze. Przepraszam, mogę ci mówić po imieniu? – zreflektował się. – Tak... tak będzie mi łatwiej. Oczywiście... ty też...

– Jasne.

– Powiem ci coś, ale prosiłbym, żebyś nie powtarzał tego dziewczętom. – Skinął brodą na czarny samochód przed nimi.

– Łącznie z Karolkiem?

– Tak, łącznie z Karolkiem. – Zaśmiał się, chociaż to, co zamierzał powiedzieć temu młodemu facetowi, wcale nie było zabawne. Wprost przeciwnie. Odchrząknął na znak, że chwilowo koniec z głupimi żartami. – Widzisz, moja żona nie zmarła... tak po prostu. Popełniła samobójstwo.

Przez następną minutę Gerd zastanawiał się, co powiedzieć. Czy w ogóle powinien coś mówić. W końcu doszedł do wniosku, że jednak nie.

– Stwardnienie rozsiane, bardzo agresywna postać – mówił dalej Hubert, niezrażony milczeniem swojego pasażera, jakby wyczuł intencję.
– Na dodatek późno wykryta, bardzo późno. Część objawów zignorowała Dorota, część zignorowali lekarze, przypisując je zupełnie innym chorobom, po czym... bach. Diagnoza. Jak nokaut. Leki nie działały. Podobno dziesięć do piętnastu procent przypadków przybiera taki przebieg.

– Człowiek od razu czuje się taki wyjątkowy.

– Ano. Wiesz, Dorota była zawsze bardzo aktywna. Niezależna. Poznaliśmy się późno, w okolicach czterdziestki. Ona tuż przed, ja tuż po, dzieliło nas parę lat. Żyliśmy trochę razem, a trochę jakby obok siebie, jak dwa stare kocury, które godzą się dzielić terytorium, o ile ten drugi nie będzie wyzerał z cudzej miseczki. Trochę tarć, ale ogółem na plus. Mocno na plus. Do czasu, aż przyszła choroba. Dorota, jak to Dorota... nie czekała, aż sprawy rozstrzygną się poza nią, chciała mieć w tej sprawie coś do powiedzenia. Postanowiła uprzedzić najgorsze i... cóż. Skoczyła z okna.

– Ludzie zwykle nie dzielą się takimi historiami z nieznanymi, więc domyślam się, że do czegoś zmierzasz.

– Gruzów nie posklejasz – powtórzył Hubert. – Nie odtworzysz z nich dokładnie tego, czym były przedtem. Zerwanie to nie śmierć, oczywiście...

– Chodzi o coś więcej. Dużo więcej.

– Nie oceniam. Naprawdę. Tak czy owak, uruchomił ci się podobny mechanizm. Masz teraz dwa wyjścia, tak jak ja przed rokiem. Możesz albo się zagrzebać w gruzach i pomalutku wykrwawiać na śmierć w jakiejś ciemnej jamie, albo wstać, otrzepać się z tego pyłu... przejść żałobę. Możesz czekać na śmierć albo zrobić coś z nimi, z tymi gruzami, na własnych warunkach. Wzniesć coś nowego, innego, a czy lepszego? Gorszego? Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nikt nie wie. Ale z gruzów potrafią się podnieść całe miasta, a co dopiero człowiek. Ludzie ze swej natury są bardziej elastyczni.

– Dlatego zacząłeś szukać wujka?

– Stryjka – poprawił odruchowo Dobrzyń i dodał: – Tak. Bez Doroty i ojca w moim życiu zrobiło się bardzo pusto, więc... znalazłem coś, co trochę zappełniło krajobraz po bitwie.

– No proszę... – mruknął do siebie zegarmistrz, zapatrzony w światła samochodu przed nimi. Dżusi utrzymywała stałą prędkość i jeśli w ogóle hamowała, to silnikiem, nie pedałem. Pewnie zabrzmiałoby to dziwnie, dlatego nie powiedział tego na głos, ale te światła go uspokajały. Nie rozbłyskiwały niepokojącą czerwienią. Nie alarmowały. Dawały prosty sygnał: „spokojnie, wiem, co robię”. Chociaż ona jedna. – Wygląda na to, że gwiazdeczka przyciąga facetów równie porządnych, co pechowych.

Dobrzyń potrzebował chwili, żeby ogarnąć wszystkie implikacje.

– Och, nie. Nie, nie, to nie tak, jak myślisz! Boże, mógłbym być jej ojcem...

– Ile masz lat?

– Pięćdziesiąt trzy.

– No to mógłbyś, fakt. Moim w sumie też.

– Trochę mnie teraz dobiłeś, wiesz? – Tak, sądząc po tym uśmiešku, Gerd wiedział doskonale. – O, czekaj, coś się dzieje.

Zatrzymał się dwa metry za czarnym bmw. Widząc, że Dżusi wystawiła głowę przez okno od swojej strony i patrzy wyczekująco, szybko opuścił szybę.

– MASZ MI SIEDZIEĆ NA DUPIE, SŁYSZYSZ?! – Nie zawracała sobie głowy konwenansami. Może to okoliczności, a może... cóż. Dżusi. Podejrzywał, że raczej to drugie.

– TAK, SŁYSZĘ!!! – odryknął i pospiesznie zamknął okno. Naraz dotarło do niego, co zaraz robi. Gdzie zaraz wjedzie. – To... to mówisz, że było źle?

– No. A nawet gorzej.

Bmw ruszyło ślamazarnie i nie tyle skręciło w zjazd, ile pomału zaczęło wsuwać się w biel.

Hubert Dobrzyń wrzucił jedynkę.

– No to jedziemy.

Gdyby nie Karolek, który przezornie wrzucił obydwie szufle do bagażnika, nie dostaliby się do środka. Nawiany pod drzwi pałacu śnieg zdążył się zbić w zwartą, zmarzniętą zaspę i sięgał aż do klamki.

Przekopali się, nie spoglądając za siebie ani nawet kątem oka nie zerkając w stronę pozostałych budynków. Świadomość, jakie widma

przeszłości kryły się pośród zrujnowanych zabudowań gospodarczych w pobliżu pałacu, wystarczyła im aż nadto.

W sieni poczuli się odrobinę bezpieczniej, choć raczej nieprzesadnie. Głucha cisza, która panowała wewnątrz budynku, nie wpływała najlepiej na ich pewność siebie.

– No dobrze. – Matylda Bolesna stuknęła laską o jeden czarny kafel, potem drugi, dla odmiany biały, upewniając się, czy można im ufać, czy też kryją jakieś potencjalne przykrości. – Czego powinniśmy się tu spodziewać?

Dobrzyń ściągnął czapkę i przejechał dłonią po włosach.

– Gruz już podobno uprzątnięto, więc przede wszystkim pyłu i kurzu, ale...

– Pytam o tak zwane duchy, panie Hubercie – uściśliła sucho, po czym obróciła się tak, by spojrzeć mu w twarz. – Bo chyba wpadł już pan na tę myśl, że opowieści, które snuł pański ojciec, nie były całkowicie wyssane z palca, prawda?

Hubert Dobrzyń, człowiek zarówno z natury, jak i wykształcenia precyzyjny i racjonalny, skulił się odruchowo pod kąpiącym spojrzeniem żółtych oczu. Wziął bardzo głęboki wdech.

– Właśnie się z nią oswajam – przyznał wreszcie.

– Proponuję nieco przyspieszyć ten proces. A zatem. – Kolejne stuknięcie, tym razem dobitne, na znak, że wszyscy powinni się niezwłocznie ogarnąć i skupić, o ile nie chcą tu utknąć na dłużej. – A że *fructibus eorum cognoscetis eos*, co zwykle się tłumaczyło jako „po owocach ich poznać”, bierzmy się zatem do dzieła. Co kryją zabudowania gospodarcze, to już wiemy, *Zentralkrankrevier*. A sam pałac?

– Otrutych inżynierów?... – podsunął Karolek z cichą nadzieją, że w końcu dowie się czegoś więcej. Niestety, była to nadzieja płonna.

– Tak, tak, na pewno nie zapomnimy o inżynierach – zbył go Hubert. – Co jeszcze, co jeszcze... – mrucał pod nosem, podrzucając w dłoni klucze. – Trochę tego będzie, chociażby duch Rothenbacha, Biała Dama, zaginiony Paul Engels. Myśli pani, że...?

– Myślę – przytaknęła krótko. Omiotła wzrokiem strop ponad ich głowami, jak gdyby wciąż wychwytywała echo dawno przebrzmiałych kroków, dobiegające z wyższych kondygnacji. Zmrużyła powieki. – Tak. Myślę, że naprawdę ich tu widywano. Nie były to jednak duchy w powszechnym tego słowa rozumieniu, zdradzającym kompletny brak

zrozumienia ich natury, ale widma, które z jakiegoś powodu wypłynęły na powierzchnię czasu. Tu się coś stało, coś, co uruchomiło tę anomalię. Tąpnięcie, tak to odebrałaś, prawda? – zwróciła się do Eleonory, ta zaś skinęła głową. – Co daje nam pierwszą kwestię do zgłębienia. Następnie kwestia druga. Ciągle mnie to zastanawia, panie Hubercie... Skąd kilka lat po wojnie siedemnastolatek wziął srebrną łyżeczkę?

– Pamiątka z rodzinnego domu? – podsunęła Eleonora, zerkając na Dobrzyń. – Twój dziadkowie byli zamożni?

– A gdzie tam. – Machnął ręką. – Biedy może nie klepali, ale srebrnych sztucców żadne z nich nigdy na oczy nie widziało.

– Skąd zatem Jerzy wziął tę łyżeczkę? – dociekała pani Matylda. – Ukradł? Dostał? Znalazł? Nigdy to pana nie zastanawiało?

– Prawdę mówiąc, nie. Ojciec wspominał jedynie, że Jurek gdzieś ją znalazł. Gdzieś w pałacu. Akurat o ten szczegół nigdy nie wypytywałem...

– Czyżby ukryty skarb? – Karolek aż gwizdnął przeciągle. – Czy ten pałac był może na liście Grundmanna?

Gerd, przeciągając dłonią po twarzy, wydał z siebie zduszony jęk.

– Na moje szczęście nie...

– Szczęście? Czemu szczęście? – Dobrzyń popatrzył na zegarmistrza pytająco.

– Bo wciąż mam zgageę po poprzednim skarbie tego jegomościa.

– Jak my wszyscy, panie Falk, lecz *qui rogat, non errat* – podsumowała pani Matylda.

– A tak bardziej po ludzku?

– Kto pyta, nie błądzi, czyli koniec języka za przewodnika. Sprawdźmy zatem tę teorię. Czy krążyły jakieś legendy o pałacowych skarbach, panie Hubercie?

– A... a tak, jedna, co najmniej – przypomniał sobie po namyśle. – O skarbie Eriki Böhm. W ogóle o ostatnich przedwojennych właścicielach pałacu mówiono, że ciąży nad nimi klątwa. Nie tak całkiem bezpodstawnie.

Nadstawili uszu. Klątwa to było coś zupełnie nowego.

– W sensie?

– Widzicie, Böhmów było czworo. Czworo rodzeństwa – uściślił Dobrzyń. – Ulrich zginął na froncie w czterdziestym piątym, zaledwie pięćdziesiąt kilometrów stąd, blisko rodzinnego domu. Werner i Erika popełnili samobójstwo, już po wojnie. Najdłużej żył Reinhard, zmarł

dopiero w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, podobno w całkowicie naturalnych okolicznościach. Ale to było potem, wiele lat po skarbie. W... lutym? Tak, chyba w lutym czterdziestego piątego roku Erika Böhm kazała zebrać z całego pałacu wszystkie srebra i porcelanę. Schowano je do trzech skrzyń i zakopano gdzieś na terenie majątku. Nie wiadomo, gdzie dokładnie, a przypominam, że mówimy o czterdziestu hektarach, na takim obszarze przy odrobinie pomyślunku dałoby się ukryć czołg. W maju, kiedy do Jedlinki dotarli już Rosjanie, wszystko zdążyło dobrze zarosnąć trawą. Skarb był bezpieczny.

– Srebra i porcelana? – powtórzyła Eleonora. – Srebrna łyżeczka Jurka!...

– Oraz porcelanowa filiżanka Ramzesa – dodała pani Matylda w zadumie. – Och, nie patrz tak na mnie, dziecko – rzekła, widząc minę dziewczyny. – Wiedziałam, że cię nie uwiódł ani nie zjadł, ale od początku było dla mnie jasne, że Ramzes ma jakiś związek z tą sprawą. Jak zawsze.

– Myślicie, że Jurek znalazł którąś skrzynię tych całych Böhmów? – zapytał Karolek.

– Wykluczone. – Dobrzyń nie miał co do tego wątpliwości. – Trudno by mu było ukryć takie znalezisko, zwłaszcza w domu dziecka. Jedną łyżeczkę, owszem. Całą skrzynię? Na dodatek zakopaną głęboko pod ziemią? Nie. Ktoś by coś zwęszył. A dzieciaki to już na pewno. Zresztą, ustawmy może szybko właściwą perspektywę. Czterdziesty dziewiąty rok, trauma, bieda, choroby, zniszczenia wojenne. I zgraja sierot na kompletnym zadupiu. Dla nich prawdziwym skarbem byłby bochenek chleba, którym nie musieliby się dzielić w dziesiątkę, a nie plik listów i zdjęć, ślubna obrączka czy nawet łyżeczka z jakiegoś zdekompletowanego serwisu.

– Ale może właśnie o to chodzi? – wtrąciła Dżusi. – Może Jurek znalazł skrzynię, ktoś się o tym dowiedział i postanowił zagarnąć cały skarb dla siebie, a chłopaka uciszyć?

Umilkli i tylko patrzyli po sobie, rozważając tę opcję. Brzmiała tak prawdopodobnie, tak racjonalnie, tak... kusząco.

Obejrzelili się na panią Matyldę. Dawna mojra przechadzała się niespiesznie po sieni.

– Co jeszcze? – zwróciła się do Dobrznia, nie odwracając głowy. – Co jeszcze nawiedzało ten pałac, majątek? Okolice?

– Duch Charlotty, Werwolf, strzygów, duch pani Kristerowej...

Dobrzyń aż podskoczył, jak gdyby wrzask, który nagle podniósł się w pałacowej sieni, mógł naprawdę zbudzić co najmniej połowę wymienionych przez niego widm – i tych czysto legendarnych, i tych bardziej historycznych. Jednocześnie młodzi ludzie opadli go zewsząd jak ćmy, przekrzykując się nawzajem.

– Strzygów?!

– O szlag, o szlag, o szlag!...

– Ale prawdziwy?

– Jaki znowu strzygów, do cholery?!

Mężczyzna, początkowo spłoszony ich reakcją, teraz się zachnął.

– Och, miejscowi tak straszili dzieciaki, żeby nie chodziły do lasów. Wtedy w lasach... No, wiadomo, jak to po wojnie. Tyle że tu, w Górach Sowich, było jeszcze Riese. To, co nad ziemią, i to, co pod ziemią, czyli jaskinie, kopalnie, sztolnie, bunkry, kilometry korytarzy, a w nich zawały skalne, te naturalne i te po odstrzałach. Miny, niewypały, ukrywający się rzekomo żołnierze Wehrmachtu, Werwolfu... Choć w sumie te kilometry korytarzy wystarczyłyby w zupełności. Łatwo wejść, ale wyjść już niekoniecznie.

– Pułapka na pułapce.

– A wizja ukrytych skarbów kusiała potężnie, przy czym tym skarbem nie musiało być wcale złoto – podkreślił Dobrzyń. – Zresztą nie tylko miejscowi próbowali tam buszować. Władze też, a dokładnie Urząd Likwidacyjny Ministerstwa Odbudowy. Zabezpieczali całe mienie ruchome, jakie zostało po Niemcach w Górach Sowich – porzucone maszyny, surowce, broń, zapasy żywności, nawet kable.

Dżusi uniosła brew.

– Pan jest chodzącą encyklopedią tak ogółem czy trzyma się pan tej jednej specjalizacji?

– Obawiam się, pani Justyno, że wykazuję skłonność do kumulowania danych – przyznał otwarcie Dobrzyń. – W mojej pracy to się bardzo przydaje, za to w życiu... Cóż. Proszę mi wierzyć, nie chce pani ze mną rozmawiać o bluesie.

– Pełna zgoda, nie chcę.

– No... dobrze, wracając do tematu. W czterdziestym siódmym zaczęto też usuwać wszelkie ślady po obozach koncentracyjnych i masowych grobach. Ogólnie rzecz biorąc, to nie był bezpieczny region dla nikogo,

a już w szczególności dla dzieci. A takich legend o strzygoniach czy wampirach krążyło po Sudetach sporo, i to od dawna.

– Brodka Duchaczowa, wampir z Bolkowa, grabarz z Głuszycy, wampir z Reimswaldau... – wymieniła pani Matyllda, kiwając głową. – Istotnie, wydaje się, że w tych stronach obrodziło w podobne stworzenia.

Dobrzyń przytaknął.

– Podobno nawet jednego jaśnie pana z Książa posądzano o krwiopijstwo wykraczające dalece poza arystokratyczne standardy. Dlatego miejscowi nie straszili swoich dzieci sztolniami czy bunkrami, ponieważ to mogło dać dokładnie odwrotny skutek i skończyć się bardzo źle, tylko tradycyjnie – strzygoniem grasującym w lasach. Zamiast: „nie chodź do lasu szukać poniemieckich skarbów, bo się zgubisz pod ziemią”, przekaz prosty i plastyczny: „nie chodź do lasu, bo cię strzygoń zje”.

– Czyli znów wracamy do Ramzesa. – Dżusi przewróciła oczami. – Dlaczego nie jestem zdziwiona?

– Chciałabyś, co? – Gerd rzucił jej krzywy uśmiech. – Nie, to nie mógł być Ramzes.

– Bo?

– Bo strzygonie są terytorialne. Prawda, pani Matylldo? A leżem i terytorium Ramzesa jest Wrocław.

– Może przyjeżdżał tu... no wiecie? – Karolek przełknął ślinę. – Coś przekąsić?...

– Przepraszam – wtrącił Dobrzyń, nieco zmieszany – bo trochę nie jestem w temacie tego całego Ramzesa. Czy ja dobrze rozumiem, że mówimy o...? – Jego wzrok zatrzymał się na Gerdzie.

– Strzygoniu. Lub wampirze, jeśli wolisz. No i psychopompie, ostatnim, co tak poloneza wodził, co bywa dość przydatne, kiedy utkniesz w czasie i zaczynasz tonąć, a ten skurczybyk raczy się zainteresować.

– Tak, strzygonie są terytorialne – powtórzyła pani Matyllda odbite echo własnych słów. – Ale Ramzesa obudziło dopiero Festung Breslau. A i to nie od razu. Wcześniej przez kilkadziesiąt lat... spał czy hibernował, nie wiem, jak to nazwać. Dopiero krew całego miasta nasyciła go na tyle, że się przebudził.

– Czyli że co? Nie mogło go tu być podczas wojny? Ani trochę? – Dżusi nie kryła rozczarowania.

– Toż właśnie tłumaczę ci, dziecko, jak krowie na miedzy, że nie! Poza tym Ramzes nie żerowałby ani na dzieciach, ani na więźniach obozów

koncentracyjnych.

– Bo to nieładnie? – prychnęła szyderczo Dżusi, na co pani Matylda odparowała twardo:

– Bo to bez sensu. A Ramzes, cokolwiek by o nim mówić, jest logiczny i efektywny. Jakkolwiek okrutnie to zabrzmiało, woli żerować na kimś, kto... – westchnęła ciężko, zanim dokończyła – kto ma więcej wartości odżywczych.

Dobrzyń przestąpił z nogi na nogę.

– Jest pani dość dobrze zaznajomiona z jego... zwyczajami żywieniowymi – zauważył.

– Raz w życiu widziałam, jak strzygoń żeruje. Miałam miejsce w pierwszym rzędzie, nic mi nie umknęło. – Lekki grymas na moment ściągnął jej twarz, zdradzając wysiłek, z jakim odsuwała od siebie tamto wspomnienie. – Proszę mi wierzyć, panie Hubercie, gdyby to Ramzes przyjechał tu w czterdziestym dziewiątym na żer, nie skończyłoby się na jednym dziecku.

– No dobrze. – Zegarmistrz przerwał milczenie, które zapadło po słowach emerytowanej łacinniczki. – To co teraz?

– *A verbis ad verbera*. Czyli koniec gadki szmatki, pora przejść do czynów.

– Przeprowadzamy się i zaczynamy szukać chłopaka?

– Nie. Ja z Eleonorą i panem Dobrzyńem idziemy się rozejrzeć. A w tym czasie wy – machnęła laską w stronę Dżusi, Karolka i Gerda – bierzecie się do sprzątnięcia.

– Co?

– Eeej!

– Ale czemu?!

– Bo daliśmy słowo i musimy go dotrzymać. Samo się nie posprząta.

– Ale czemu właśnie my?! – zaperzyła się Dżusi, przechodząc gładko z normalnego tonu w napastliwy jazgot, w sam raz pod wściekłą czerwień kurtki.

Na pani Matyldzie nie zrobiło to jednak większego wrażenia. Otaksowawszy z góry jasnowłosą dziewczynę, podsumowała, krótko i bezlitośnie:

– Psychopomp, mojra, pasjonat tematu. Silni, młodzi ludzie. Do roboty.

– Ale ja...

– Tak, dziecko? – podchwyciła z troską, od której Dżusi aż skreśliło w środku. Wet za wet, szydziły żółte oczy. Wet za wet. – Tak?

– NIC.

– Ach... No cóż począć, cóż począć. Trzeba było zostać, jak radziła życzliwie pewna starsza pani. No. Wy do roboty – powtórzyła – a ty, dziecko, pokaż mi to okno, o którym była mowa – poleciła Eleonorze.

Wciąż razem weszli szerokimi, podniszczonymi schodami na pierwsze piętro i przystanęli na klatce schodowej. Wstępu na wyższą kondygnację broniła tabliczka z napisem „Teren prywatny”.

– *Sic transit gloria mundi...* – westchnęła pani Matylda, wodząc wzrokiem po klatce i pomieszczeniu obok.

Istotnie, chwała tego skrawka świata przeminęła bezpowrotnie. Ze ścian całymi płatami łuszczyła się wyblakła farba. Żółć i zieleń przywodziły na myśl raczej zaniedbany szpital u progu ruiny i zbiorowego zakażenia dowolną bakterią niż szacowne pałacowe wnętrza, podobnie zresztą jak odcień, którym potraktowano drewniane przepierzenia przylegające do schodów, kojarzyć się mógł wyłącznie z gwałtownym atakiem dyspepsji. Wykładzina pod ich stopami osłaniała zdewastowany parkiet bądź też, jak przypuszczali, owego parkietu zupełny brak. Jednakże jasny kasetonowy sufit oraz drzwi po lewej, z zadbanego ciemnego drewna, dawały nadzieję, że czyjeś życzliwe ręce mozolnie pracują nad przywróceniem temu miejscu dawnego blasku, kawałek po kawałku.

Rozdzielili się po szybkiej naradzie. Oddelegowani do sprzątnięcia młodzi ludzie ruszyli na poszukiwania pomieszczeń, które wymagały ich interwencji, podczas gdy Eleonora poprowadziła swoją część wycieczki dalej, przez dawne dziecięce sypialnie. Stąpali ostrożnie, wypatrując pośród muzealnych eksponatów jakichkolwiek oznak anomalii czasowej. Kilka razy drgnęli, gdy światło splątało im figła, tańcząc na powierzchni gabloty czy kafłowego pieca albo wprawiając w ruch wymyślny ornament na tapecie.

– Tam – rzekła krótko Eleonora, wskazując następne drzwi.

Z pozorów niczym nie różniły się od poprzednich, a jednak bezwiednie zatrzymali się przed nimi w milczeniu. Z oddali, zza ścian i przestrzeni, dobiegały ich stukoty i podniesione głosy – ekipa sprzątająca albo wzięła się rażno do dzieła, albo prowadziła zażarty spór kompetencyjny. Biorąc

pod uwagę obecność Dżusi i Gerda w tym samym pomieszczeniu, bardziej prawdopodobna wydawała się ta druga opcja.

Pani Matyllda upewniła się, że dębowa laska pewnie spoczywa w jej dłoni, i nacisnąwszy klamkę, pchnęła ciężkie skrzydło.

Za progiem rozciągał się inny czas.

Ciepło. Blask. Życie.

Oślepiające sierpniowe słońce wlewało się do środka i kaskadami spływało na podłogę, na rozstawione równiutko łóżka i dwie nieruchome postacie – kobietą na krześle i drobniejszą, która leżała w rozkopanej, przepoconej pościeli. Opiekunka najwyraźniej przysnęła, z głową zwieszoną nad robótką. Dziecko oddychało płytko, pospiesznie. Po jego mokrym czole przechadzała się duża, tłusta mucha. Wszystkie okna w sali były szeroko otwarte, żeby wpuścić do środka jak najwięcej podmuchów świeżego, ożywczego powietrza. Powietrze jednak zastygło, jakby i jemu dał się we znaki ten nieziemski upał.

A może wcale nie dlatego?

Pani Matyllda wyprostowała się gwałtownie, jednocześnie wciągając powietrze przez rozchylone usta. Stojąca tuż za nią Eleonora zrobiła dokładnie to samo. Usłyszały głos – niski, miękki, leniwy, głos tak znajomy, który potrafił brzmieć niczym najrozkoszniejsza pieszczota, choćby szeptał do ucha najstraszliwsze groźby.

Pomału, z sercem dudniącym coraz szybciej, coraz mocniej, coraz boleśniej, pani Matyllda przemierzyła zgęstniały czas i podeszła do okna.

Wtedy

W dole, na zdziczałym trawniku, w jedynym skrawku cienia, jaki ostał się po tej stronie budynku, przystanęli dwaj mężczyźni. Pierwszy, wyraźnie niższy i tęższy, skapitulował w nierównej walce z upałem. Był bez marynarki i krawata, rękawy białej koszuli podwinął pod same łokcie, a jej guziki rozpiął tak, że spod spodu wyzierał skraj podkoszulka.

– Ona tu jest, rozumiesz? Rozumiesz? – terkotał gorączkowo. Niemiec. Niemiec, na dodatek stąd, z Dolnego Śląska czy raczej, jak sam by to ujął, z Niederschlesien.

Rozpoznała od razu, ta melodia, ten akcent... Od pięćdziesięciu lat nie słyszała nikogo, kto mówiłby po niemiecku tak jak ten człowiek.

Wyciągnąwszy z kieszeni chusteczkę, mężczyzna zdjął kapelusz i otarł mokre od potu czoło. Nawet z wysokości pierwszego piętra dało się dostrzec, jak bardzo drżała mu dłoń. Matylda Bolesna zdążyła się całkiem nieźle przyjrzeć okularom w okrągłych oprawkach i pożyczce, mocno przerzedzonej, a mimo to zaczesanej starannie na bok. Zaraz potem kapelusz na powrót przesłonił jej widok.

– Ona wciąż tu jest, tu, właśnie tu! A teraz ten chłopiec... Nie zabili jej, *Guter Gott*, nie zabili!...

– Oczywiście, że nie.

W przeciwieństwie do spoconego, wymiętoszonego towarzysza drugi mężczyzna zdawał się nie zauważać ani panującego wokół skwaru, ani nerwowej atmosfery. Wprost przeciwnie. Mimo szczupłej postury to on zdawał się przytłaczać otoczenie. Lekko przekrzywiona panama kryła jego twarz w głębokim cieniu. Materiał letniego garnituru układał się na ramionach niczym druga skóra. Matylda uśmiechnęła się mimowolnie. Nawet w czasach powojennych deficytów Ramzes zawsze umiał znaleźć sobie dobrego krawca...

– Nie mieli pojęcia, co zbudzili – ciągnął spokojnie antykwariusz, jak gdyby rozmawiali o pogodzie – więc jak niby mieli ją zabić? Dopilnowali tylko, żeby się obzarała i spała jak najdłużej. A sami uciekli.

– Znów podnosi łeb. Czujesz? Będzie szukała żeru i go znajdzie, bo te tunele... te tunele sięgają wszędzie. Boże, ten chłopiec... te dzieci...

musimy ratować dzieci!

– Zajmę się tym. Bez obaw.

– A chłopiec? – Niemiec nie przestawał dopytywać. – Ten... Georg? Co z nim?

Cisza.

– Nic. Już nic.

Matylda miała wrażenie, że tym jednym słowem na moment odebrał jej dech, zacisnął w garści serce, nie dając mu bić swobodnie. Ramzes wiedział. Wiedział, co się stało z Jerzym Dobrzyniem, Jurkiem, Juruśkiem. I wiedział też, że było już za późno, by ruszyć mu z pomocą.

– Boże. Boże. Dobry Boże...

Najwyraźniej mężczyzna w białej koszuli również to pojął, bo teraz trząsał się już cały. Przyciskając drżącą dłoń do ust, rozglądał się na wszystkie strony, jak gdyby szukał ratunku. Naraz rzucił się do Ramzesa i chwycił go kurczowo za przedramię.

– Pozwól mi wyjechać – wyszeptał błagalnym tonem. – Pokazałem im już prawie wszystko, co mogłem. Reszta jest bezpieczna, przysięgam, przysięgam! Nie znajdą wejścia, nigdy tam nie dotrą!...

– Nie.

– Przecież nie możesz mnie tu wiecznie trzymać jak... jak...

Wolną ręką Ramzes niespiesznie ujął mężczyznę za nadgarstek.

– Oczywiście, że mogę.

Mężczyzna puścił, przymuszony siłą czy to uścisku długich, smukłych palców, czy też głosu, który nie przestawał płynąć, szemrzący niczym strumień i niczym strumień zdradliwy. Włosy na karku stanęły Matyldzie dęba.

– Zostaniesz tu jeszcze, Antonie. Ożenisz się z jakąś śliczną Polką, której aż tak nie przeszkadza, że jesteś Niemcem. Co powiesz na pielęgniarkę? Pielęgniarka doceniłaby twoje szlachetne pobudki. Może by ją... poruszyły.

– Nie, nie, nie... Błagam, powiedziałem im wszystko, co wiedziałem, co mi kazałeś powiedzieć...

– Wciąż wiesz to, czego oni nigdy wiedzieć nie mogą. Dlatego zostaniesz. Zostaniesz w moich górach, Antonie. Będiesz przykładnym obywatelem Rzeczypospolitej Polskiej. Wzorowym pracownikiem. Szanowanym fachowcem. Wiernym mężem miłej, polskiej żony.

Przekonasz wszystkich, władze, małżonkę, Werwolf, że można ci ufać. I będziesz dalej pilnował.

Palce strzygonia zacisnęły się jeszcze mocniej na nadgarstku Antona. Ten krzyknął cicho, żałościwie, nogi się pod nim ugięły.

– Bo jeśli jej nie przypilnujesz – mówił Ramzes, centymetr za centymetrem przyciągając mężczyznę do siebie, prosto w swe objęcia – jeśli nie wezwiesz mnie, gdy znów zaczniesz węszyć, a zaczniesz... to wtedy ja, Antonie... Cóż. Wtedy ja pokażę ci, że istnieje coś gorszego niż ćma.

I nagle puścił mężczyznę, aż ten zachwiał się i upadł na trawnik. Wystudiowanym gestem Ramzes zdjął panamę z głowy i obróciwszy się, podniósł wzrok do okna na pierwszym piętrze.

Obwódki wokół jego źrenic rozblęły złotem na tle zielonych tęczówek.
– Nieładnie tak podsłuchiwać, Matyldo.

Teraz

– Titku? Titku, co ty robisz?...

– Wypatruję – odparła Dżusi tonem sugerującym, żeby nie wnikał, i jeszcze mocniej przycisnęła policzek do lustra.

Zafrasowany Karolek przytulił kij od mopa do piersi i dla własnego bezpieczeństwa nieco zamknął się w sobie. Gerd nie wykazywał podobnych odruchów, raczej te wprost przeciwne. Splótł ręce na piersi.

– Czego dokładnie? – zapytał ze sceptycyzmem wołami wypisanym na twarzy. – Ducha dawno minionych przyszczy? Ty wiesz, jaki syf jest na tym lustrze? I tym? – Wskazał lustro obok, oznaczone lepką plamą sebum i podkładu do cery mieszanej, odcień naturalny beż. – I tym? I tamtym? – Przebiegł prędko wzrokiem od lustra do lustra, licząc, do ilu z nich zdążyła przytulić się Dżusi. – Nie no, ja pier...!

– TITKU!... – Karolek zaprotestował odruchowo, po czym zreflektował się, że coś mu się tu nie do końca zgadza. Odchrząknął. – Znaczy... no.

– Okej. To może inaczej – zaczął zegarmistrz, starając się nie zgrzytać za bardzo zębami. – Abstrahując od faktu, że jaśnie Titek właśnie dokłada jednemu z nas roboty, bo sama nawet z drabiny tych lusterek nie ogarnie, oraz faktu, że właśnie lepi się facjatą do zabytku, czego się tak jakby w muzeach nie zaleca, by nie rzec – odradza, to... wy kojarzycie, skąd się biorą te kropeczki na lustrach, prawda? Kojarzycie, że to nie są wcale ślady tych muszych stópek, umorusanych błotkiem, tylko tych muszych odwłoczków? Tyłeczków? Dupek? Odbycików?

– To dlatego się mówi, że srali muchy, będzie wiosna? – Karolek skojarzył wreszcie ku nieskrywanej satysfakcji Gerda.

– No marchew dla bohatera. A teraz weź się przebij z konceptem do jaśnie Titka, zanim mnie tu szlag jasny trafi.

Tymczasem Dżusi, stukając obcasami zimowych botków, aż echo szło po sali, truchtem dopadła do kolejnego lustra, po czym przywarła do niego niczym przerośnięty glonojad.

– Titku, może ty się lepiej odlep?... – zasugerował delikatnie jej narzeczony.

– Sam się odlep – odburknęła, zezując nieustannie. Wtem serce aż zatrzepotało jej w piersi. Wstrzymała oddech i wytrzeszczyła oczy jeszcze

bardziej, jednocześnie intensyfikując zeza, jak gdyby usiłowała rzucić wyzwanie ludzkiej anatomii, która stała na drodze między nią a odkryciem. – Jest!... – szepnęła.

– Co takiego?

– Duch! Jest!

Nie odrywając policzka od tafli, zamachała na chłopaków, żeby czym prędzej podeszli. Dołączyli do niej bez zastanowienia.

Od ich strony nie było widać niczego niezwykłego, żadnych śladów anomalii, wyłącznie ślady remontu – głównie warstwa kurzu i pyłu, której nie zdążono sprzątnąć po niedawnym pracach, a w niej odbite ślady podeszew różnych wzorów i rozmiarów. Lecz gdy całą trójką przycisnęli policzki do lustra i spojrzeli w bok, jak najdalej, jak najbardziej w głąb odbitego obrazu...

– Ja pierdolę... – sapnął Gerd.

– Tit... no!

– Wybacz, skarbenku. Zaiste, sroga to niespodzianka, milordzie. Lepiej?

– Lepiej – zgodził się ochoczo Karolek. – Nie rozumiem, czemu wy musicie tak strasznie kłąć.

– A wiesz, teorie na ten temat są różne...

Dzusi nie przysłuchiwała się konwersacji, która rozgorzała tuż nad jej głową. Całą uwagę skupiała na postaci po drugiej stronie lustra.

Po drugiej stronie czasu.

To musiała być ta sama dziewczyna, o której mówiła Eleonora. Strój się zgadzał – ciemna, prosta suknia, na to fartuch, na głowie czepek. Siedziała teraz na podłodze pod ścianą, rękoma obejmując kolana, z głową pochyloną tak, że nie było widać jej twarzy. Co rusz wstrząsał nią dreszcz. Płakała, uświadomiła sobie Dzusi, lecz już nie z rozpaczą, wykrzykiwaną prosto w twarz całemu światu, rozpaczą, od której tąpnął czas. Jak gdyby ten cichy, bezsilny szloch był ostatnim, na co mogła się zdobyć.

Naraz Dzusi odsunęła się od lustra i bez słowa pospieszyła w stronę drzwi.

– A ty dokąd? – zawołał za nią Karolek.

– Zaraz wracam, tylko... tylko poprawię makijaż!

Niestety, aluzja nawet nie musnęła celu. A trzeba było jak cepem, westchnęła zaraz w duchu, bo sądząc po efektach dźwiękowych, Karolek już cisnął mopa i pędził jej śladem.

– Czekaj, pójdziemy z tobą!

– Mów za siebie, ja załapałem przekaz...

– Zbytek łaski! – odwarknęła Dżusi. Zamiast się na nich obejrzeć, jeszcze bardziej przyspieszyła kroku.

– Ależ Titku, tu się dzieją anomalie, nie powinniśmy się rozdzielać!

Dziewczyna okręciła się w pół kroku jak fryga i rzuciła narzeczonemu spojrzenie, które nie pozostawiało najmniejszych złudzeń. Każdy upiór, niemiecki czy też nie, który w ciągu następnego kwadransa nieopatrznie wypłynie w pałacowym wychodku, będzie miał przesrane po tej i po tamtej stronie wieczności.

Zanim odnalazła w labiryncie pałacowych pomieszczeń łazienkę dla pracowników muzeum, klęła pod nosem już bez mała jak szewc, który zawsze chciał zostać marynarzem, chciał mieć tatuaże. Cholerne ciężowe hormony... Gdyby mogła, najchętniej wyrwałaby sobie pęcherz. Najlepiej razem z mózgiem, o. Przez ten przekłęty duet za dnia nie mogła zebrać myśli i wybuchała z byle powodu, jakby jej zdurniał sejsmograf, reagując erupcją od byle pierdnięcia. W nocy natomiast, zamiast spać jak człowiek, raz po raz latała do łazienki, co też nie pomagało potem na koncentrację i te... no, takie tam... ech. A jakby tego było mało, przez całą dobę non stop miała zgagę. ZGAGĘ.

Od powrotu na pierwsze piętro dzieliły ją zaledwie dwa stopnie, kiedy zatrzymała się, a potem opadła ciężko na schodek. Chyba po raz pierwszy żałowała, że nie zdążyła dłużej pogadać z ciotką, bo za tamtymi słowami, wyrzuconymi pospiesznie w samochodzie, kryła się cała historia. A Dżusi chyba nie umiała jej udźwignąć. No bo jak? Dotychczas z trzech Sternówien to ona była tą odważną. Tą zadziorną. Wyrwała się z mieszkania na Lompy i zaczęła żyć – może na wariackich papierach, może byle jak, bez żadnego celu, który wykraczałby poza tu i teraz, ewentualnie pojutrze, ale zawsze po swojemu. Tak po prawdzie pierwszą i jedyną stałą w tym nowym życiu po życiu na Lompy był Karolek. Nie licząc związku z nim, nie trzymała się kurczowo żadnej wizji czy kierunku i nie wahała się zboczyć z obranej trasy, ilekroć wyszło jej, że to jednak nie to, że nie tego szukała. Robiła wszystko i nic, wszędzie i nigdzie, co z boku mogło sprawiać wrażenie chaosu, dla niej jednak było żywiołem, który tchnął w nią ożywczego ducha, wypierając zalatujący trupem odór przeszłości.

Aż nagle ta przeszłość pokazała się z zupełnie innej strony, a Dżusi odkryła, że to nie ona w tej porąbanej, masowo strauumatyzowanej rodzinie posiada wyłączność na przygody, od których głowa mała, tylko jej starsza siostra, sztywna niczym kolonijny wieczorek zapoznawczy, wespół z despotyczną ciotką. Chociaż to ona, Dżusi Stern we własnej osobie, miała wszelkie ku temu narzędzia, kursy i kompetencje, a co dopiero mówić o odpowiednim charakterze!

Przez ostatnie pół roku mozolnie mierzyła się z wizją swej normalności, przeciętności, od której aż ją skręcało, i już, już prawie zdołała się z nią pogodzić, już prawie ją oswoiła, kiedy los postanowił splatać jej ostatniego figla. Wszystko przez jednego żwawego jegomościa długości – specjalnie to sprawdziła – całych sześćdziesięciu mikrometrów, którego jej zdradziecki organizm postanowił przygarnąć wbrew cudowi antykoncepcji i ugościć na dłużej. Dużo, dużo dłużej...

„Jak, do cholery”, myślała zatem, siedząc na schodach porcelanowego pałacu i zachodząc w głowę, czy bardziej chce jej się płakać, czy krzyczeć, czy jednak znowu sikać, bo kolejna fala moczu radośnie wzbierała w jej pęcherzu. „Jak to się, do ciężkiej, pstrokatej cholery stało, że moja poukładana według linijki siostra, która nigdy nawet nie przeszła na czerwonym świetle, bo to nieładnie, nagle rzuciła robotę w przytulnej bibliotece i wyniosła się do Padlinki czy jak to się nazywa, żeby niczym jakaś Lara Croft, tyle że bez cycków, giwery i cycków, ganiać tropem tajemnic po podziemnych nazistowskich kompleksach z czasów drugiej wojny światowej, a mnie czeka co najwyżej szal polowania na pampersy w promocji?...”.

Niski, przeciągły jęk sam wyrwał jej się ze spętanej zimową kurtką piersi. No jak, jak to się mogło stać?...

Dobiegły ją stłumione odgłosy rozmów, toczonych w głębi pałacowych pomieszczeń. Dość tego angstowania, skarciła się Dżusi. Czekali na nią, i żywi, i umarli. Podźwignęła się, acz niechętnie, i pokonawszy ostatnie dwa stopnie, stanęła na podeście. Zakłęła, czując watę w głowie i ołów w nogach. Palce jej dłoni same zacisnęły się i rozprostowały z tęsknoty za czymś kruchym, czym dałoby się cisnąć, cisnąć z całych sił, żeby huknęło, trzasnęło, brzęknęło, rozsypało się na setki kawałeczków...

– Może jednak nie w muzeum – napomniała się, acz nie bez żalu.

Wówczas jej wzrok padł na zieloną tabliczkę, która broniła wstępu na ostatnie piętro budynku. „Teren prywatny”, przeczytała napis. Wtedy coś

w niej drgnęło, jakby ostatni paroksyzm wrodzonej przekory, tłamszonej od tak dawna, że już prawie zapomniała, co się z nią robi. W sumie nie zamierzała tam oprowadzać wycieczek, prawda?

„Jejku, ile emocji – sarknęła w duchu, gdy minąwszy tabliczkę, zaczęła się wspinać dalej schodami. – No po prostu... jejku”.

Miała wrażenie, że im wyżej wędrowała, tym bardziej wszystko wokół niej trzeszczało. Złowieszczo, złowrogo wręcz. Jak gdyby budynek całym sobą dawał znać, że powinna zawrócić, tak jak nakazywała tabliczka i jak nakazywał surowy głos pani Matyldy, który rozbrzmiewał echem w jej głowie. A im głośniejszy, im dobitniejszy do niej przemawiał, tym bardziej Dżusi parła na górę, stopień po stopniu, chociaż serce szaleńczo trzepotało jej w piersi, a w ustach czuła dziwną suchość. „Rzeczywiście, dziwną jak cholera – zganiła się w myślach. – Zwłaszcza jak się idzie z rozdziawioną gębą. Weź się ogarnij, kobieto”.

Dotarła na strych, zatopiony w ciemności i zapomnieniu.

Dżusi uspokoiła oddech, po czym sięgnęła do workowatej torebki, która obijała jej się o biodro, i wygrzebała z niej kieszonkową latarkę. Plama światła rozbłysła, ukazując jej oczom fragment ceglanej ściany i drewniany strop. Nosił wyraźne ślady osmalenia.

Zerkając to w prawo, to w lewo, Dżusi ostrożnie przemierzała pomieszczenie, dość wysokie, przestronne i opustoszałe. Każdy jej krok wzbijał w mroźne powietrze drobiny kurzu. Pochyliła się, żeby przejść pod belką stropową, gdy naraz metr czy dwa przed nią coś błysnęło.

Oczy?...

Zdjęta lodowatym strachem Dżusi zastygła w pół skłonu, jeszcze mocniej zaciskając palce na latarce.

Wdech.

Wydech.

Wdech.

Pomału przesunęła dłoń nieco w prawo.

Przed nią, tuż nad podłogą, znajdowało się niewielkie okno. Blask latarki odbił się od szyby, za którą panował nieprzejrzały mrok.

Ale... Przecież na zewnątrz wciąż powinien być dzień. Dzień, mimo opadów śniegu tak jasny, że podczas jazdy z pensjonatu do pałacu Dżusi w pewnym momencie musiała założyć okulary przeciwsłoneczne, bo oślepiła ją wszechobecna biel. Więc dlaczego... dlaczego?...

Pytanie wirowało w jej głowie, tłukło się, szamotało, chociaż wcale nie chciała poznać odpowiedzi, nie chciała wiedzieć, nie, nie, nie.

Lecz odpowiedź i tak przyszła wraz z cichym, przeciągłym dźwiękiem, który rozszedł się po strychu.

Trzeszczeniem. Szurgotem. Rzężeniem.

Dżusi przestała oddychać. Zamiast tego zaczęła drzeć.

Wdech.

Wdech.

Wdech, do cholery, wdech!

Prawie zachłysnęła się powietrzem i kurzem, łzy napłynęły jej do oczu. Przyciągnęła rękę z latarką do siebie, jak najbliżej. Pomału, tak by żadna z desek podłogi nie jęknęła pod jej ciężarem, wysunęła się spod belki stropowej i stanęła prosto.

Szuranie powtórzyło się, a zaraz po nim trzeszczenie ni to drewna, ni to czegoś... czegoś innego. Tylko czego? Kolejne pytanie – i kolejna odpowiedź, równie niechciana, co natarczywa.

Na mgnienie oka przed tym, jak światło kieszonkowej latarki w całej krasie ukazało źródło dźwięku, do Dżusi dotarło jeszcze przebłyskiem gdzieś na skraju świadomości, że z całych sił przyciska lewą dłoń do brzucha w tym atawistycznym odruchu, który prędzej czy później zdradza każdą przyszłą matkę, czy tego chce, czy nie. Zwłaszcza gdy nie.

Zawsze była tą zadziorną, tą odważną. A przynajmniej tak lubiła o sobie myśleć. Pewnie dlatego nie odwróciła wzroku.

Najpierw zobaczyła bose stopy, dyndające tuż nad podłogą. Wyżej – gołe, blade łydki z sinymi węzłami żyłaków. Wpierw skraj, a potem fałdy nocnej koszuli, splamionej moczem i krwią.

Szyję przeciętą pętlą z grubego powrozu.

Mięsisty język, który sterczał z rozwartych ust.

I oczy, wychodzące z orbit, przekrwione i udręczone, które wpatrywały się w dziewczynę w czerwonej kurtce, błagając o litość.

Tak. Dżusi Stern zawsze była tą zadziorną, tą odważną, dlatego nawet na moment nie odwróciła wzroku. Lecz nawet ona nie umiała powstrzymać krzyku, który wezbrał w jej krtani.

Krzyczała więc i patrzyła, i krzyczała, krzyczała, a razem z nią krzyczał i on.

Ledwie wyszła w końcu z łazienki i wdrapała się na piętro pensjonatu Kwiaty Polne, do gościnnej kuchni, a żołądek raz jeszcze skręcił jej się w ciasny supeł. Lecz tym razem nie tyle od wybuchowej mieszanki nerwów i hormonów, ile od nadmiaru współczucia, jakie biło od zebranych przy stole ludzi.

Dżusi skrzywiła się i szurnąwszy głośno krzesłem, usiadła i splotła ręce na piersi.

– Dobra, lecimy chronologicznie – odezwała się szorstko. – Co to za rozdarty dziad wisiał na strychu?

Wszystkie spojrzenia powędrowały do Huberta, który stawił się w kuchni z niewielką książką. Wpadające w czerwień liternictwo rzucało się w oczy na tle czarnej okładki, a złamany w wielu miejscach grzbiet oraz doszczętnie wyświechtane rogi dobitnie dowodziły, jak często i intensywnie była czytana i wertowana. Zresztą nie tylko ona jedna – podobnych książek Dobrzyń przywiózł ze sobą kilkanaście, a wraz z nimi trzy teczki pełne map, schematów, szkiców i notatek.

– Zapewne Samuel Rothenbach – odparł i wyłuskawszy właściwą zakładkę, otworzył książkę na odpowiedniej stronie. Mignęły im czarno-białe zdjęcia, wśród których rozpoznali charakterystyczną bryłę porcelanowego pałacu. – Wspominałem wam o nim, to jeden z najbardziej znanych pałacowych duchów. Otóż szanowny pan Rothenbach był tokarzem z Wrocławia. W tysiąc osiemset trzydziestym piątym roku kupił Jedlinkę.

– Tokarza było stać na pałac? – zdziwiła się Dżusi.

– Wygrał spore pieniądze na jakiejś loterii – wyjaśnił.

– Ale to chyba jeszcze nie powód, żeby się od razu wieszać?...

– Och, nie, znalazł sobie inny. Cztery lata później jego żona, pani Rothenbach, oskarżyła jedną ze służących o kradzież. Dziewczyna zaklinała się, że jest niewinna, no, ale nikt jej nie wierzył.

– Klasyka – mruknęła pani Matylda znad filiżanki herbaty. Zmierzyła Dżusi baczny spojrzeniem i niemal parsknęła śmiechem, gdy w odpowiedzi dziewczyna bezczelnie pokazała jej język. Twarda sztuka. Będzie żyć.

– W końcu ojciec służącej, cieśla nazwiskiem Hildebrand, postanowił rozmówić się z jaśnie panem tokarzem i przyszedł do pałacu – ciągnął Dobrzyń z nosem w książce, streszczając im kolejne akapity historycznego wywodu. – Niestety, po drodze wstąpił do browaru po coś na tak zwane

wzmocnienie i w rezultacie jego rozmowa z Rothenbachem przybrała bardzo gwałtowny obrót. Na ścianie wisiała broń myśliwska, Rothenbach za nią złapał, strzelił. Hildebrand zginął. Niewiele brakowało, żeby miejscowi puścili wtedy pałac z dymem. Sam Rothenbach zniknął. Kilka dni później znaleźli go na strychu. Powieszzonego.

– Dziewczyzna z lustra! – zakrzyknęła Eleonora w przypiływie olśnienia.
– Ta suknia, czepek, fartuch... rozpacz... To musiała być służąca. Córka Hildebranda!

– A teraz... – Dobrzyń ponownie zajrzał do książki i naraz się roześmiał, zaskoczony. – O, no proszę. Wiecie, że nigdy wcześniej nie zwróciłem na to uwagi? Taki zbieg okoliczności... Jak myślicie, co rzekomo ukradła córka cieśli Hildebranda? – Zawiesił głos, czekając, aż zgadną lub rzucą w niego czymś ciężkim. Osobiście obstawiał raczej tę drugą opcję, gdyż odkąd wrócili z pałacu, co przy stanie Dżusi okazało się jeszcze większym wyzwaniem, w pensjonacie panowały nastroje bliskie grobowym. Pewnie dlatego wołał nie budować zbyt długo napięcia, tak na wszelki wypadek. – Srebrną łyżeczkę.

Gerd spojrzał na niego sceptycznie.

– Nie za dużo tych znikających łyżeczek? Łyżeczka Rothenbacha, łyżeczka Böhmów, łyżeczka Jurka? Trzy sztuki na jeden pałac?

– Och, zaraz robi się ich mniej – zapewnił Dobrzyń, przebiegając wzrokiem po następnych partiach tekstu. – Słuchajcie. Werner Böhm opowiadał, już po wojnie, że w jednej z tych trzech skrzyń był komplet sztuców. Znaleźli go kiedyś na... o, proszę, kolejny zbieg okoliczności? Znaleźli go na strychu, ale nikt nie miał pojęcia, skąd się tam wziął. To na pewno nie były ich sztuce, nie należały do rodziny Böhmów. Werner zapamiętał coś jeszcze – dodał, doczytawszy kolejny akapit. – Otóż w tamtym komplecie brakowało jednej łyżeczki. Dlaczego, zapytacie?

– Zapytamy?

– Cztery lata temu do Jedlinki przyjechali potomkowie tychże Böhmów. Przywieźli ze sobą kronikę rodzinną, którą podarowali pałacowemu muzeum. Pokazał mi ją ten sąsiad Kasi, który dał nam klucze, Marcin?... Maciek?... A, Michał! Michał, tak. Wedle zapisów w tej kronice Erika i jej bracia byli przekonani, że srebra, które znaleźli wówczas na strychu, to były właśnie srebra Rothenbachów. Co daje nam, drogi Gerdzie, jedną łyżeczkę mniej. Dziękuję.

– Komplet bez łyżeczki, za to z dwoma trupami?

– Unikat – skwitowała Dżusi. – No dobra, czyli kwestię dziada na strychu już sobie wyjaśniliśmy. Teraz drugie odkrycie. – Uśmiechnęła się zjadliwie do zegarmistrza i mojry. – Jestem bardzo ciekawa, jaki kit będziecie nam wciskać tym razem, byle za wszelką cenę wybielić tego łysego gnoja.

– No właśnie. – Karolek wyjątkowo powstrzymał się od titkowania. – Kim był ten mężczyzna w okularach, z którym rozmawiał Ramzes? Pani go zna?

– Zna to za dużo powiedziane – zaczęła Matylda Bolesna ostrożnie. – Spotkałam go zaledwie raz, w Wałbrzychu. Nie zostaliśmy sobie nawet przedstawieni, nie zamieniliśmy więcej niż kurtuazyjne „dzień dobry” i „do widzenia”. Ale wiem, kim był, od Ramzesa. Nazywał się Anton Dalmus.

Dobrzyń wyglądał, jakby ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody. Wpatrywał się w panią Matyldę w osłupieniu zaprawionym czystym podziwem oraz autentyczną zgrozą. Owszem, miał całkowitą świadomość, że świat z książek, którymi się tak zaczytywał, istniał niegdyś naprawdę i na dodatek nie był jedynie utrwaloną na płaskich zdjęciach, pustą scenografią, ale trójwymiarową przestrzenią, którą zapełniali żywi ludzie. Jednak nie licząc własnego ojca, nigdy dotąd nie spotkał nikogo, kto chociaż otarłby się o uczestników albo świadków historycznych wydarzeń sprzed wielu dekad, i potrzebował chwili, żeby się z tą myślą oswoić.

Innymi słowy, dopiero teraz dotarło do niego, że Matylda Bolesna liczy sobie więcej lat, niż dotychczas zakładał.

– Ten... ten... TEN Dalmus?! – zdołał w końcu wykrztusić.

– Nie inaczej.

Czworo młodych ludzi przyglądało im się z boku, próbując cokolwiek zrozumieć z tego poruszenia, jakie nieoczekiwanie wywołały w Dobrzyniu słowa pani Matyldy. Jak zwykle to Dżusi nie wytrzymała pierwsza.

– Dobra, to kim był TEN Dalmus? – warknęła. – Zapewne z TYCH Dalmusów, co?

– No cóż... no więc... no więc Anton Dalmus był... no, przede wszystkim Niemcem! – zaczął Hubert, odepchnąwszy na bok emocje, i już spokojniej zaczął wyłuskiwać i porządkować kolejne informacje. – A tak poza tym, czy też raczej przede wszystkim, był inżynierem służącym w Organizacji Todta.

– Eee... – Karolek, dotąd zgarbiony nad stołem, żeby niczego nie uronić z rozmowy, odchylił się na krześle. Minę miał przy tym dość niewyraźną.
– U mnie z niemieckim tak średnio, ale coś mi dzwoni, że Todt to chyba znaczy... nieboszczyk?

– Czysty przypadek – uspokoił go pospiesznie Dobrzyń. – Nazwa wzięła się od nazwiska założyciela, Fritza Todta. A sama organizacja zajmowała się budową obiektów wojskowych. Jej biuro projektowe znajdowało się tu, na obszarze Gór Sowich, w tajnym obiekcie o kryptonimie Willa Erika.

– Jak Erika Böhm? – zdziwiła się Eleonora, na co Hubert skinął głową.

– Nie inaczej. Ta Erika z tych Böhmów.

– Otruci inżynierowie!!! – wrzasnął Karolek triumfalnie.

Nad kuchennym stołem rozpętała się burza. Siostry przekrzykiwały się nawzajem, odkrywając co rusz nowe rejestry, przy których nawet nietoperze salwowały się ucieczką, Karolek z ekscytacji niemal unosił się nad podłogą i wyrzucał z siebie pytanie za pytaniem, a Gerd na przemian to klął, to pociągał z kubka, parząc sobie podniebienie gorącą kawą i żałując, że nie zasilił jej czymś mocniejszym, co pomogłoby mu wyprzeć wciąż zbyt żywe wspomnienia tego, co widział po tamtej stronie. Pani Matylda tymczasem niewzruszenie sączyła herbatę i czekała, aż się zmęczą, a Dobrzyń, który nieoczekiwanie znalazł się w epicentrum tego żywiołu, bezskutecznie usiłował przebić się z przekazem.

– Przepraszam, halo! Halo! Przepraszam, bo mnie się zaraz wszystko wymiesza!!! – wrzasnął na całe gardło i wreszcie w kuchni zapadła cisza.

– Dziękuję. Tak, dojdziemy do otrutych inżynierów, ale po kolei, dobrze? Ta właśnie organizacja, czyli Organizacja Todta, nadzorowała z tajnego obiektu Willa Erika równie tajny projekt o kryptonimie Riese.

– Czy ja się w końcu dowiem, co to było? – zapytała Dżusi, łypiąc na wszystkich spode łba. – Bo wam to najwyraźniej wszystkim coś mówi, cwaniaczki, ale mnie ni cholery, więc prosiłabym o więcej szczegółów!

– Titku, serio nigdy nie słyszałaś o Riese?...

– A wyglądam, jakbym słyszała?

– *Riese* po niemiecku znaczy „olbrzym” – przetłumaczyła pani Matylda.

– W telegraficznym skrócie, chodzi o wielki projekt budowlany, który pod koniec wojny hitlerowcy realizowali tu, w Górach Sowich.

– Tu? Na tym zadupiu? Dlaczego?

– Z trzech powodów: topografia, infrastruktura, oddalenie od linii frontu – wymienił Dobrzyń. – Ostatni powód jest chyba najbardziej jasny,

przejdźmy więc do topografii. Panie Karolu, pan jest zorientowany w tych sprawach. Jakież pomysły?

– Góry, rzecz jasna – odparł z miejsca chłopak.

– Rzecz jasna. Wszystkie obiekty, które znajdowały się pod ziemią, były naturalnie zabezpieczone przed bombardowaniami aliantów. Innymi słowy, żaden beton nie może się równać z solidną górą. Co jeszcze?

– Skąła gnejsowa?

– Wykorzystywana przy budowie dróg kołowych i szynowych. Świetna skąła.

– No i lasy, wiadomo. W takich lasach można wiele zamaskować.

– A było co maskować – zgodził się kolejny raz Dobrzyń. – Infrastruktura? Proszę bardzo. Na tych terenach od wieków działały liczne kopalnie, a skoro były kopalnie, to istniała również gotowa sieć dróg, kolej wąskotorowa, nie trzeba było tego budować od podstaw, czyli marnować bezcennych surowców, materiałów, wówczas potrzebnych na coś innego. Na zasadniczą część projektu.

– Czyli? – Dżusi sugestywnie uniosła brew.

– Na gigantyczny zespół schronów i obiektów przemysłowych. Obiektów naziemnych i podziemnych, połączonych siecią tuneli wykuwanych w skale. Tak, gnejsowej. I to wszystko było tajne. Ściśle tajne, cały obszar Gór Sowich objęto specjalnym nadzorem. Pytał pan wcześniej, panie Karolu, dlaczego powstało aż trzynaście filii obozu Gross-Rosen na tak małym obszarze. Ano dlatego, że do budowy wykorzystywano więźniów. Robotnicy doskonali. Tani. Liczni. Zakładano, że i tak umrą, a martwi nie zdradzą żadnej tajemnicy Riese. Podobnie jak inżynierowie, których już tu parokrotnie wspominaliśmy. Właśnie dlatego ich otruto – żeby milczeli o tym, co tu budowano. Naprawdę, dołożono wszelkich starań, żeby zniszczyć dokumentację i zlikwidować świadków przed nadejściem Armii Czerwonej.

– I ten cały... Anton Dalmus właśnie nad tym pracował?

– Dokładnie to kierował budową obiektu w Głuszycy – odparła pani Matylda. – A po wojnie stał się kluczowym świadkiem tego, co tu zaszło. Jeśli nie jedynym...

– Jedynym? Jak to?

– Widzicie, po wojnie właściwie cała ludność niemiecka została z Dolnego Śląska deportowana. Do czterdziestego dziewiątego roku w tym regionie pozostało kilka procent przedwojennych mieszkańców,

bezpośrednich świadków tego, co tutaj się działo. A co najważniejsze, przed wysiedleniem tych ludzi nikt nie przesłuchał. Nigdy.

– Anton Dalmus był jednym z nielicznych, którzy zostali – dodał Hubert. – Mało tego, on się ujawnił! Sam! Z własnej woli poszedł do polskich władz i zeznał, że jest inżynierem i że pracował przy Riese. Zaoferował pomoc. Uwierzycie? Od samego początku pomagał przy eksploracji sztolni, bunkrów, przy zabezpieczaniu mienia. Miał też szczegółowe plany instalacji elektrycznych i telekomunikacyjnych, co pomogło przy lokalizacji zamaskowanych obiektów. Podobno świetnie mówił po polsku, chętnie współpracował z władzami i dziennikarzami. Z jakiegoś powodu tu został i starał się być pożyteczny. Niezastąpiony wręcz. Mógł się swobodnie poruszać w pasie przygranicznym, chociaż był Niemcem! Tuż po wojnie!

– Ale po co to robił? – zapytała Eleonora.

– Może chciał... no wiecie, zadośćuczynić? – podsunął Karolek. – Odpracować wojenne grzechy?

– Jedna z teorii głosi, że Dalmus dochował wierności Hitlerowi i został tu, żeby dalej nadzorować projekt i ukryte dobra – powiedział Hubert. – Zwłaszcza broń. Wiecie, wtedy dość powszechnie uważano, że lada moment wybuchnie kolejna wojna, ta broń była potrzebna, bezcenna wręcz. Pewnie dlatego Dalmus nie został zlikwidowany przez Werwolf jako zdrajca Rzeszy. Dalmus był zawsze w centrum wydarzeń, wiedział wszystko i widział wszystko, co robiły polskie władze... bo miał trzymać rękę na pulsie.

– Tak, tak, znam te teorie – przerwała mu pani Matylda. Nie wyglądała na przekonaną, wprost przeciwnie. – Ale obawiam się, że nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością.

– Pani coś wie?

– Niewiele – przyznała bez ociągania – ale dość, żeby obalić te wydumane teorie spiskowe. Dalmus nigdy nie był szpiegiem ani Rzeszy, ani Werwolfu, panie Hubercie. Nie orientuję się, czym dokładnie się tu zajmował, ale z pewnością pracował dla Ramzesa.

– Był takim jego... Renfieldem? Jak Gerd?

– Dzięki, stary. Serio. Dzięki.

– Nie, nie ten układ sił. Ramzes miał wszędzie swoich ludzi. Kontakty. Dotąd sądziłam, że Dalmus był jednym z wielu. Ale teraz... – Ściągnęła brwi, przypominając sobie podsłuchaną rozmowę. – Dalmus pokazał

Polakom i Rosjanom to, co chciał... czy raczej co miał im pokazać, żeby odciągnąć ich uwagę od czegoś innego. Na polecenie Ramzesa. Póki mógł, pilnował, żeby nigdy tego czegoś nie znaleźli.

– Gazety! – Gerd klasnął dłonią o dłoń z taką siłą, że to musiało zboleć. – Gazety w leżu! Filizanka Kristera! Dalmus już pewnie nie żyje, a jeśli nawet, to w charakterze...

– Mumii.

– Dziękuję, pani Matylde. Pewnie po jego śmierci Ramzes nie znalazł drugiego zaufanego człowieka, który wiedziałby tyle co Dalmus, więc pilnuje tego czegoś sam. Śledzi, co tu się dzieje.

– Pilnuje skarbu? – podsunął Karolek z błyskiem w oku, ale pani Matylde szybko zgasła jego entuzjazm.

– Sądzisz, że Dalmus bałby się tak bardzo? Że Ramzes zawracałby sobie głowę, gdyby chodziło o coś tak trywialnego jak skarb? Przypominam, mowa o istocie, która doskonale wie, gdzie znajduje się złoto Breslau, i nic sobie z tego nie robi. Nie. Sami pomyślcie.

Ona już tam była, uzmysłowił sobie Dobrzyń, patrząc na starszą panią, już doszła do tego wniosku. Znalazła rozwiązanie, a teraz czekała cierpliwie, aż do niej dołączy.

Eleonora dotarła do celu pierwsza. Odgarnęła włosy za uszy prostym, oszczędnym gestem. Jakby zaganiała myśli w jeden kąt, żeby móc im się lepiej przyjrzeć.

– Ta... jak on to nazwał?

– Ćma. Nie, nie chodzi o naprawdę dużego owada, Karolku. – Pani Matylde bezlitośnie zgasła w zarodku jego entuzjazm. – Ćma to... cóż. Ciemność. Mrok. Mrok bez krztyny światła. Bez choćby nadziei na światło. Stworzenie, które wyrasta na ludzkiej krzywdzie i na niej żeruje. Nie zabija ofiary, ale potrafi ją doprowadzić na skraj rozpacz. Lub dalej.

Jedynie Gerd zauważył, że po tych słowach Hubert zbladł. Reszta nie odrywała wzroku od dawnej mojry.

– I to coś miesza teraz czas? – upewniła się Eleonora.

– Raczej wiąże pojedyncze wydarzenia w supelki, żeby nie mogły się rozplątać. Żeby tak zostały, jak najbliżej powierzchni.

– Ale po co?

– Aby się nimi sycić, dziecko. Sycić do woli cierpieniem, z jakiego się zrodziły i jakie rodziły same. Aż nabierze dość sił, żeby się uwolnić.

Zegarmistrz myślał intensywnie.

– To musiało się zacząć wcześniej... – mruknął.

– Proszę?

– Ta... – Nie odrywając wzroku od kubka z kawą, pstryknął palcami. – Jak to pani nazwała? Ćma? Ta ćma była tu już wcześniej, przed czterdziestym dziewiątym?

– Tak by wynikało z rozmowy Ramzesa z Dalmusem. Dlaczego pytasz?

– Myślę, że wtedy, w czterdziestym dziewiątym, coś tu się działo z czasem.

– Czemu...

– Zaraz do tego dojdę. Pytanie tylko, czy działo się, bo Jurek coś zrobił... czy to z Jurkiem coś się stało, bo coś się działo z czasem? Rozumiecie? Co było skutkiem, a co przyczyną?

– Którą opcję obstawiasz? – zapytała Dżusi.

– Drugą. Przez nią. – Pokazał palcem starszą z siostr. – Tak, przez ciebie, gwiazdeczko. Można by jeszcze przyjąć, że Eleonora coś zrobiła, prawda? Jest psychopompem, ma moc, robi rzeczy. Próbowwała nowej sztuczki, którą nie do końca opanowała. Coś nie wyszło, oto skutki. Okej, brzmi logicznie, prawda? Ale to wciąż za dużo łyżeczek.

– Co...?

– Do tego też dojdę. A teraz zastanówcie się sami. Jakie jest prawdopodobieństwo, że sześćdziesiąt trzy lata później Eleonora zrobiła dokładnie to samo, z dokładnie tym samym skutkiem co Jurek w czterdziestym dziewiątym?

– Zerowe.

– Czyli opcja pierwsza odpada, zostaje nam zatem opcja druga. To coś tutaj sprawia, że nawet zwyczajni ludzie mogą doświadczać tego, czego doświadcza psychopomp. Na nieco mniejszą skalę, ale jednak. Z jakiegoś powodu nie trzeba wcale mocy, żeby przemieszczać się mimowolnie między warstwami czasu, albo warstwy czasu przemieszczają się same.

– Ćma wywołała tąpnięcie – wtrąciła Eleonora, próbując nadażyć za jego tokiem rozumowania. I chyba nawet biegła w dobrą stronę, bo Gerd przytaknął gorliwie.

– Tak! A skoro ta ćma była tu już przed czterdziestym dziewiątym, a wiemy już, że była, to może wtedy, w czterdziestym dziewiątym, działo się to samo co teraz? Może właśnie to stało się z Jurkiem?

– Myślisz, że się przeprawił? I utonął w czasie?

– Nigdy nie znaleziono ciała, prawda? Mógł zabłądzić. A bez psychopompa, który by po niego poszedł... nie umiał już wrócić.

Hubert uniósł dłoń, jakby zgłaszał się do odpowiedzi, ale wcale nie był przekonany, czy to dobry pomysł.

– Ten wasz... Ramzes, tak? On tu wtedy był, w Jedlinie. Dlaczego nie poszedł po Jurka, tak jak ciotka poszła po ciebie?

– Bo miał go w nosie? – podsunęła Dżusi. – Ludzie, przecież to Ramzes. RAMZES. Nie przyjechał do Padlinki z powodu jakiegoś zaginionego dzieciaka, tylko ćmy. Prawda, El?

Eleonora nie odpowiedziała. Patrzyła wyczekująco na starą profesorkę, jak gdyby czekała na sygnał z jej strony.

– A może to my się za bardzo rozpędzamy? – podsunął Karolek. – Wiecie, Jurek wcale nie musiał się przeprawić. Mógł zwyczajnie wpaść do jakiejś jamy w lesie, jak pan Hubert. I zginąć.

– Wtedy też Ramzes mógłby go wytropić tu, na powierzchni – zauważył Gerd. – A znalezienie zwłok w jamie na zawsze zamknęłoby temat. Nikt nie łąziłby po lasach, szukając zaginionego chłopca, nie kręciłby się w pobliżu miejsc, w które ludzie nie powinni się zapuszczać, prawda?

– Czyli musiał wiedzieć, że nie ma już po co iść, albo miał to w dupie – podsumowała Dżusi. – Ramzes.

– Owszem. Ramzes wiedział już wtedy, że te poszukiwania straciły sens – potwierdziła pani Matylda. – Przykro mi, panie Hubercie.

– Ale nadal mamy dwie łyżeczki...

– Co?

– A coś ty się tak czepił tych łyżeczek?!

Zegarmistrz uniósł dłoń na znak, żeby zamilkli. Jakaś myśl tłukła mu się po głowie jak spłoszony ptak, potrzebował ciszy, żeby ją uspokoić. Pochwycić.

– Pętla – szepnął nagle. Oczy mu rozbłysły. – To jest pieprzona pętla! No sami pomyślcie. Wydarzenia w tysiąc osiemset trzydziestym dziewiątym stworzyły ćmę i dały jej kopa na rozpęd. Niesłuszne oskarżenie, morderstwo, samobójstwo, wściekły tłum ruszający z pochodniami na pałac – wyliczył. – Dość krzywdy, prawda? Doszło do tępnięcia, do lokalnej anomalii, jak to ujęła pani Matylda, przez co potem, w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym, Jurek niechcący się przeprawił.

– Gdyby było tak, jak mówisz, wtedy przez lata wydarzyłyby się więcej takich przepraw – zauważyła Eleonora.

– A jeśli były krótkie? Płytkie? Pewnie nikt nawet nie zauważył, że coś się stało. Albo uznał, że to przywidzenia, może nawet...?

– Duchy!

– Duchy z nawiedzonego pałacu. – Hubert Dobrzyń gwizdnał pod nosem. – No proszę...

– Słuchajcie dalej. Jurek powiedział bratu, że znalazł łyżeczkę w pałacu, prawda? Nie w ogrodzie, nie w stajni czy gdzieś tam. I nie wykopał, tylko znalazł. Bo tak właśnie było. Znalazł ją w pałacu. Po prostu nie w tamtym czasie, nie w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym. Tylko wcześniej. Jurek się przeprawił, zupełnie niechcący, tak jak Dżusi na tym pieprzonym strychu. Pewnie na parę minut, nie dłużej, ale też nie byle gdzie, tylko dalej, głębiej, do tysiąc osiemset trzydziestego dziewiątego roku. Może miał w sobie iskrę talentu, kto wie, tego już niestety nie stwierdzimy. Tak czy siak, przeprawił się i na nowo puścił pętlę w ruch.

– Czyli to nie córka Hildebranda ukradła łyżeczkę Rothenbachów?

– Ukradł ją Jurek?

Gerd pokręcił głową. Myśl wciąż się trzepotała, słabo, coraz słabiej...

– Nigdy nie było ani trzech, ani dwóch łyżeczek – stwierdził wreszcie. – Zawsze była jedna. Ta sama. Jurek ukradł łyżeczkę, więc zginęli ludzie, zginęli ludzie, więc doszło do tąpnięcia, doszło do tąpnięcia, więc Jurek się przeprawił, Jurek się przeprawił, więc ukradł łyżeczkę. Pętla. Samonapędzająca się pętla krzywd. A ćma ciągle się tym syci, jak... jak żelazną racją. Nie śpi, syci się na tyle, żeby przetrwać, i czeka, aż trafi jej się coś pożywniejszego.

– Dobry jesteś – rzekł Hubert z uznaniem.

– Mówiłem, że ogarniam teorię. Pani Matyldo? Co pani na to?

Emerytowana nauczycielka, łacinniczka i mojra w jednej osobie od paru minut milczała, zapatrzona w okno.

– Wielkie zło zawsze zaczyna się od małego zła. Dlatego tak łatwo przeoczyć, że to już. Że to już się dzieje... – Skinęła głową, krótko, stanowczo. – Tak. Hildebrand, jego córka, Rothenbach. Na ich krzywdzie w porcelanowym pałacu w Jedlinie wyrosła sobie ćma. Tąpnęło. Ćma syciła się, pomalutku, po trochu, i rosła przez dziesięciolecia, ciągle wprawiając czas w delikatne drzenie.

Eleonora przypomniała sobie tamto wrażenie, jak gdyby na powierzchni czasu rozchodziły się kręgi. Duchy. Widma. Przeszłość nieustannie przebijająca się do terażniejszości.

– Powolutku, powolutku... – ciągnęła pani Matylda. – A potem przyszła wojna i wokół zaczęły powstawać obozy. Ćma zwęszyła żer, więc wypełzła. Miała gdzie się kryć, mogła poruszać się niezauważona po całych górach, w ogóle nie wychodząc na powierzchnię.

– Tunele. – Hubert na moment zacisnął powieki. – Tunele w podziemnych kompleksach... one sięgały wszędzie.

– Tak. Budowniczości Riese bardzo pomogli ćmie w tym żerowaniu. A ofiary obrzmiały rozpaczą same wchodziły jej w paszczę.

– A co było potem? Dlaczego zniknęła?

– „Dopilnowali tylko, żeby się obżarła i spała jak najdłużej. A sami uciekli” – odparła pani Matylda. – Tak powiedział Ramzes. Myślę, że możemy mu wierzyć.

– Czyli ktoś w końcu odkrył jej obecność. Zapewne Niemcy. I co? Gdzie ją uwięzili? Pogrzebali?

– Bardzo możliwe. A potem, gdy kilka lat po wojnie znów zaczęła podnosić łeb, przyszedł Ramzes i poprawił. I to solidnie, skoro tak długo był z nią spokój.

– Ale jej nie zabił – zauważyła Eleonora. – Nie potrafił? Nie był w stanie?

Odpowiedziało jej prychnięcie.

– Och, dziecko, pomyśl! To nie boli! Skoro Festung Breslau nasyciło Ramzesa, to jak sądzisz, co mogła nasycić cała machina zagłady, jaką było Gross-Rosen? – Odczekała chwilę, aż ta myśl osadzi się w ich umysłach i duszach jak pył. Jak popioły z pogorzelniska.

– Pamiętacie, co mówił przewodnik na zamku? – zapytał Karolek. – O tych pseudoposzukiwaczach skarbów? Może ta ćma znów podnosi łeb, bo wiecie... zapuścili się zbyt głęboko i ją niechcący obudzili?

– Wielce możliwe – przyznała pani Matylda. – *Avidis, avidis natura parum est*. Dla chciwych mało i całego świata... A teraz ćma urosła tak, że mogła zapętlić sobie czas i powiązać na tej pętli supelki. Stworzyć sobie wieczne żerowisko. I to się nie skończy. Ta zamieć, widma, czas... To się nie skończy, dopóki nie zabijemy ćmy. A nie zrobimy tego bez Ramzesa.

Przyszedł do niej we śnie. Tak jak przed laty, na samym początku, zanim zobaczyła go ten pierwszy raz, gdy był ledwie obecnością na skraju przecucia, dreszczem ni to rozkosznym, ni to lodowatym, przepowiadającym to, co miało dopiero nadejść.

Bo to był sen, bez dwóch zdań. Nie mogło być inaczej. Wspierała się na dębowej lasce, czując w kościach pustkę i zarazem ciężar bezlitosnego czasu, a przecież znajdowała się na Neumarkcie, jaki pamiętała z początków wojny. Zabudowane kamienicami pierzeje wciąż okalały plac. Powietrze pachniało jesienią. Trwał właśnie *Tippelmarkt* – handlarze ceramiką i naczyniami uwijali się i przekrzykiwali, zachwalając swoje towary przed wybredną klientelą, a *Gabeljürge*, rogaty Neptun z trójzębem, patrzył na nich z wyżyn fontanny, drażniąc nieskalane chrześcijańskie sumienia swą podejrzanie diabelską aparycją.

– Zawsze miałaś do niego słabość, Matyldo.

Uśmiechnęła się z melancholią, czując ciepło słów na karku.

– Tak jak i do ciebie, Ramzesie – odparła. – I on, i ty jesteście tak samo niejednoznaczni.

Błądziła wzrokiem po twarzach i budynkach, chłonęła dźwięki, zapachy, kolory, wszystko to, co składało się na pełnowymiarowy świat, który widywała już tylko w snach i coraz szybciej blaknących wspomnieniach.

– Czemu tu? Czemu teraz? – zapytała, choć wcale nie musiała pytać. Ale tego wszak wymagała konwencja.

– Chciałem ci sprawić tę małą przyjemność.

Zaśmiała się, krótko i lekko, mimo że czuła w ustach posmak goryczy, i wreszcie odwróciła głowę.

Prawie mu się udało. Gdyby nie oczy, wyglądałby zupełnie zwyczajnie, tak jakby to nie był sen, jakby naprawdę się tu spotkali, on i ona, w spokojnym Breslau, na Neumarkcie, w tętniący życiem dzień handlowy. Lecz te dwie otchłanie, wypalone żagwią, płonące złotem, obracały wniwecz piękną, błogą iluzję normalności.

Zrozumiała. Była już wystarczająco dużą dziewczynką, żeby się przed tym nie bronić.

– Mała przyjemność na pożegnanie. Bo to dlatego tu jesteś, prawda? Przyszedłeś się ze mną pożegnać.

Ramzes uniósł dłoń i pogładził miękki, pomarszczony policzek Matyldy z czułością, od której zawsze topniało jej serce.

– *Aequo pulsat pede*, Matyldo. Śmierć puka jednak. Słyszysz? Już prawie stanęła na progu.

Prychnęła.

– Och, daruj sobie te gładkie łacińskie słówka. – Czują, jak wzbiera w niej gniew. – Zwłaszcza gdy nijak do ciebie nie pasują. Nie zgadzam się, Ramzesie, słyszysz? Nie zgadzam się, nie pozwalam!

Teraz to on się zaśmiał.

– Może więc inaczej? *Aut amat, aut odit mulier, nil est tertium.*

– Kobieta albo kocha, albo nienawidzi, nie ma nic trzeciego.

– Nie inaczej, Matyldo. Nie inaczej. A ja wciąż nie wiem, czy bardziej kochasz, czy nienawidzisz.

– Naprawdę? – zapytała cicho. – Naprawdę nie wiesz?

Zamiast odpowiedzieć, na długą chwilę przywarł wargami do jej czoła, tuż u nasady siwych włosów.

– Na mnie już czas.

– Ty jesteś czasem, Ramzesie – odparowała twardo, robiąc krok w tył, żeby spojrzeć mu w oczy. – Ty. Pamiętasz?

– Ach, Matyldo, moja ty piękna, dzika Matyldo...

Słyszając jego słowa, uśmiechnęła się mimowolnie. Czy ktoś poza nim jeszcze ją taką pamiętał? Czy ktoś poza nim kiedykolwiek ją taką poznał?

Ramzes delikatnie przyciągnął kobietę z powrotem do siebie i przytknął czoło do jej czoła. Myśl w myśl. Zawirowały dziesiątki obrazów, reminiscencji, doznań.

Pamiętasz, Matyldo? Pamiętasz?

Zamknęła oczy, wsłuchując się w aksamitny szept, który rozlegał się w duszy i głowie. Tyle razy kołysał ją do snu, tyle razy sunął po jej ciele...

Tak, jestem czasem. Masz rację. Ale jestem też cierpieniem, Matyldo. Nie zapominaj o tym. I właśnie przez tę część mojej niecnej natury stałem się żerem, już wkrótce wychłęptanym do cna.

Coś ją tknęło. Przełamując pragnienie tak dojmujące, że aż bolesne, by trwać dalej w tym śnie, trwać wbrew wszystkiemu, co czekało na jawie, oderwała się od Ramzesa i podniosła wzrok.

Iluzja prysnęła. Ciemne smugi spływały z otchłani oczu strzygonia. Kości nosa i policzków sterczały spod sonej skóry. Kiedy przemówił, niemal bezwargie usta rozchyliły się, odsłaniając podwójny rząd czarnych, ostrych zębów.

– Obawiam się, Matyldo, że opadam już z sił.

Dopiero wtedy naprawdę zrozumiała, że nie przyszedł ot tak, po prostu. Wykorzystywał tę samą sztuczkę, której nauczył Eleonorę. Wołał do niej, do mojej, z samego dna czasu, dna istnienia, przez rozpacz i nadciągającą śmierć.

Jego śmierć.

– A cóż? Co z nią?

– Nie udało mi się rozwiązać pętli, którą stworzyła. Wybacz mi, Matyldo. Może zdołam ją jeszcze zabić. Albo chociaż odciąć na dłużej.

Wyciągnęła rękę, lecz tym razem Ramzes umknął przed jej uściskiem. Odsuwał się, zniknął, rozwiewał się niczym sen, z którego utkał dla nich tę chwilę.

– Przyjdziemy po ciebie! – zawołała za nim. – Przyjdziemy po ciebie, słyszysz? Tylko powiedz...

Nie, Matyldo.

Nie.

Zostań tu, z rogiatym Neptunem. Naciesz oczy. Naciesz duszę.

A potem obudź się z tego pięknego snu i płacz.

Chociaż ty jedna płacz po mnie, Matyldo.

Siedem minut po trzeciej nad ranem Karolek poddał się ostatecznie. Czy to przez nadmiar emocji, w jakie obfitował miniony dzień, czy też przez Dżusi, która średnio co godzinę zrywała się z łóżka i gnała do łazienki, klnąc parszywie pod nosem – nieważne. Nie mógł zasnąć, i już. Bywa. Zamiast w dalszym ciągu przewracać się z boku na bok, narzucił polar na grzbiet i ostrożnie zamknąwszy za sobą drzwi pokoju, wspiął się na piętro, do opustoszałej kuchni.

Zapalił światło i z założonymi rękami stanął przed stołem. Na blacie wciąż spoczywało archiwum Dobrzynia – książki, mapy, wydruki, odręczne notatki... Głowili się i debatowali nad tym całym nabojem do północy, lecz do niczego nie doszli. Nie mieli bladego pojęcia, gdzie szukać Ramzesa. Utknęli w martwym punkcie na dobre.

Nalawszy sobie mleka, Karolek przycupnął na krześle i spojrzał tęsknie na mapę Sudetów Środkowych, którą osobiście tu przyniósł, tak na wszelki wypadek. Odkąd wyruszyli z Wrocławia z misją ratunkową,

pielegnował w sobie cichą, cichuteńką nadzieję, że może przy okazji uzupełni swoją kolekcję radzieckiego generała, jak mawiała Dżusi, o te cztery nieszczęsne znaczki PTTK. Nim się zorientował, już pochylał się nad rozłożoną mapą, gładząc z czułością laminowany papier i wodząc tęsknym spojrzeniem po brakujących lokacjach. Zamek Grodno, Podziemne Miasto Osówka, Sztolnie Walimskie i...

Zerwał się na równe nogi z takim impetem, że aż mleko chlusnęło mu ze szklanki, pstrząc wszystko wokół białymi plamami.

– O... o... o szlag!... O szlag, o szlag, o szlag!!!

Karolek odstawił szklankę do zlewu, przejechał rękawem po mlecznych plamach i jak oszalały rzucił się na stertę książek Dobrzynia.

– Indeks, indeks, do jasnej ciasnej, przecież tu musi być indeks nazw miejscowych!!! – mamrotał coraz bardziej gorączkowo.

Znalazł. W końcu znalazł, najpierw indeks, a w nim nazwę, która tak nieoczekiwanie eksplodowała mu w głowie niczym noworoczne fajerwerki na nocnym niebie. Szybko przekartkował książkę i dotarłszy do poszukiwanej strony, zaczął sunąć wzrokiem po tekście. Minutę później, ledwo tłumiąc okrzyk radości, który wezbrał mu w piersi, sięgnął po pierwszy z brzegu notes i zaczął pisać w pośpiechu.

Miał trop.

Siedem indeksów i pięć stron notatek później naraz coś mu zabręczało nad głową. Machnął ręką na oślep, bez zastanowienia.

– HEJ! – ryknęło mu prosto do ucha znajomym głosem. – Mówię coś do...

W zazwyczaj cierpliwego, dobrodusznego Karolka nagle jakby zły duch wstąpił.

– NIE MÓW DO MNIE, KIEDY ODKRYWAM!!! – odryknął na cały regulator, a potem niczym wygłodniały sęp zawisnął ponownie nad mapą turystyczną. Już to miał, już to miał, musiał tylko zobaczyć... – Wiem. Rany boskie... WIEM!!! – wrzasnął. Zerwał się z krzesła i spojrzał z triumfem prosto w twarz swojej narzeczonej. Bardzo zaspanej, bardzo rozczochranej i bardzo wściekłej narzeczonej... – O, cześć, Titku. Już nie śpisz?...

– JA nie śpię?! Co ty tu robisz?! Jest piąta nad ranem!!!

– Nie mogłem spać, więc... – Westchnął ciężko, czując nadciągający przypływ szczerości, który mógł go sporo kosztować. – Wybacz, Titku, ja cię naprawdę bardzo kocham, ale jeśli nie pójdziesz do lekarza z tym

pęcherzem, to jeszcze jedna taka noc i chyba uduszę cię poduszką. Albo dwiema.

Ku jego zaskoczeniu Dżusi, zamiast wściec się jeszcze bardziej, nagle się stropiła. Uciekła gdzieś w bok spojrzeniem.

– Już... już byłam – burknęła. – Powiedział, że to nic takiego. Samo przejdzie... w końcu.

– To może idź do innego?...

– Przepraszam, czy was kompletnie pogięło? – Od progu dobiegł ich zduszony głos. Odwrócili się i zobaczyli półprzytomnego Gerda. Zza jego ramienia wyglądał Dobrzyń, mniej więcej w podobnym stanie. – Pokoju nie macie czy co? Ludzie tu chcieliby pospać!

– Och, chrzanić sen, sen jest dla mięczaków! – zakrzyknął Karolek. – Wiem, gdzie jest Ramzes!!!

Nosiło go, żeby im powiedzieć, wyrzucić z siebie teraz, zaraz, natychmiast, bez tracenia czasu na pierdoły zwane dowodami i logiczną argumentacją, musiał jednak poczekać, aż Dżusi z Eleonorą sprowadzą na piętro panią Matyldę. Na ich szczęście już nie spała. Stawiła się w kuchni umyta, uczesana i ubrana jak człowiek, choć dziwnie przygaszona, jak gdyby całą noc dręczyły ją koszmary, o których nie chciała rozmawiać. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi – a może zwrócił, tylko złożył jej stan na karb podeszłego wieku i zdrewniałych stawów, duetu, który rzadko sprzyjał dobremu humorowi starszych osób o poranku.

– Dobra, teraz będzie *full* Wołoszański – zaczął Karolek, gdy wszyscy usiedli na swoich miejscach, przytomniejąc w przyspieszonym tempie. – Dla porządku zaczniemy od mapy. Lubię mapy. „Skąd wracali Litwini”?

– „Z nocnej wracali wycieczki”. Dziecko, czy ty się dobrze czujesz?

– Punkt za czujność bojową, pani Matyldo, oraz znajomość klasyki. A skąd wyjechał pług? – Tym razem pytanie było skierowane do Huberta.

– Jaki znowu... A! Zy, zy, zy... z Unisławia.

– No to patrzcie. – Położył na wpół rozpostartą mapę pośrodku stołu i wskazał palcem pierwszy punkt. – Tu mamy Jedlinę-Zdrój. Tu jest pałac, a tu mniej więcej jesteśmy teraz my. Poznajemy to po...?

– Tej kresce z kwadracikami, oznaczającej wyciąg. Zaraz cię strzełę, wiesz?

– Też cię kocham, Titku. Lecimy dalej. Unisław Śląski jest tu, na zachód od Jedliny. Na północ z kolei mamy Wałbrzych, a tu, trochę w bok,

Zagórze Śląskie i zamek Grodno. Nadążacie? Tak? Okej, czyli tę stronę mamy już z głowy...

– A to my ją tam w ogóle mieliśmy? Bo ja celowałam znacznie, znacznie niżej.

– ...teraz strona druga – ciągnął Karolek. Po tylu latach związku z Dżusi był już nieźle uodporniony na sarkazm i przytyki. Oraz, co ciekawe, teżec. – Ekipa z Nowej Rudy nie mogła dojechać do pałacu, bo...?

– Za Ludwikowicami i za Jugowem wszystko było odcięte – odparł Hubert posłusznie. Był ciekaw, do czego doprowadzi ten przyływ ewidentnego obłędu.

– Tu są Ludwikowice Kłodzkie, proszę szanownej wycieczki, a tu Jugów. Widzimy? Widzimy. Tym sposobem uzyskujemy... placek.

– Łał. Totalnie widzę, jak dostajesz swój program w telewizji.

Karolek wyprostował palec wskazujący i uniósł tak, żeby wszyscy go widzieli.

– „Zostaniesz w moich górach”. Moich – podkreślił stanowczo. – Strzygonie są terytorialne, tak? Tak. A te góry nie są terytorium Ramzesa i to nie nim straszono dzieci, nie on zjadał je w lesie, tylko inny krwiopijca. Czyli nie możemy tego rozumieć dosłownie, wicie, moje góry, *my precious*. Więc co mógł mieć na myśli scytyjski strygoń z Wrocławia, który z upodobaniem lata sobie przez warstwy czasu pod postacią, uwaga, skupcie się – puszczyka?

– Trochę zalatuje sucharem, ale... Góry Sowie?

– To nie suchar, jak byłeś łaskaw to ująć, młody człowieku – sprostowała sucho pani Matylda – ale stara masońska zasada. Ukryte na widoku.

– Tak, Góry Sowie, ale nie całe – zaznaczył Karolek – bo one się ciągną aż tu, do Srebrnej Góry, a wiemy, że w Nowej Rudzie nie ma już zamieci, nie ma anomalii lokalnej. Czyli interesuje nas wyłącznie ten placek. – Z dumą zaprezentował wzmiankowany placek. – A teraz słuchajcie uważnie, bo nie będę powtarzał.

– Nie, trzymajcie mnie, on zrobił notatki... – jęknęła Dżusi na widok notesu, który rozłożył przed sobą jej narzeczony. Cała rozkładówka była zapisana na niebiesko.

– Surowy klimat – zaczął wyliczać, ignorując jej rozpacz. – Wymarły las. Kwaśne deszcze. Częste burze z intensywnymi wyładowaniami. No

i Riese. W zasadzie zwłaszcza Riese. Wyczytałem, że świadkowie z masywu Włodarza... To ta zielona plama tutaj, o. – Karolek szybko wskazał wzniesienie na mapie. – No więc świadkowie po latach mówili, że dalej, w głębi gór był jeszcze jeden obóz, z którego regularnie wywożono trupy. Mnóstwo trupów. Tyle że nikt nie miał z nim kontaktu. Po wojnie odnaleziono tam resztki obiektów naziemnych, ujęcia wody, ślady po składach cementu czy innych materiałach budowlanych, ale nie zlokalizowano wejścia do żadnych podziemi. Nigdy. Rozumiecie? Niech pan tak na mnie nie patrzy – rzucił do Dobrzyńia. – To wszystko wyczytałem w pańskich książkach.

– Niemożliwe. Znam je na pamięć, na wyrywki! Nie mogłeś tam wyczytać czegoś, czego ja sam nie wyczytałem!

– Po pierwsze, pan się skupiał przede wszystkim na Jedlinie, na pałacu i okolicach. A ja spojrzałem szerzej, geograficznie i dosłownie, co doprowadza nas do po drugiego. No więc po drugie, pan, panie Hubercie, myśli tabelkami, danymi, ja z kolei jestem wzrokowcem. Muszę zobaczyć, żeby zrozumieć. Kiepsko przetwarzam informacje ze słuchu, dlatego uwielbiam mapy. I dlatego tak dobrze nam się układa z Titkiem.

– Eeej!

– Tam były sztolnie, których nie spenetrowali ani Polacy, ani Rosjanie – mówił dalej Karolek – chociaż ci drudzy z upodobaniem penetrowali wszystko. Okej, źle to zabrzmiało, nawet bardzo źle... Ale fakt pozostaje faktem. Aż do dziś nikt nigdy nie zdołał choćby potwierdzić, że ten obiekt naprawdę istniał, nie mówiąc już o eksploracji. Nawet świadek, który znał wszystkie obiekty Riese, nie wspomniał o niej ani słowem, nikomu. Czyli kto?

– Anton Dalmus.

– Renfield Ramzesa, tak jest. Co więcej...

– Czekaaj, czekaaj – przerwał mu zegarmistrz, po czym zmrużył chytrze powieki. – O niej?

– Co proszę?

– Powiedziałeś: „o niej”, chociaż miałeś na myśli ten obiekt, rodzaj męski. Coś ci się sypie narracją, Wołoszański.

– Ha! Chciałbyś. Sztolnia, mój drogi, czyli rodzaj żeński. Sztolnia za żelaznymi drzwiami. Tak mówili o niej świadkowie. Podobno...

Naraz Karolek urwał. Niemal fizycznie odczuł, jak entuzjazm odkrywców, który dotąd niósł go spiętrzoną, upojną falą, nagle runął,

rozbijając się z hukiem o twardą rzeczywistość. Zabolało. Ich też zaboli. Nie będą zachwyceni tym, co miał im do powiedzenia...

Sęk w tym, że wszystko się zgadzało. Wszystko. Szczegóły, które przez cały ten czas miał na wyciągnięcie ręki, choć nie umiał połączyć – ba! nie przyszłoby mu nawet do głowy, żeby to zrobić – w końcu same ułożyły się w logiczną całość. Wystarczyła ta jedna informacja, na którą natknął się przypadkiem, a którą teraz najchętniej by wyparł. Bo choć z jednej strony ostatecznie utwierdziła go w przekonaniu, że to coś więcej niż czysty zbieg okoliczności czy pobożne życzenia, że naprawdę natrafił na trop, który doprowadzi ich prosto do Ramzesa, to z drugiej... Z drugiej nie pozostawiała żadnych złudzeń, że nie będzie to droga ani trochę metaforyczna.

Chłopak odchrząknął, po czym podjął nieco zdławionym głosem:

– No więc podobno tuż przed ucieczką z tego rejonu Niemcy wprowadzili tam pod ziemię trzy tysiące więźniów. Naraz. Trzy tysiące ludzi, po których wszelki ślad zaginął.

Widział po ich twarzach, jak powoli trawili to, co usłyszeli z jego ust, jak przetwarzali słowa na myśli i podążali za nimi dalej i dalej, docierając tam, gdzie dotrzeć wcale nie chcieli.

Jedynie pani Matylda nie zbladła jak ściana za ich plecami. Nie zamknęła nawet oczu.

– Dopilnowali, żeby się obzarła – powtórzyła do siebie i pokiwała w zadumie głową.

Karolek odpowiedział jej tym samym. Cóż, przeprowadził rozumowanie, a teraz pozostało mu już tylko jedno. Podać właściwą odpowiedź.

– Ramzes jest tam, gdzie ćma. Próbuje ją powstrzymać, a sądząc po tym, co się dzieje... cóż, nie wychodzi mu to najlepiej. A ćma... myślę, że ćma jest tutaj.

Wszyscy nachylili się nad mapą, żeby zobaczyć, co takiego wskazał palec Karolka.

Niewielki czarny punkcik na zielonym tle, przecięty kilkoma różnobarwnymi liniami, a obok napis. Tak prosty, tak jasny, tak... oczywisty.

Ukryte na widoku.

Wielka Sowa.

– Dobra, brygado RR, mam dla was dwie wiadomości – oznajmiła Dżusi, stanąwszy w progu kuchni. – Mianowicie złą... oraz beznadziejną.

Ogarnięcie się zajęło jej kwadrans, i to licząc z makijażem, a i tak była gotowa pierwsza. Podczas gdy pozostali nadal szykowali się do wymarszu, ona wyszła na zewnątrz i dokonała dwóch istotnych odkryć, którymi uznała za stosowne się z nimi podzielić.

– Po pierwsze, możecie zapomnieć o samochodach – wypaliła bez ogródek. – Nie przejedziemy, ni chu... no. Wiadomo. Zasypało nas na amen, a ja mimo wszystko nie jeżdżę czołgiem... nad czym nieco ubolewam.

Nawet z odległości tych trzech czy czterech metrów dosłyszała, jak Gerd zgrzytnął zębami.

– ...rwa nać. I co teraz?

– Idziemy? – podsunęła Eleonora niepewnie. – Ile to będzie na piechotę? – Z tym pytaniem zwróciła się do Karolka, którego odruchowo zaczęli traktować jak chodzący atlas stron wszelakich. Nie zawiódł i tym razem.

– Stąd, z Jedliny? Do Wielkiej Sowy? – Rzucił okiem na mapę tej części Sudetów, która wciąż spoczywała na stole, i szybko oszacował odległość. – Sporo. Myślę, że jakieś cztery godziny z okładem. Grubym okładem – dodał. – I to w sprzyjających warunkach atmosferycznych, czyli... no, w każdym razie nie teraz.

– Dobrze. Znaczący, niedobrze, ale... A ta zła wiadomość?

– Och, to właśnie była ta zła. – Dżusi uśmiechnęła się kwaśno do siostry. – No więc tam, na zewnątrz... tak jakby... A, zresztą – machnęła ręką – co ja się będę produkować. Lepiej zobaczcie sami.

Skinęła głową w stronę okna.

Jak jeden mąż rzucili się we wskazanym kierunku – wszyscy z wyjątkiem pani Matyldy, która podźwignęła się niespiesznie z krzesła, gestem odrzuciwszy pomoc ze strony Dżusi, po czym przemierzyła kuchnię i bez pardonu puknęła najpierw Gerda, a potem Karolka laską w ramię, żeby się raczyli rozstąpić i odsłonić jej widok.

Świat na zewnątrz zamarł.

Płatki śniegu zastygły w powietrzu niczym namalowane, a razem z nimi światło wykluwającego się z wolna świtu. Gdzieś na skraju czerni

i bieli znieruchomiały postacie ni to ludzkie, ni to widmowe – echa, które coraz mocniej wypływały na powierzchnię, naznaczając teraźniejszość koszmarami przeszłości. Aż zadrżeli na ich widok, chociaż ciemność oszczędziła im szczegółów.

Jedynie Matyllda Bolesna z uznaniem pokiwała głową.

– No proszę – rzekła. – Kolejna sztuczka, której nie znałam.

– To sprawka Ramzesa?

– Ale co... ale jak... co?!

– Ramzes to zrobił? Naprawdę?

– Ale CO zrobił, do jasnej cho...

– Zatrzymał czas – odparła zwięźle moja. – Doskonale. Doskonale.

– Przepraszam, co zrobił?!...

– Ale... jak?! Po co?!

– To... to teraz już tak zostanie?...

Jedynie Gerd wzruszył ramionami, ignorując nieistotne drobiazgi i skupiając się na sednie sprawy.

– Dlaczego doskonale, pani Matylldo? – zapytał.

– Bo to znak, że Ramzes wciąż walczy z ćmą. A my wciąż mamy czas, żeby do niego dotrzeć.

Wróciła na swoje krzesło, a oni ruszyli za nią niczym skołowane szczeniaczki w ślad za stateczną panią matką.

Hubert Dobrzyń odchrząknął.

– Pani Matylldo... – zaczął z ociąganiem – nie chciałbym pani odbierać tej nadziei...

– Ale?

– Ale obawiam się, że nawet gdybyśmy dali radę podjechać w pobliże Wielkiej Sowy, to i tak nie wejdziemy na żadną górę. Nie w tym śniegu. Do roztopów utkniemy w zaspach.

– Ależ my nie będziemy wchodzić NA żadną górę, panie Hubercie. Będziemy wchodzić W górę.

– Halo! – Dżusi pomachała do starej profesorki. – Ziemia do pani Matylldy, to niczego nie zmienia! Nawet Gerd z Karolkiem nie przebrną przez ten śnieg więcej niż parę metrów, a są z nas wszystkich najwyżsi i najsilniejsi.

– A na dodatek nie mamy bladego pojęcia, gdzie znajduje się wejście do tego kompleksu – dodała cicho Eleonora.

– No cóż, nie bez powodu nikt go dotąd nie odnalazł – poparł ją natychmiast Hubert. – Masyw Wielkiej Sowy jest naprawdę rozległy.

– Czy ja wiem? – Dżusi obrzuciła starszą siostrę zamyślonym spojrzeniem. – Mogłabyś... no wiesz. Pójść i sprawdzić.

Eleonora uniosła gotycką brew.

– A potem co, przepraszam? Zacząć kopać?

Pani Matylda westchnęła wymownie, przewracając oczami.

– *Nemo sapiens nisi patiens...* – mruknęła do siebie.

– Co? – zapytali chórem.

– Nikt nie jest mądry, jeśli nie jest cierpliwy. Dzieci, pozwolę sobie zauważyć, że droga do wnętrza Wielkiej Sowy znana jest nam od dawna.

– Jest? – zdziwił się Dobrzyń.

– Owszem. Osobiście ją pan odkrył, panie Hubercie, pan we własnej osobie, i to na samym początku tej, pożał się Boże, przygody.

– Odkryłem?...

– Własnoręcznie, panie Hubercie, choć zapewne obecna tu Justyna ujęłaby to dosadniej.

Wywołana do tablicy Dżusi znieruchomiała pod naporem wyczekujących spojrzeń. Aż naraz skojarzyła.

– Dziura!!! – wrzasnęła. – Dziura w dupie! Znaczy, dupa w dziurze! – poprawiła po krótkim zawahaniu.

Ten ułamek sekundy wystarczył, żeby jej siostra także dodała dwa do dwóch. Z błyskiem w białych oczach odwróciła się do Huberta.

– Mówiłeś, że tam coś było! W Jedlince! – dodała, bo wyraz jego twarzy dobitnie świadczył o tym, że mężczyzna wciąż nie kojarzył, o czym w ogóle mowa. – Pod tymi deskami, które pod tobą pękły, jakiś szyb albo korytarz. Albo...?

– Albo tunel...

– Czekajcie, czekajcie! – Gerd próbował ostudzić ich entuzjazm. – Równie dobrze to mógł być zwykły piwniczny korytarz. Albo ten tunel uciezkowy, o którym mówił nam przewodnik w Grodnie.

– Nie. – Hubert potrząsnął głową, choć trudno było określić, czy w ten sposób zaprzeczał temu, co powiedział zegarmistrz, czy raczej opędał się od myśli, które w innych okolicznościach z miejsca odrzuciłby jako niedorzeczne. – Dupa w dziurze przydarzyła mi się na południe od pałacu. Tunel uciezkowy na Grodno biegłby raczej od innej strony. Już prędzej szukałbym go od północy. Albo na dziedzińcu – dodał olśniony. –

Wiecie, w latach sześćdziesiątych operator koparki przypadkiem dokopał się tam do fragmentu jakiegoś tunelu, który...

Matylda Bolesna nie pozwoliła mu rozwinąć tej myśli.

– A co jest pod samym pałacem?

– To zależy. Pod północnym skrzydłem są piwnice, Niemcy zaadaptowali je na schron przeciwlotniczy, z gazoszczelnymi drzwiami i tak dalej. Ale pod skrzydłem południowym... tam nie ma niczego. Żadnych piwnic. Rany boskie... – Dobrzyń złapał się za głowę. – Nie, nie, chwila. Chwila! Spokojnie. Nie wiemy nawet, czy te tunele, pod Jedlinką, pod Wielką Sową, czy one w ogóle kiedykolwiek się ze sobą łączyły...

– Wiemy – ucięła pani Matylda.

– Wiemy?... Aha. A to ciekawe... Zaczynam odnosić wrażenie, że my chyba wiemy wszystko, tylko, bo ja wiem? Wypieramy?

– Och, może nie wszystko – przyznała – ale z pewnością dużo więcej, niż się panu wydaje. Wystarczy poskładać tę rozsypaną mozaikę. Skoro w Jedlinie mieściło się biuro projektowe Organizacji Todta, musiało istnieć bezpieczne przejście między tym budynkiem a kompleksem Riese. Jakiś korytarz komunikacyjny, chociażby na wypadek nalotów. Obaj najlepiej poinformowani w temacie, i Dalmus, i Ramzes, dobrze wiedzieli, że ćma może się łatwo przedostać ze swego leża aż tu, do porcelanowego pałacu. Na żer. Dlatego Dalmus tak panicznie bał się o dzieci. Nie jakiegokolwiek dzieci, tylko o konkretne. Z domu dziecka w Jedlinie.

– A skoro ta cholerna ćma mogła się dostać tymi tunelami ze swojego leża aż do Jedlinki...

– ...to my możemy się nimi dostać do ćmy – dokończyła Eleonora.

– Tylko że to nie jest takie proste, gwiazdeczko – wtrącił Gerd. – Sieć tuneli Riese musiała liczyć dziesiątki kilometrów, jeśli nie więcej.

– Och, dużo więcej. Naprawdę dużo. – Dobrzyń nie miał co do tego żadnych złudzeń. – Wielu odkrytych korytarzy nie zbadano z powodu ich długości. Teraz zapewne są zasypane albo zalane. Możemy błądzić pod ziemią godzinami, w ciemności, i nigdy nie dotrzeć do celu.

W odpowiedzi pani Matylda splótła dłonie na główce dębowej laski i uśmiechnęła się z pobłażliwością, od której ogarnęło go osobliwe przeczucie, że zaraz dostanie zadanie domowe dla chętnych.

– Sądząc po tym, jakie widma najliczniej wypłynęły w Jedlinie na powierzchnię – zaczęła tym samym tonem, jakim uświadamiała uczniom, ile byków zdołali wcisnąć do odmiany zaimka osobowego *nos, nostri*,

nostrum – myślę, panie Hubercie, że te tunele najprawdopodobniej będą w takim samym stanie jak w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym i piątym roku, kiedy to w porcelanowym pałacu mieścił się hitlerowski rewir.

– Ale równie dobrze mogą być w stanie z roku czterdziestego dziewiątego, kiedy zaginął Jurek, prawda?

– Prawda, ale właśnie wtedy poruszał się nimi Ramzes – zwrócił uwagę zegarmistrz. – Czyli przynajmniej na odcinku od leża do pałacu tunel musiał być drożny, musiało tam być dość miejsca dla dorosłego... no, dla istoty rozmiarów dorosłego człowieka.

– A dzięki anomalii czasowej my, bez względu na to, czy otrzemy się o rok czterdziesty piąty, czy czterdziesty dziewiąty, również zdołamy się tamtędy przedostać – podsumowała moja. – Innymi słowy, wykorzystamy tę anomalię na naszą korzyść.

– Sprytne – przyznał Gerd. – Czapki z głów, pani Matyldo. Czapki z głów.

Hubert Dobrzyń na dobrą minutę pogrążył się w zadumie.

– Tylko jak znajdziemy drogę? – zapytał, skończywszy analizować dane. – Nie znamy dokładnego przebiegu trasy z Jedlinki pod Wielką Sowę. Nie istnieje coś takiego jak jedna mapa całego Riese, na której widniałyby te tunele. Mało tego, nie zachowały się nawet fragmentaryczne mapy poszczególnych kompleksów! Wszystko zostało zniszczone.

– Do tego potrzebujemy trzech osób. Karolka z kompasem, Eleonory z jej darem – oraz mnie.

– Z pani biodrem?

– Może ja na szybko streszczę koncepcję, która nam się tu kluje – wtrącił Gerd, zanim najstarsza kobieta wbiła tę najmłodszą w podłogę samą intensywnością spojrzenia. – Zamierzamy przedostać się stąd do Jedlinki, na piechotę, przez wysokie zasy, następnie nieustalonym jeszcze sposobem, zapewne cudownym, opuścić się pod ziemię przez dziurę po Hubercie, przemierzyć kilometry podziemnych korytarzy aż do leża ćmy, tę ćmę zaciukać... jakoś, uratować Ramzesa, po czym jak najszybciej wrócić na powierzchnię, zanim czas wróci na swoje miejsce i zasypie nas ponurą teraźniejszością w postaci ton gruzu, wody bądź hej, czemuż by nie jednym i drugim.

– Nie inaczej – odparła pani Matylda jak gdyby nigdy nic.

– A jeśli się przeliczyliśmy? Mimo wszystko? Jeśli przejścia nie będzie?
– *Aut viam inveniam, aut faciam*. Nic? Nic nie dzwoni? „Albo znajdę drogę, albo ją sobie utworzę”. Hannibal.

– Lecter?...

– Barkas, święci pańscy... Przy czym nam, oprócz wskazań kompasu i Karola, tę drogę wskazywać będzie Ramzes. Czy znasz może kogoś innego poza mną, kto potrafiłby go wyczuć?

– Do diabła z Ramzesem – warknął Gerd. – Nie zgadzam się, nie może się pani tak narażać.

– Bo co? Bo, nie daj Boże, umrę? – W jej żółtych oczach błysnęła przekora. – Mam osiemdziesiąt sześć lat, drogi chłopcze. I jestem mojrą. Trzeba czegoś więcej niż śmierć, żeby zrobić na mnie wrażenie.

Popatrzyła po ich twarzach, czytając w nich jak w otwartej książce.

– Może teraz ja streszczę wam pewną koncepcję. Póki Ramzes walczy, póty jest szansa, że pokonamy ćmę. A wraz z ćmą zniknie pętla, zniknie anomalia, nade wszystko zaś znikną tamte widma. – Wskazała na okno, za którym, w oddali, na granicy cienia majaczyły zastygłe postacie. – Koszmar, którego ludzkość wciąż nie pojmuje ani sercem, ani rozumem, pozostanie w przeszłości. Jeżeli nie zdążymy, jeżeli Ramzes umrze i ćma się wyzwoli... moje pęknięte serce będzie naprawdę niczym w porównaniu z tym, co się tu rozpęta. Dlatego żadnych dyskusji. Przesądzone. Znajdę Ramzesa i jeśli będzie w nim choćby iskra życia, wywlokę go z tej przeklętej góry.

– I co wtedy?

– Wtedy, moja droga Justyno, przetrzepię mu ten chudy, scytyjski tyłek tak, jak należało go przetrzepać dobrych tysiąc pięćset lat temu, żeby nabrał choć trochę rozumu.

– Chcę to zobaczyć – szepnęła Dżusi, urzeczona wizją. – Totalnie.

– Czyli co? – Eleonora popatrzyła najpierw na młodszą siostrę, podekscytowaną wizją, którą zaszczepiła w niej pani Matylda, potem zaś na pochmurnego Gerda. Nie był zachwycony tym, co usłyszał, ale też nie za bardzo dostrzegał chyba inne wyjście. – Naprawdę idziemy po Ramzesa przez dziurę po Hubercie?

– Oczywiście, że idziemy – odparła Dżusi bez zastanowienia. – No? Co się tak gapicie? Idziemy i już, tak jak poszliśmy po ciotkę i El. Jesteśmy jak pieprzona armia amerykańska, nie zostawiamy nikogo na polu walki!

– Ale... – zaczął Gerd, urwał jednak natychmiast.

– No? Ale co?

– No wiesz. Przecież to Ramzes, prawda? – Uśmiechnął się do niej przekornie.

– No i? Skoro nawet taki skurczybyk jak on zdobył się na ludzki odruch, to ja chyba też mogę, co nie?

– A nie, no pewnie. Jasne. Czemu nie.

– No. Czyli postanowione. Zbieramy manatki i idziemy się zabić. Ale zanim pójdziemy... – Zerknęła kątem oka na Karolka, który uśmiechnął się, przyprawiając ją o nagły rumieniec. – Chyba najpierw powinniśmy pogadać.

– Co?...

Tuląc do piersi wyładowany po brzegi plecak, Karolek siedział na łóżku i wpatrywał się w narzeczoną niczym ciele w malowane wrota. Słyszał słowa, które nieustająco spływały z jej ust rwącym potokiem, porywając wszystko, co napotkały na swojej drodze, resztę zaś zrównując z ziemią, lecz ich sens chyba nie do końca do niego trafiał.

– ...i żeby to było jasne jak słońce – ciągnęła tymczasem Dżusi, nie zwracając sobie zbytnio głowy przerwami na oddech – to jest wyłącznie moja decyzja, chociaż jeszcze jej nie podjęłam, ale kiedy ją podejmę, to zrobię to całkiem sama, oczywiście uwzględniając twoje uczucia, żeby nie było, że ich nie szanuję, bo szanuję, ale umówmy się, moje są bardziej moje, więc sam rozumiesz, a poza tym nie chcę cię absolutnie do niczego zmuszać, rozumiesz, absolutnie nie czuj się do niczego zmuszany, bo jeśli się poczujesz, to powiesz, że ty chcesz tego dziecka, że chcesz ze mną zakładać rodzinę, że na pewno sobie poradzimy, najwyżej będziemy żyć powietrzem i srać tęczę, właśnie tak powiesz i tak właśnie zrobisz, ja ciebie znam, będziesz odpowiedzialny, będziesz harował, rzucisz studia, poświęcisz karierę, wszystko bez słowa skargi, z uśmiechem na ustach, a za pięć czy dziesięć lat zrozumiesz, że jesteś nieszczęśliwy, tak bardzo nieszczęśliwy, że w końcu nie wytrzymasz i odejdziesz, zostawisz nas, a wtedy ja... wtedy ja... ja chyba...

Urwała, bo od hamowanego płaczu podbródek drżał jej już tak bardzo, że zaczynała przydzwaniać sobie zębami do taktu, jakby to były kastaniety.

Doszczętnie osłupiały Karolek osłupiał jeszcze bardziej. Jego życie właśnie wywróciło się do góry nogami, a teraz na dodatek postanowiło pozostać w tej pozycji. Płacząca bezradnie Dżusi zupełnie nie mieściła mu się w światopoglądzie.

– Titku? Dlaczego... ale dlaczego ty płaczesz, Titku?

– Bo ja nie chcę, żebyś nas zostawiaaaaaaaał...

– Ale ja się nigdzie nie wybieram, Titku! – zapewnił gromko i bez wahania porzucił plecak na rzecz narzeczonej. – Słyszysz? Słyszysz, Titku?

– Sły... słyszę... – wymamrotała z twarzą wciśniętą w jego polar.

– Znaczący, wybieram się, do podziemnego leża ćmy się wybieram, ale to tylko tak na chwilę, i...

Nagle Dżusi odepchnęła go tak, że z impetem przysiadł na łóżku, tuż obok porzuconego plecaka.

– O! O! – powtórzyła buńczucznie, wbijając palec w pierś Karolka. – Tylko nie myśl sobie, że mi teraz zabronisz iść podziemnymi tunelami przez nazistowski kompleks z czasów drugiej wojny światowej na ratunek krwiożerczemu strzygoniowi, bo jestem w jakiejś głupiej ciąży!!!

– Na litość boską, Titku, dlaczego ja miałbym ci czegoś zabraniać?! – zapytał z bezbrzeżnym zdziwieniem. – Czy ty mnie masz za samobójcę?!

Dżusi stropiła się, bo rzeczywiście, rzadko się zdarzało, by Karolek stawał na drodze jej dynamicznemu podejściu do życia – raczej trzymał się z boku, żeby nie oberwać rykoszetem, i po cichu, konsekwentnie robił swoje.

Patrzyła teraz na ten prawie dwumetrowy kłębek emocji, wstrząśnięty i zmieszany do głębi swego jestestwa, i zalała ją fala czułości, o jaką nigdy by siebie nie podejrzewała. Tak, Karolek był zatrwająco upierdliwy z tym swoim zapałem do turystyki pieszej, do kontaktu z naturą albo, co gorsza, kontaktu z człowiekiem. Był też konsekwentny, cierpliwy, zorganizowany, a przy tym nieustannie zachwycony światem i tego świata złąkniony, czym potrafił wykończyć każdego. Był... no cóż, po prostu Karolkiem. Uczciwym, ogarniętym, fajnym facetem, na którego zawsze mogła liczyć, nawet kiedy przyszło jej przeprowadzić się w czasie i rozprawiać z tajemnicami swej popapranej rodzinki, a do tego miał serce na dłoni, mapę w głowie i takie cudne oczy, i uśmiech, od którego coś jej się w środku robiło, coś cudownego i strasznego zarazem, jakby kiełkowało w niej dojmujące pragnienie, żeby te oczy i ten uśmiech

odziedziczyła cała horda ich równie upierdliwych, popapranych dzieci i może jeszcze pies do kompletu...

Jęknęła w duszy. Cholerne ciążowe hormony...

– O... o czym myślisz, Karolku? – ośmieliła się bąknąć, kiedy milczał uparcie, na dodatek z dziwnym wyrazem twarzy.

– Szczerze? Zastanawiam się, jak będzie po niemiecku „nosidło turystyczne”, moje Das Allegro wciąż nie ogarnia polszczyzny...

– Na litość boską, na co ci nosidło turystyczne?!

– Och, Titku, bądź poważna. – Otaksował ją wzrokiem tak oburzonym, jakby mu właśnie zaproponowała, żeby wspiął się na Giewont w sandałach. – Przecież nie będę dziecka w zębach po górach nosił!

Zamrugła, żeby odpędzić łzy, które już napływały jej do oczu.

– Z tym zakupem to chyba możemy się jeszcze wstrzymać, co?

– Racja. Za rok mogą wejść zupełnie nowe modele. – Czy sprawiła to myśl o postępie technologicznym w branży niemowlęcych nosideł, czy też perspektywa wspólnej wyprawy w nieznane, które zawsze było jego ulubionym celem podróży, Karolek uśmiechnął się serdecznie do narzeczonej. – To co? Idziemy?

I wtedy Dżusi ogarnęło straszliwe przeczucie.

– Będiesz jednym z tych ojców, którzy współodczuwają bóle porodowe, prawda?

– Chyba nie masz co do tego większych złudzeń, co? – odparł z przekąsem, po czym odetchnął i podjął już poważniejszym tonem. – Ale będę też jednym z tych ojców, którzy wiedzą, gdzie leżą pieluchy, przez pół nocy masują obolały brzuszek, smażą naleśniki na sobotnie śniadanie i robią najbardziej epickie pierdziochy świata. Serio. A przynajmniej będę się bardzo starał, bo chwilowo nie mam pojęcia, jak to w ogóle ogarnę... Ale ogarnę! A teraz głowa do góry, Titku. I lepiej zacznij się oswajać z myślą, że cokolwiek nas czeka, zgłębianie podziemnych nazistowskich tuneli czy mycie obesranego tyłka, tkwimy w tym razem, po uszy. Hm. Znaczy, ty tkwisz po uszy, bo ja, no wiesz... Chociaż czekaj, może gdybym przykucnął...

W końcu dopiął swego – Dżusi nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Wyciągnęła z kieszeni wymiętoszoną chusteczkę i wytarła nos.

– Moja matka przeprawiała się, kiedy była ze mną w ciąży, wiesz? Ten dzieciak chyba już ma poważnie przesrane.

– Z naszymi genami? No ma. Życie.

– Wiesz, o czym mówię.

– Wiem, Titku. – Przytulił ją raz jeszcze i cmoknął w czubek głowy. – A teraz chodźmy. Czas nie zaczeka.

Na dole zobaczył Eleonorę. Stała przed drzwiami pensjonatu i czekała na resztę, w głębokiej zadumie zapatrzona w ciemny kąt przedsionka, jak gdyby jakieś czarne myśli opadły ją w pół kroku i pochłonęły bez reszty. Uniosła rękę i zaczęła wyciągać przed siebie, ostrożnie, bez pośpiechu, niczym ktoś, kto próbuje obłaskawić spłoszone zwierzę, kiedy usłyszała za sobą poruszenie. Drgnęła i obróciła się w stronę schodów. Wystarczył jej rzut oka, żeby zrozumieć, co Hubert Dobrzyń zamierzał jej powiedzieć.

– Zostajesz.

Przytaknął milcząco. Cóż. Trudno, żeby wysnuła inny wniosek, widząc go tu w kapciach.

– Nie czujesz się na siłach czy...?

– Nie, nie. Nie o to chodzi. Nie o to. – Odchrząknął i w końcu zebrał się w sobie, żeby spojrzeć Eleonorze w oczy.

Chyba pogodziła się ze zmianą, jaka w niej zaszła, a może po prostu przestało ją obchodzić, co powiedzą ludzie, bo dała sobie spokój z chowaniem się za ciemnymi okularami. Odbarwione tęczęwki zdawały się lekko opalizować, czym odróżniały się od białek, niesamowicie kontrastując z czernią źrenic, rzęs i włosów. Czerń i biel, kruchość i zarazem siła skupione w jednej, tak niepozornej postaci... Przez pierwszy tydzień mijali się w pensjonacie, ot, sąsiedzi dzielący tę samą ścianę i kilka zdawkowych słów – dzień dobry, dobry wieczór, ależ proszę, och, dziękuję. Nic więcej, sądził ją więc po ubraniu, po ruchach, oszczędnych i precyzyjnych, po wyprostowanej sylwetce i nieco sztywnym sposobie bycia. Nauczycielka? Bibliotekarka? Aż tamtego dnia, w kawiarni, zaprosiła go do swojego stolika. Zagaiła. Zaskoczyła. Poczuł przez skórę, że ta młoda kobieta o urodzie nieoczywistej, niedzisiejszej, a mimo to intrygującej, sprawi mu niespodziankę, ale nie przypuszczał nawet, że będzie to niespodzianka takiego kalibru. Że młoda, krucha Eleonora widziała i robiła rzeczy, którym on, facet w sile wieku, nie potrafił stawić czoła, bo go zwyczajnie przerastały. Jak teraz.

– Wiesz, przez te lata przerabiałem w głowie wszelkie możliwe scenariusze – zaczął po chwili. – Może ktoś Jurka zabił? Może zabił się sam? Może miał wypadek? Albo natknął się na wilki czy oddział Werwolfu? A może rzeczywiście zostawił brata i uciekł z domu dziecka, tak jak ostatecznie przyjęła milicja? Chyba... chyba najbardziej przerażała mnie wizja, że ktoś go porwał i skrzywdził tak, jak dziecka krzywdzić nikt nie powinien. Nie mam dzieci, ale przy czymś takim nawet długa agonia gdzieś w jakimś głębokim dole, z połamanymi kończynami, z dala od ludzkich uszu, które by usłyszały wołanie o pomoc, wydawała mi się łaskawą, łatwą śmiercią. O ile śmierć w ogóle może być łatwa – dorzucił, żeby nie zrozumiała go źle. – Może dlatego za najbardziej prawdopodobny scenariusz przyjąłem, że Jurek po prostu wpadł do jakiejś dziury, do jakiegoś poniemieckiego szybu i zginął? Tak... po prostu? Bo widzisz, Eleonoro, Góry Sowie są... są piękne. Przepiękne, nie ma drugich takich na całym świecie, z takimi lasami, z taką... taką aurą. – Uśmiechnął się blado do Eleonory, zapatrzony w jej niesamowite oczy. I jakby na przekór temu, co mówił Gerdowi, poczuł delikatne ukłucie żalu. – Ale są też niebezpieczne, a do tego... złowrogie. Tak. Złowrogie. W sposób, którego aż dotąd nie pojmowałem, chociaż wiem, co tu się wydarzyło. Jakby... zabrzmiało to kiczowato i nedorzecznie, ale jakby nawet w piękny, słoneczny dzień były spowite cieniem.

– Ziemia pamięta – rozległo się za plecami Dobrzynia. Odwrócił się. Na schodach stała pani Matyllda, w płaszczu i pożyczonych glanach, wsparta na dębowej lasce. Tym razem stanowczo podziękowała za kijki. Jeżeli miała zgłębiać nazistowskie podziemia, wyjaśniła zawiedzionemu Karolkowi, to tylko z solidnym kawałkiem drewna w garści. – Nawet gdy braknie już ludzi, którzy ujęliby tę pamięć w uchwytnie słowa, ziemia wciąż pamięta, czym przesiąkła. Tak wielkie cierpienie nigdy nie znika bez śladu.

– Przytłaczająca perspektywa – podsumował Hubert, a do Eleonory dotarło, jak trafnie te dwa słowa oddawały jego obecny stan.

– Tak. – Pani Matyllda skinęła głową. – To prawda.

– Wiecie, prześledziłem chyba każdą z legend i teorii spiskowych, jakie powstały na temat Riese, tajemnic Gór Sowich i porcelanowego pałacu, ale... – Urwał i zaśmiał się, chociaż wcale mu nie było do śmiechu. – Ale nigdy nie przypuszczałem, że prawdziwa okaże się ta najbardziej nedorzeczna. O potworze. O strzygoniu z lasu, który pożarł Jurusia.

A teraz, kiedy już wiem, co się stało... chyba boję się to zobaczyć na własne oczy. – Odchrząknął. – Cóż. Opisałem panu Karolowi, gdzie ma szukać tamtej dziury. No i gdzieś tam wciąż leży mój telefon, może uda mu się go namierzyć. Wiem, że przydałbym się wam tam, pod ziemią, ale...

– Każdy ma swoje granice – ucięła starsza kobieta. Ani w jej głosie, ani w postawie nie było nawet cienia przygany.

Mimo to Dobrzyń wciąż czuł się winny.

– Przepraszam. Przepraszam, wiem, że to wszystko w zasadzie przeze mnie i moich krewnych, ale...

– Każdy ma swoje granice – powtórzyła łagodnie Eleonora. – Rozumiemy.

– Pan już i tak zrobił wiele, panie Hubercie – dodała pani Matylda. – A poza tym – uśmiechnęła się do mężczyzny z przelotną kpina – przyda się ktoś, kto zostanie na miejscu i w razie potrzeby oficjalnie zezna, że ni stąd, ni zowąd naszło nas na wspólną przechadzkę po górach w samym środku kilkudniowej zimy.

– W razie potrzeby? – powtórzył Hubert niepewnie. Dopiero po chwili dotarło do niego, co miała na myśli. – Och. Och, nie, pani Matyldo, na pewno nie...

– Proszę się nie łudzić.

Parę minut później pożegnali się bez zbędnych słów i jedno za drugim wyszli z pensjonatu prosto w półmrok przedświtów – jej przodem, wsparta na ramieniu zegarmistrza, tuż za nimi Dżusi opędzająca się od Karolka. Eleonora zatrzymała się w progu i popatrzyła za siebie.

– Wrócę – rzuciła półgłosem. – Wrócę do ciebie, dobrze?

Hubert Dobrzyń obejrzał się przez ramię.

– Co proszę?

Ale drzwi pensjonatu już zamknęły się za jasnooką dziewczyną. A mężczyzna na schodach dopiero po chwili uświadomił sobie, że wcale nie mówiła do niego.

Trzy kilometry.

Trzy kilometry, czyli trzydzieści minut marszu – a przynajmniej tak głosiła teoria. Praktyka zaś dokładała od siebie zaspę, zgęstniały czas oraz

osiemdziesiąt sześć wiosen Matyldy Bolesnej i mówiła: przebijam.

– Wiesz co, El? – wysapała w pewnym momencie Dżusi. Starali się trzymać wciąż wyraźnego żlebu, jaki w zaspach na szosie pozostawiło bmw, lecz i tak poruszali się w iście żółtym tempie, z narastającą nadzieją wypatrując zjazdu na porcelanowy pałac. – Może następnym razem weź się zakwateruj ciut bliżej epicentrum, żebyśmy nie musieli tyle łazić w tę i nazad, co?

– Och, jasne – odparła Eleonora z taką lekkością, że Gerd z miejsca nadstawił uszu, węsząc dramę. – Wiesz co? Hubert wspominał, że pod koniec kwietnia w jednym z zabudowań gospodarczych, tym najdalej od pałacu, otwierają hotel. W planach podobno mają też browar. Będzie gdzie na bieżąco zapijać smutki po kolejnym spotkaniu z widmami więźniów z nazistowskiego rewiru, prawda?

– Tak tylko proponowałam... – odburknęła jej młodsza siostra. – Jezu, El, co ty taka drażliwa?

– To może przestań proponować i lepiej naucz się w końcu jeździć tym czołgiem.

Przeszli przez Jedlinę-Zdrój, spowitą śniegiem i ogarniętą martwością. Wysoko nad nimi czerniły się górskie masywy. Na tle nieba przypominały spiętrzone fale, które lada moment runą, porywając i miażdżąc wszystko, co napotkają na swojej drodze. Choć starali się nie rozglądać, wzrokiem co rusz mimowolnie wyławiali z szarości przedświtów postacie, które nie przynależały już do tego czasu i świata, a mimo to wypływały z powrotem na jego powierzchnię, wyłaniały się, jeszcze rozmyte, jeszcze zastygłe – lecz nie na długo. Nie na długo.

Tym razem nie przeszli bezpośrednio przez dziedziniec porcelanowego pałacu. Zamiast tego odbili w prawo i ominąwszy wyremontowany budynek przyszłego hotelu, ruszyli łukiem od południa, w kierunku zaśnieżonego pola. Karolek szedł przodem, próbując według wskazówek zlokalizować miejsce, w którym Hubert nieomal zapadł się pod ziemię.

Po kilkunastu metrach przystanął.

– Dobra, to może spróbujemy inaczej. – Rozpiął kurtkę i wysupłał z wewnętrznej kieszeni telefon komórkowy.

– Dzwonisz po pogromców duchów?

– Nie. Tamtej nocy Hubert zgubił gdzieś tu swoją komórkę.

– I ty serio liczysz, że ona jeszcze działa, tak? – Gerd ani myślał kryć się ze zwątpieniem, jakie budził u niego ten pomysł.

– Nie liczyłbym na nic, gdyby chodziło o zwykłego smartfona. Na szczęście wiem, jaki model preferuje nasz drogi Hubert, prywatnie wielbiciel bluesa i długich górskich wędrówek.

– Jaki?

– Pancerny. Wiesz, jeden z tych, które w ramach testów wytrzymałościowych producent zrzuca z wysokości, ostrzeliwuje ostrą amunicją, zalewa betonem, rozjeżdża, topi w kąpeli z pianą albo daje do zabawy zgrai nadpobudliwych trzylatków. Ach, standard militarny MIL-STD-810G... – westchnął z rozmarzeniem.

– Chcesz taki telefon pod choinkę, co? – Dżusi domyśliła się w lot.

– A mógłbym?...

– W sumie czemu nie? Zawsze to jakaś odmiana po kolejnej pizamie i skarpetkach, które pewnie znowu dostaniesz od matki. Ja tobie kupię pancerny telefon, a ty mi kupisz pancerny czołg.

– A wiesz, znam jeden całkiem niezły demobil! – odparł Karolek, wybierając numer Dobrzynia, który zawczasu zapisał w pamięci swojej komórki. – No dobra, brygado RR. Test odpornościowy telefonu na uderzenie, wilgotność i niską temperaturę powyżej czterech godzin za trzy... dwa... jeden...

Wcisnął zieloną słuchawkę i wstrzymał oddech, a razem z nim cała reszta.

Minęła sekunda.

Dwie.

Pięć.

Dziesięć.

Lecz na polu nieprzerwanie panowała absolutna cisza.

Gerd Falk odchrząknął znacząco.

– Nie żebym nie podzielał twojej wiary w militarne standardy wytrzymałości – zwrócił się półgłosem do wyraźnie rozczarowanego Karolka – ale wzięłeś w ogóle pod uwagę, że może razem z czasem zatrzymał się również sygnał GSM? Albo że w roku czterdziestym piątym, który nam tu przebija, sygnał GSM tak jakby jeszcze nie hulał?

– O. No... no nie wzięłem – przyznał chłopak.

– No to co teraz? – zapytała Dżusi.

– Rozwiążemy to analogowo, jak ludzie pierwotni. – Gerd ściągnął plecak i zaczął intensywnie grzebać w głównej kieszeni.

– Czyli?

– Czyli bierzemy po latarce i idziemy szpalerem. Tylko rozglądajcie się uważnie i przede wszystkim – błagam, patrzcie pod nogi. Dosłownie.

Jedną latarkę zatrzymał dla siebie, drugą, pożyczoną od Huberta, wręczył Eleonorze i dopilnował, żeby dla bezpieczeństwa od razu wsunęła pasek na nadgarstek. Karolek tymczasem, uzbroiwszy się w czołówkę, właśnie prezentował narzeczonej możliwości sporych rozmiarów szperacza, o wiele mocniejszego niż jej kieszonkowa latarka.

Najstarsza uczestniczka wycieczki zerknęła z ukosa na Gerda.

– A gdzie moja latarka?

– Pani nie potrzebuje swojej latarki.

– Gdyż?

– Gdyż pani idzie w parze ze mną, pani Matylde – odparł i szarmancko podsunął jej ramię. – Bez dyskusji.

– Cóż za stanowczość.

– Hej, pracuję z Ramzesem. Wypracowałem sobie parę mechanizmów obronnych.

Rozdzielili się i wwiercając się w półmrok snopami bladego światła, zaczęli przemierzać pole.

Pani Matylde jakby czekała na ten moment.

– Czy to moje pobożne życzenie, Gerardzie – zagaiła, kiedy pozostali znaleźli się na tyle daleko, by nie doleciały ich nawet strzępy tej rozmowy – czy też darowałeś sobie dalsze anse?

– Chyba nie za bardzo miałem inne wyjście, co? – mruknął. Zamiast stąpać niczym żuraw na stażu w ministerstwie głupich kroków, brnął wprost przez zasy, żeby utorować przejście starszej pani. Po kilku metrach już czuł śnieg za cholewką zimowych traperów. – Eleonora kopnęła mnie w dupę, aż straciłem czucie w pośladkach. Tak, wiem, tu nie chodzi o mnie.

– Poniekąd chodzi – sprostowała pani Matylde. – Eleonora zrozumiała już coś, czego ani ty, ani Klara wciąż nie pojmujecie. Chociaż powinniście.

– Że związki na odległość są przereklamowane?

– Że pielęgnowany ból ma niewyobrażalną, destrukcyjną moc i nie rodzi niczego poza dalszym bólem. Eleonora w nim wyrastała i mimo to znalazła w sobie dość siły, żeby się pozbierać i przerwać tę sztafetę pokoleń, jak to raczyłeś swego czasu ująć. A teraz robi coś, na co Klara

niestety nie zdołała się dotąd zdobyć. Nie mówiąc już o tobie, drogi moczymordo.

– Próbuje zapomnieć?

Pani Matylda pokręciła głową.

– Zapomnienie, o ile przychodzi, to przychodzi samo. To wyłącznie kwestia czasu. Nie. Myślę, że Eleonora próbuje wybaczyć. Tym, którzy ją skrzywdzili, ale przede wszystkim samej sobie. Ty, drogi chłopcze, jesteś wyłącznie przypadkową ofiarą tego procesu.

– Cóż za bezpośredniość.

– Hej, ja również pracuję z Ramzesem.

Gerd Falk westchnął ciężko, przeciągle.

– Podsumowując, chce mi pani przekazać, żebym zebrał tę moją poobijaną dupę w troki i przestał się nad sobą uzalać.

– Żyję z poczuciem winy od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Nie polecam. Rozumiem imperatyw, ale nie musisz ratować Eleonory. Ona nie jest ani kruchą laleczką z porcelany, jak mogłoby się wydawać, ani lebiegą, która co pięć minut przeprosza za swoje istnienie. Doskonale ratuje się sama.

– Fakt.

– Wybacz jej, wybacz ojcu, dopij ostatnią butelkę i skup się na ratowaniu siebie. Inaczej ten ból będzie cię toczył za życia, aż w końcu zaczniesz nim зараżać innych. I staniesz się wyborną karmą dla ćmy.

Gerd otworzył usta, żeby zaprzeczyć, powiedzieć, że nie, że był jeszcze ktoś, kogo musiał uratować najpierw, kiedy gdzieś z prawej dobiegło ich wołanie.

Znaleźli.

Mimo intensywnych opadów dziura po Hubercie wciąż ziała pośród bieli. Odgarnęli świeży śnieg na boki i odsłoniли sterczące zewsząd pozostałości desek. Gdy już wyłamali je do końca, żeby maksymalnie poszerzyć otwór, Karolek zajrzał do środka, przyświecając sobie szperaczem.

– No, to mi raczej nie wygląda na zwykłą piwnicę ani nic takiego – ocenił. – Raczej na tunel uciezkowy. Albo jakąś inną drogę ewakuacyjną.

– Bo?

– Bo regularny piwniczny korytarz, Titku, albo tunel techniczny zapewniałby dorosłemu człowiekowi jako taką swobodę ruchów. Czyli byłby dużo wyższy i szerszy. A ten tutaj, pod nami, jest dość niski i wąski,

co może nie ułatwiało szczególnie dynamicznej ucieczki, za to z pewnością utrudniało pogoń. A to już połowa sukcesu. – Karolek rozejrzał się ostatni raz, po czym wstał i oddawszy szperacz Dżusi, otrzepał się ze śniegu.

– Tunel uciezkowy z Jedlinki powinien chyba biec od drugiej strony pałacu, na północ – zauważyła Eleonora.

– Ten na Grodno, owszem, powinien – zgodził się Karolek.

– Czyli co, drugi tunel uciezkowy? – zapytała Dżusi, na co Gerd z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Najpierw mnożące się łyżeczki, a teraz tunele? Nie za dużo tego dobrego jak na jeden pałac?

– Raczej bezpieczny łącznik między główną siedzibą inżynierów a samym kompleksem – oszacowała pani Matylda. – Tak na wypadek alianckich nalotów, przypominam.

– Dobra, brygado RR! – Karolek klasnął z werwą, jakby chciał tym gestem dodać im animuszu. – Tunel czy nie, Hubert niepotrzebnie aż tak spanikował, tu nie jest zbyt wysoko. Karku raczej nie skręćcie, prędzej kostkę, dlatego sugerowałbym, żebyście nie brali rozpędu, tylko zsunęli się statecznie w dół. Idę pierwszy i przejmę od was panią Matyldę. Gerd schodzi ostatni.

Jedno za drugim ostrożnie zeszli pod ziemię.

Rzeczywiście, nie wyglądało to na zwykły piwniczny korytarz, chociaż ściany i lekko łukowaty strop zostały starannie wyłożone czerwoną cegłą. Tyle że żadna piwnica nie ciągnie się w nieskończoność bez żadnych rozgałęzień czy pomieszczeń. W miejscu, gdzie stali, zalegała warstwa śniegu, który napadał do środka przez otwór wybity Hubertem. Eleonora włączyła latarkę i poświeciła w górę.

– Coś tu przebiło sklepienie – oceniła, przyglądając się uważnie ukruszonym cegłom. – Ale dlaczego nikt tej dziury nie zamurował, tylko położył deski?

– Bo musiałyby to zrobić stąd, od wewnątrz – odparła pani Matylda. – A zatem musiałyby najpierw wiedzieć, gdzie znajduje się wejście.

Karolek dla pewności sprawdził jeszcze wskazania kompasu.

– Tam jest północ – machnął na lewo – czyli porcelanowy pałac. A my idziemy w przeciwną stronę. Czyli tam.

Dżusi, której kompaktowe rozmiary ułatwiały poruszanie się ciasnym przejściem, pewnie ruszyła przodem, torując sobie drogę przez ciemność

intensywnym światłem szperacza. Pozostali próbowali za nią nadążyć. Musieli się przy tym nieco przygarbić, a i tak któreś z nich raz po raz szorowało głową o strop.

Gerd, który zamykał pochód, z niepokojem obserwował idącą parę kroków przed nim panią Matyldę. Choć miała już za sobą długi marsz od pensjonatu do pałacu, wciąż stąpała pewnie. Wolną ręką dotykała ściany tunelu w poszukiwaniu nie tyle wsparcia, ile pewności, jak gdyby ufała materii bardziej niż światłu, które ich prowadziło. Mogło się wydawać, że jej organizm był równie żelazny jak wola, zegarmistrz miał jednak świadomość, że wysiłek, wilgoć i chłód prędzej czy później muszą dać się starszej pani we znaki. Nie miał za to pojęcia, jak ją stąd wtedy wydostaną, i ta świadomość ciążyła mu coraz bardziej.

Mijały minuty, a oni wciąż podążali ceglany tunelem, osaczeni z obydwu stron przez ciemność.

– Stójcie! – dobiegł nagle z przodu głos Dżusi. Na wszelki wypadek pomachała im jeszcze szperaczem.

– Ej, ale nie po oczach! – zaprotestowała jej starsza siostra, która szła parę metrów za nią.

Snop światła posłusznie spłynął na ziemię.

– Co się stało, Titku?

– Tu coś jest.

– Jakaś przeszkoda?

– Właz.

Zatrzymali się przed punktem, który im wskazywała. Wpuszczony w podłoże, równo i z precyzją wciąż niepojętą dla monterów drogowych studzienek, widniał okrągły metalowy właz.

– No nie wiem. – Karolek uniósł swoją latarkę. Ceglany tunel biegł nieprzerwanie na wprost. – Myślicie, że to tu? Czy idziemy dalej?

– Cóż, *Reichsadler* wydaje się dość wyraźną sugestią – zauważyła pani Matylda i zastukała laską o metal.

Pośrodku włazu widniał orzeł trzymający w szponach wieniec ze swastyką. Charakterystycznego godła Trzeciej Rzeszy nie dało się z niczym pomylić, choć najwyraźniej zdołało umknąć uwadze niektórych.

Gerd i Karolek spojrzeli po sobie.

– To co? Dźwigamy drania, skarbenku?

– Dźwigamy.

Szarпали się we dwóch z włazem ponad kwadrans, w końcu jednak zdołali go podważyć i podnieść. Zastęła zawiasy wydały przeciągły zgrzyt, który poniósł się echem po tunelu.

– Co tam jest? Jakaś dziura? Schowek? Kanalizacja? – dopytywała Dżusi, bo Gerd przyklęknął na skraju odsłoniętego otworu i jedną ręką trzymając się krawędzi, nachylił się głęboko, przyświecając sobie szperaczem. Niestety, przy okazji skutecznie przesłaniał cały widok reszcie.

– Szczelby – odparł w końcu. Jego głos dudnił wyraźnie w jakiejś przestrzeni pod nimi. – Metalowe szczelby, o tu, z tej strony, a dalej... dalej... a niech mnie.

– Co? Co takiego?

– Słuchajcie, tam dalej, pod nami, jest chyba kolejny tunel. Betonowy. – Podniósł głowę i kiwnął brodą na Karola. – Te, skarbenku? Ile ty ważysz?

– Osiemdziesiąt trzy kilo.

– Dobra, czyli tym razem to ja schodzę pierwszy. Dawaj no tę czołówkę.

– Ale dlaczego ty? – zapytał Karolek, z pewnym żalem przekazując zegarmistrzowi sprzęt wraz z inicjatywą.

– Bo jestem z nas wszystkich najcięższy – wyjaśnił krótko Gerd. Ściągnął plecak, wręczył szperacz pani Matyldzie i założył czołówkę na głowę. – Jeżeli te szczelby wytrzymają mój ciężar, to bardzo możliwe, że wytrzymają i wasz.

– A jeśli nie?

– To posadźcie na moim grobie orchidee.

W milczeniu czekali wokół włazu i nasłuchiwali, modląc się w duchu, żeby pierwszym dźwiękiem, jaki ich dobiegnie, było nawoływanie, że mogą bezpiecznie schodzić, nie zaś metaliczny trzask, a potem odgłos ciała uderzającego z impetem o beton.

Gerd tymczasem, uważnie wypatrując co większych plam rdzy i sprawdzając stopą każdy szczelbel, zanim stanął na nim całym ciężarem ciała, pomału dotarł na betonowe dno.

Kawałek dalej korytarz, w którym się znalazł, skręcał pod kątem prostym. Pod ścianami piętrzyły się skrzynie oznakowane orłem Rzeszy. Było tu cieplej niż w ceglany tunelu powyżej, a już z pewnością dużo cieplej niż na powierzchni. Emocje też zrobiły swoje, pot spływał mu

ciurkiem po karku. Gerd ściągnął rękawiczki i wcisnął głęboko do kieszeni, po czym rozpiął kurtkę i starając się stąpać jak najciszej, podszedł do załomu. Przez chwilę nasłuchiwał czujnie, aż wreszcie wyjrzał zza zakrętu.

I nagle przestało mu być tak gorąco.

– Gerd? Gerd? – wołała raz po raz nachylona nad włazem Eleonora, coraz rozpaczliwiej odpychając od siebie myśl równie natrętą, co okrutną. – Gerd!

– GERD, DO JASNEJ CHO...

Siostry aż odskoczyły odruchowo, kiedy w głębi pod włazem nagle rozbłysło światło czołówki, oślepiając je na moment.

– Żyję, żyję – usłyszały w końcu głos Gerda. – Możecie schodzić.

– Głęboko? – zapytał Karolek rzeczowo.

– Nie, tak na oko ze trzy, cztery metry. Pani Matyldo, pani pierwsza, będę panią ubezpieczał. Tylko bez akrobatyki, jeśli mogę prosić.

– Och jej, a już się przymierzałam do salta – mruknęła stara profesorka.

Za nic nie przyznałaby głośno, jak bardzo drżały jej mięśnie, kiedy schodziła po metalowych szczeblach. I z jaką ulgą, starannie niewypowiedzianą, powitała Gerda, który wspiał się szybko, żeby ją asekurować

– Jakby co, niech się pani o mnie oprze – szepnął, gdy znalazła się między jego ramionami. Odpowiedziała mu równie dyskretnym skinieniem głowy.

Nikt więcej nie musiał wiedzieć o tej chwili słabości. Wspólnymi siłami pokonali pozostałe szczeble i stanęli na betonowej wylewce.

Karolek, który zszedł jako ostatni, od razu chciał sprawdzić, co kryje się za zakrętem, lecz silna dłoń zatrzymała go w pół kroku.

– Czekaj.

Osobliwa nuta w głosie Gerda Falka sprawiła, że odwrócili się zgodnie w jego stronę. Nie ściągając czołówki, zegarmistrz odchylił reflektorek pod takim kątem, że gdy stał tak przed nimi ze zwieszoną głową, głębokie cienie rozlewały mu się z oczodołów jak potoki czarnych łez.

– Ten korytarz prowadzi do hali – powiedział wreszcie, gdy przedłużające się milczenie zaczęło mu ciążyć jeszcze bardziej niż to, co

chciał im przekazać.

– Czyli... to pomieszczenie i wszystko dalej to Riese, tak? – upewnił się Karolek. – Naprawdę dotarliśmy do Riese?

– Tak. Tyle że ta hala nie jest pusta.

– Co tam jest?

– Ludzie.

– Żołnierze?

– Też. – Zacisnął powieki, po czym zamrugał, odpędzając od siebie obrazy. – Ale przede wszystkim więźniowie.

Czekał, aż zrozumieją. Aż ogarną to, co niemożliwe do ogarnięcia. Uszy bez trudu zarejestrowały brzmienie ostatnich słów, które padły w podziemnym korytarzu, lecz jakaś część mózgu wciąż nie dopuszczała do siebie ich sensu. Nic dziwnego, przyznał w duchu zegarmistrz. Ludzki mózg też wypracował sobie parę mechanizmów obronnych.

Czekał więc, mimo że czasu, choć mieli go aż nadto, zarazem mieli najmniej do stracenia. Czekał, sunąc wzrokiem po ich twarzach, i zastanawiał się, jakim piętnem naznaczą je ta wyprawa. Naraz wyblakłe do cna oczy Eleonory wydały mu się... niczym.

To Dżusi poruszyła się pierwsza. Wyciągnęła rękę i splotła swoje palce z palcami Karolka. Ciasno.

– Nie zawrócisz, prawda, Titku? – zapytał szeptem.

– Nie.

Matylda Bolesna nabrała głęboko powietrza.

– Chodźmy zatem – odezwała się i skinąwszy na Gerda, ruszyła przodem.

Zagłębili się w labirynt podziemnego kompleksu.

Czas wokół nich gęstniał, bulgotał, wrzał, buzował mrokiem bez światła, udręką bez granic, bez nadziei na koniec. I ta kipiela, niczym morze, które fala za falą wbija człowieka w dno, wyciskała z nich ostatni oddech, ostatni szloch, a oni nie potrafili się tym falom przeciwstawić.

Nie potrafili ustać.

Jedno po drugim – padali.

Krztusili się.

Tonęli.

I już tylko Matylda, Matylda jakże Bolesna, jakże stara i mizerna wobec tego ogromu, tego wiru, który szarpał jej duszą i ciałem, już tylko ona jedna stała, wsparta na wiernej dębowej lasce, wbrew rozpaczy, która miała ich tu pogrzebać.

Żółte oczy mojry patrzyły – na te wynędzniałe postacie w pasiakach, niby-trupy o zsiniałych dłoniach, o stopach bosych, obrzękłych, o zapadniętych oczodołach, zapadniętych duszach, o szerniałych ustach, które nie pamiętały już, jak smakują słowa troski, miłości, słowa pocieszenia.

Lecz ona widziała w nich ludzi.

Ludzi o głowach pełnych marzeń i snów.

Ludzi o sercach lekkich od szczęścia i śmiechu.

Ludzi o oczach mokrych od łez.

Ludzi, których losu nie ustrzegła przed niepojętym.

Była im coś winna.

Uniosła rękę, ciężką i drżącą od smutku i lat, i muskając to jedną, to drugą zjawę z matczyną czułością, która była, jest i będzie silniejsza niż wszelki strach, ból czy zmęczenie, szeptała raz po raz przez zduszone gardło:

– Już dobrze. Już dobrze. Już dobrze...

Na dźwięk tych słów Karolek zadrzał, otrząsając się z lodowatego odrętwienia. Ścisnął mocno dłoń Dżusi i nabrał głęboko powietrza, aż łzy napłynęły mu do oczu. Gorące, piekące. Trzeźwiące. Mrugał jak oszalały, spoglądając na starą kobietę, słuchając jej szeptu, chłonąc obolałą miłość, która od niej biła.

I naraz coś w nim rozbłysło.

– Michalina – wyrzucił z siebie wraz z chrapliwym wydechem.

Pani Matylda obejrzała się przez ramię i skinęła głową.

Tak.

Właśnie tak.

Chwyć się tego, a wstaniesz.

Przeciągnął językiem po spierzchniętych ustach i powtórzył głośniej:

– Michalina. Słyszysz, Titku?

Gdy kolejna fala czasu zbiła ją z nóg, Dżusi przywarła do jego boku, skulona, jednak ani na moment nie wypuściła dłoni chłopaka. Teraz podniosła na niego oszołomione, pustoszejące spojrzenie.

– Co?...

– Michalina. Dla dziewczynki. Michalinka. Michasia. A dla chłopca... dla chłopca... może Staś? – Niemal dosłownie czuł, jak ten ołowiany ciężar, który wbijał go w ziemię, z każdym słowem spływał z jego ciała. – Mały Staś, potem Staszek, a pewnego dnia... pewnego dnia... kto wie, szanowny pan Stanisław Stern-Czepiała.

Eleonora, która osunęła się na betonową posadzkę tuż obok tych dwojga, podniosła skołowaciałą głowę i spojrzała na siostrę białymi oczami, szeroko rozwartymi ze zdumienia.

– Ty jesteś w ciąży?...

– Co, nie zauważyłaś? – zdziwił się Gerd.

– A TY zauważyłaś?!

W zgęstniałym czasie jego krótki, niski śmiech nie poniósł się halami i korytarzami podziemnego kompleksu. Zamiast tego spłynął na nich, przywarł do skóry jak drobne krople ożywczego deszczu.

– Gwiazdeczko, mam siostrę i dwie bratowe, które wydały na świat hordeę dzieci – odparł zegarmistrz. Wierzchem dłoni otarł łzy z policzków i pociągnął nosem. – Gdybym się trochę postarał, mógłbym robić za zdalny test ciążowy – dodał z przekąsem.

– Nie, nie, nie... – mamrotała pod nosem Dżusi. Podczas gdy pozostali dźwigali się pomału z dna kipieli, ona wciąż wyławiała myśli z chaosu, który szalał w jej głowie.

– Ale co nie?

– Tego... tego Stasia zostawmy do negocjacji, ale Michalina to... po moim trupie. A mój trup, przypominam, automatycznie rozwiązuje problem.

– Mnie się podoba Oliwia – wtrąciła Eleonora.

– El, przecież wiesz, że nie znoszę oliwek.

– Toteż nikt ci nie każe jej zjadać...

– No to może Karolina? – zaproponował Karolek.

– Ta, jasne, i co jeszcze? Może Marta?!

– A co jest złego w Marcie?...

– WSZYSTKO – odparły jednomyślnie siostry Stern.

– A mnie się podoba imię Janina – oznajmił zegarmistrz. – Wiecie, jak w tamtym serialu, *Janka*.

– Albo Jana! – podsunęła Eleonora z błyskiem w oczach. – Pamiętasz? *Jana ze Wzgórza Latarni*, czytałyśmy to chyba z milion razy.

– Janina, Jana, Janeczka... – Dżusi w końcu się uśmiechnęła, co prawda blado, ale jednak. – Podoba mi się. Janina i... rany boskie, co my w ogóle robimy?! – Złapała się za głowę, znów błędząc przerażonym wzrokiem po zjawach, które ich otaczały. – Ci ludzie... ci wszyscy ludzie... a my wybieramy imię dla dziecka?!...

– Robicie coś normalnego, Justyno – odparła pani Matylda. Odwróciła się do nich i uśmiechnęła. Melancholijnie. – A możesz mi wierzyć, że bez tej odmiany, bez tej odskoczni nie da się długo tak żyć. Kiedy człowiek na co dzień ociera się o... niepojęte, ta banalna, zwyczajna normalność pozwala nie oszaleć. Pozwala wyrwać się z odrętwienia. Pamiętaj, *vince in bono malum*. Zło dobrem zwyciężaj.

Błada jak śmierć Dżusi kiwnęła głową na znak, że rozumie.

– Czy... czy możemy już stąd wyjść? – zapytała. – Proszę?

– Słusznie. Chodźmy, dzieci. Czas nagli.

– A wy się dziwicie, czemu nie boję się Ramzesa... – mruknął Gerd, kiedy szli przez halę, klucząc między nieruchomymi widmami. Tu i ówdzie pośród sylwetek w pasiakach majaczyły mundury. Przynależne do nich twarze były pełniejsze ciałem, duchem jednak wydawały się jeszcze bardziej puste od tych na skraju agonii. Zegarmistrza aż mdliło, gdy na nie patrzył. – Ramzes jest potworem, ale na pewno nie jest niehumaniczny. To... – W ostatniej chwili przełknął podchodzące mu do gardła przekleństwo. – To jest niehumaniczne.

– Niestety – przyznała Matylda Bolesna. Trochę ciężiej niż dotąd wspierała się na ramieniu zegarmistrza. Musiał to czuć, ale wszelkie komentarze zachował dla siebie. – Źródłem największego zła, drogi chłopcze, zawsze był i będzie człowiek.

Z niewymowną ulgą opuścili w końcu halę. Za nią zaczynał się długi korytarz. Posuwając się wzdłuż wąskich torów kolejki, tu również natykali się na widma więźniów zgarbionych pod ciężarem dźwiganych szyn, narzędzi, worków i ich strażników, którym nie ciążyło nic, a zwłaszcza sumienie.

Brnęli przed siebie w skupieniu, aż w pewnym momencie dotarli do rozgałęzienia korytarza.

– Którędy teraz? – zapytał Karolek. Bezwiednie sięgnął do kieszeni po kompas i zapatrzył się w drgającą igłę.

Jednocześnie Eleonora, pchnięta własnym odruchem, zacisnęła mocno dłoń na lewym nadgarstku. Miarowe tykanie mechanizmu pasówki

wyraźnie zatętniło jej w żyłach i wraz z krwią poniosło się echem po ciele. Poczła jego mrowienie w koniuszkach palców i wokół ust. Zakreśliło jej się w głowie, aż musiała przymknąć na chwilę powieki, żeby nie stracić równowagi. Gdy znów otworzyła oczy, w głębi jednego z odgałęzień wyłowiła jakieś poruszenie.

– El? Wszystko w porządku?

– Tam ktoś jest – szepnęła. – Ktoś... chyba ktoś żywy.

Bez namysłu pospieszyła za nim.

To był dzieciak, zwyczajny dzieciak, drobny, ciemny blondyn, bardzo wystraszony. Szedł z głową wciśniętą w skulone ramiona, potykając się o własne stopy w przydużych butach, a mimo to sprawiał wrażenie, jak gdyby doskonale wiedział, którą drogę wybrać w tej płątaninie korytarzy i hal. Zdawał się przy tym nikogo nie dostrzegać – ani widm, ani żywych ludzi, którzy wołali za nim raz po raz, do utraty tchu. Lecz on nie przestawał iść.

Eleonorę naraz zdjął gniew. Miała dość. Dość tej wędrówki, dość przytłaczającej rozpacz, dość łez, a nade wszystko dość własnej bezsilności. Raz jeszcze zacisnęła palce na pasówce i ze świstem wciągnęła powietrze do płuc.

– STÓJ! – krzyknęła na całe gardło.

Jej głos poniósł się przez korytarz, ciemność – i czas.

Chłopiec stanął jak wryty i okręcił się na pięcie.

– Kto tu jest? – zawołał ze strachem. – Kto tu?

Usłyszał ją! Usłyszał, ale nie mógł zobaczyć. Choć zatrzymała się zaledwie kilka metrów przed dzieckiem, była dla niego ledwie nieuchwytnym widmem, omamem, kręgiem na powierzchni czasu. Jego czasu.

Nie zwalniając uścisku na pasówce tykającej pod rękawem kurtki, Eleonora podeszła bliżej. Pozostali trzymali się tuż za nią.

Dopiero widok jego bladej, ziemistej twarzy i dźwięk głosu uzmysłowił im, że chłopak w rzeczywistości był sporo starszy, niż dotychczas sądzili. Wzrok Eleonory bezwiednie powędrował dalej, skacząc od jednej łaty do drugiej, coraz niżej, aż zsunął się z wystrzępionego skraju pump, stanowczo już przykrótkich, i zatrzymał dopiero na kolanach. Musiał je rozbić niedawno, bo były jeszcze obrzękłe, a strupy, miękkie i świeże, wciąż pachniały krwią.

– Juruś... – szepnęła.

Przed nimi stał zaginiony Jerzy Dobrzyń.

Śmierć rodziców, wojna, sierociniec – nic dziwnego, że lata trudów, biedy, chorób i niedożywienia znalazły odbicie w mizernej, wręcz chucherkowej sylwetce chłopaka. Nie wyglądał na swój wiek, wydawał się znacznie młodszy. Ale ten strach... ten balansujący na granicy obłędu strach, który ział z jego oczu, wypierając wszelką rozsądną myśl...

Eleonora nie zdążyła uchwycić tego wrażenia, bo nagle Jurek zadrżał i odwrócił się w przeciwną stronę. Przez chwilę zdawał się jeszcze nasłuchiwać, po czym zrobił krok – pierwszy, potem drugi, trzeci i następne, ale dziwnie sztywny, jakby nie do końca panował nad własnym ciałem, jakby poruszało się samo, bez udziału jego woli, a nawet wbrew niej.

– Co się z nim dzieje? – zapytała Eleonora. Dałaby głowę, że sekundę przed tym, jak pochłoneła go ciemność, na spodniach chłopca rozlała się plama.

Pani Matylda zmarszczyła brwi.

– Ćma wciąga go w pułapkę. – Machnęła laską w kierunku, w którym zniknął chłopak. – Chodźmy, szybko!

– Za nim?!

– Oczywiście, co to w ogóle za pytanie! On doprowadzi nas prosto do ćmy... czy raczej to ćma doprowadzi i jego, i nas prosto do siebie.

– A potem? – zapytał Gerd.

– Potem go wchłonie.

Podążali za Jurkiem przez niekończące się hale, tunele i sztolnie. Mijali windy towarowe, pancerne drzwi, nitki kolejki wąskotorowej, podziemne strażnice, schrony i zbrojownie, pomieszczenia pełne skrzyń i maszyn o nieznanym im przeznaczeniu albo drabiny wiodące aż pod sufit, gdzie ział wywiercony otwór, dający początek kolejnemu chodnikowi. Długie korytarze, raz szersze, raz węższe, kluczyły pod ziemią, rozgałęziały się i rozbiegały na wszystkie strony, tu i tam na zmianę to wspinając się, to opadając pionowymi szybami. Większość z nich miała zaledwie drewnianą, górniczą obudowę, nieliczne były obmurowane cegłami albo wzmocnione betonową wylewką.

Chociaż starali się nie pozwalać, żeby czas znowu rzucił ich na kolana, ten nie przestawał się burzyć, wzbijając muł z dna i nieustannie mieszając warstwy. Musieli zachowywać nieustającą czujność, wystarczyło bowiem drgnienie powieki, żeby tam, gdzie dopiero co widniało przejście, naraz

wznosił się ceglany mur albo piętrzyły resztki nienaturalnego zawалу. Raz, gdyby nie zimna krew i przytomność Gerda, runęliby dziesięć metrów w dół, kiedy w miejscu zwyczajnego korytarza nagle otworzył się uskok po eksplozji. Musieli poczekać, aż odpowiednia warstwa czasu osiadzie, na powrót otwierając im drogę do celu.

Nie zabłądzili jednak. Mimo przeszkód wypływających ze zmaconego czasu nadal szli śladami Jurka. Przyciskając nadgarstek z pasówką z całych sił do piersi, Eleonora wyraźnie odbierała obecność chłopaka ciągłym, bolesnym szarpaniem, jak gdyby zszedł pod te warstwy ziemi i czasu prowadzony przez nią w roli psychopompa. Nigdy dotąd nie czuła się tak w obecności żadnego widma...

W jednej sekundzie stawiała ostrożny krok, wypatrując niespodzianek i jednocześnie próbując zrozumieć, co się z nią dzieje i dlaczego.

W sekundzie drugiej potężna fala zbiła ją z nóg.

Była zaledwie echem wydarzeń sprzed lat, eksplozji strachu i bólu, niczym więcej, lecz to wystarczyło, by ogłuszona Eleonora mogła jedynie bezgłośnie zapłakać. Płakała więc, przez cały ten czas, przez wszystkie warstwy splątanego czasu, póki Jurek Dobrzyń umierał, pożerany przez cmentarz.

A potem wszystko ucichło.

Wszystko się skończyło.

Pomogli jej wstać i otrzeć łzy, znaleźć upuszczoną latarkę, doprowadzić do ładu ubranie. Na to, co działo się głęboko w niej, w środku, już nic nie mogli poradzić.

Eleonora w milczeniu podniosła głowę i wpiła wzrok w ciemność, która rozciągała się daleko za nimi. Znajomy ból zatętnił cichutko w jej ciele. Gdzieś tam, dawno, dawno temu wystraszony chłopiec z porcelanowego pałacu schodził do podziemi. Znowu. I znowu. I znowu.

– Nie możemy mu jakoś pomóc? – zapytała z nadzieją w głosie zachrypłym od długiego płaczu.

– Och, dziecko... – Pani Matylda westchnęła ciężko. – Przykro mi. On należy już do przeszłości. A przeszłości nie zmienisz.

– Nie, nie zmienię, ale... te widma, te dusze... te dusze utopione w czasie... Czy one muszą tkwić w swoich koszmarach na wieczność? Nie da się ich jakoś odesłać gdzieś... dalej? Gdzieś indziej?

– Moim ręką powierzono wyłącznie los żywych. Obawiam się, że nie wiem nic o losie umarłych. Ale może...

Nie było jej dane dokończyć.
Bo wtedy czas drgnął.

Czas drgnął, a razem z czasem drgnęły i widma.

Matylda Bolesna w okamgnieniu pojęła, co się dzieje. Unieruchomiona zębarka, która wprawiała w ruch cały mechanizm wszechrzeczy, próbowała wskoczyć na powrót tam, gdzie było jej miejsce. A to oznaczało, że Ramzes opadał z sił.

Przegrywał.

Obejrzała się prędko w kierunku, skąd przyszła fala, która nieomal wycisnęła ostatniego ducha z Eleonory. Dobiegało stamtąd coś jeszcze. Jeszcze jedno echo.

Echo starego głodu.

– Idziemy, dzieci. Idziemy.

Byli blisko, tak blisko! Pędzili ile sił w zmęczonych ciałach, czując, jak warstwa czasu osiada i krzepnie, jak drga, rozpycha się, napiera, by wyrwać się z narzuconych jej oków bezruchu, aż wypadli zdyszani na kolejne rozwidlenie. Przed nimi widniały cztery korytarze. Nie zastanawiali się nawet, który z nich wybrać. Tylko jeden tchnął śmiercią tak świeżą, tak krwistą.

Po kilkudziesięciu metrach światło szperacza natrafiło na kratę. Jedno skrzydło bramy było unieruchomione odbojem, drugie zaś otwarte. W zamku brakowało klucza. Pani Matylda zacisnęła mocniej palce na szperaczu i zanim którekolwiek z nich zdążyło zaprotestować, ruszyła przodem. Musieli iść za nią gęsiego, bo korytarz za bramą był długi i wąski. Jak przętyk. Mieli wrażenie, że ciemność ich wsysa, delektując się smakiem. Mimo to stąpali za starą mojrą, pewni jej pewnością, spokojni jej spokojem, jak zawsze niewzruszonym.

Gdy dotarli do samego końca, ujrzeli stworzenie, którego woń sprowadziła ich aż tutaj.

Kuliło się na ziemi pod pancernymi drzwiami, nagie, bezbronne, opadłe z sił. Wystrzępione uszy sterczały nad łysą głową o haczykowatym nosie i ustach bez warg, odsłaniających podwójny rząd czarnych kłów, pomiędzy których wymykał się język – mięsisty, giętki, szukający, lecz na próżno. Koścista pierś, obciągnięta siną, guzowatą skórą, ledwo się

uniosta, a już opadała, niezdolna pomieścić głębszego oddechu. Dłonie o palcach zakończonych szklistymi szponami były poczerniałe aż do nadgarstków, jakby toczyła je gangrena. Tak samo wyglądały stopy stworzenia.

– To... to ćma? – wydusił Karolek.

– Nie – odparł Gerd, który stał tuż za panią Matyldą. – To Ramzes.

Słyszając ludzkie głosy, strzygoń dzwignął na chwilę łeb i wciągnął spazmatycznie powietrze w nozdrza. Zarzęził głucho. Z zapadniętej otchłani jego oczodołów spływały ni to smoliste łzy, ni to krew, gęsta i czarna. Nieludzka.

– Co się z nim stało? – zapytała Dżusi, wypatrując w tym strzępie świadomego bytu choćby cienia tajemniczego antykwariusza o hipnotyzującym spojrzeniu, którego tamtego letniego dnia ujrzała na progu mieszkania ciotki.

– Kona. Z głodu, wyczerpania i... – Pani Matylda musiała parę razy odetchnąć, żeby zdusić rozpacz, która w niej wezbrała. Nie. Jeszcze nie. – Ćma go pożera, tu i teraz. Czujecie?

Czuli. Tętniący tuż za pancernymi drzwiami ogrom – stary głód, którego nie nasyciło nawet trzy tysiące ludzkich istnień.

– NIE!!! – wrzasnęli naraz zgodnym chórem, bo stara mojra podeszła bliżej Ramzesa. Tak blisko, że wystarczyło, by strzygoń wyciągnął szponiastą rękę i już by mu nie umknęła.

– Cicho, dzieci. Cicho.

Zamknęła powieki i przywołała obrazy z ich ostatniego snu. Wspomnienia. Emocje. Tęsknoty. Łzy napłynęły jej do oczu, ścisnęły za gardło, lecz ona wciąż szukała tamtego przeblysku, krótkiego, acz wyraźnego. Podpowiedzi najcenniejszej z cennych.

„Wiedziałeś, że po ciebie przyjdę, Ramzesie”.

„Oczywiście, że tak”.

„Dlatego mi pokazałeś”.

Och, Ramzesie...

– Drugi korytarz po lewej – rzuciła nagle w ich stronę. – Drugi korytarz po lewej – powtórzyła i obejrzała się na czworo młodych ludzi. – Prowadzi do najbliższego wyjścia. Szybko, zawracajcie. On już długo nie wytrzyma.

Zamykający pochód Karolek natychmiast ruszył z powrotem. Dżusi, nie puszczając jego dłoni, dosłownie deptała mu po piętach. Pani Matylda

szła na samym końcu, zapatrzona w szerokie plecy zegarmistrza, który co rusz oglądał się to na nią, to na Eleonorę.

Byli już w połowie drogi do rozwidlenia, kiedy korytarzem poniósł się donośny trzask, a po nim metaliczny zgrzyt. Gerd błyskawicznie okrzyknął się na pięcie.

Krata przejściowa była zamknięta. Między służącymi za klamki uchwyty tkwiła dębowa laska pani Matyldy, blokując bramę od wewnątrz. A moja stała po drugiej stronie i spoglądała na nich, uśmiechając się triumfalnie.

Gerd wrzasnął. Rzucił się do bramy i uwiesił krat, szarpiąc i klnąc z całych sił. Karolek zdołał precyzyjnie się obok siostr i szarpał razem z nim. Wszystko to na darmo.

– Dębina, drogie dzieci. Dała radę upiorowi, da i wam.

Przestali się szarpać i zamiast tego próbowali wysunąć blokującą bramę laskę. Ale miejsca między kratami było zbyt mało nawet na szczupłą dłoń Eleonory.

– Dlaczego? – zapytał Gerd z twarzą przyciśniętą do krat. – Pani Matyldo, dlaczego...?

– Och, dziecko... Albo ćma zabije Ramzesa, a potem nas wszystkich, albo Ramzes zabije ćmę. *Tertium non datur*. – W żółtych oczach moja mignęła przekora. – Niestety, nie zrobi tego na pusty żołądek.

– NIE!!! – wrzasnął Falk. – Nie, nie, nie, pani nie może, kurwa mać, pani Matyldo!!! – krzyczał jak opętany, znów szarpiąc za kraty, lecz dębina, tak jak przedtem, trzymała się mocno. – Nie może pani jej tego zrobić, nie może! Co ja jej powiem, pani Matyldo, co ja jej powiem?!...

– Prawdę. Że tak wybrałam.

Podniosła wzrok i ponad ramieniem szlochającego bezradnie zegarmistrza spojrzała na Eleonorę.

– Ty rozumiesz.

Dziewczyna nie mogła wydobyć głosu ze ściśniętego gardła, więc tylko pokiwała głową. Łzy skapnęły jej na rękaw kurtki.

Matyldzie Bolesnej to wystarczyło. Uśmiechając się tklawie, odwróciła się w stronę konającego Ramzesa.

– A teraz zostawcie nas, dzieci – poprosiła. – Niech ta chwila będzie tylko nasza.

Zaczekała, aż ich kroki i płacz ucichną w oddali, aż zapadnie kojąca cisza. Dopiero wtedy zgasła latarkę.

Pozostali we dwoje w ciemności, w mroku nieprzebranym, stara kobieta i stary potwór – w swoich oczach najpiękniejsi.

Jedyni.

Zapadła już noc, tak cicha i głucha, jak tylko cicha i głucha może być noc w wielkim mieście, kiedy drzwi starego domu przy alei Lipowej pięć otworzyły się i stanęła w nich postać.

Wysoka kobieta, siwowłosa i bosa, zgarnawszy fałdy długiej koszuli, niespiesznym krokiem przeszła przez ścieżkę i stanęła pod drzewem. Pogładziła chropowaty, omszały pień niczym najdroższego jej sercu przyjaciela.

– Zostaliśmy już tylko my dwoje, papo – rzekła pani Jaga. – Już tylko my.

Odpowiedziało jej ciche trzeszczenie powrozu, kiedy podmuch chłodnego nocnego wiatru zakołysał wisielcem. I gdyby choć raz, choć na krótko podniosła wzrok, być może dostrzegłaby pośród światła i cienia, że zasnute śmiertelnym bielmem oczy papy szklily się od bezgłośnych łez.

Po trzech godzinach nieustannego wysiłku Gerd Falk z radością odstawił w końcu szufłę i ściągnął rękawiczki.

Gdyby ktoś zapytał, jak udało im się wydostać z podziemnego kompleksu, a potem jeszcze dotrzeć o własnych siłach spod Wielkiej Sowy aż do pensjonatu, osiemnaście kilometrów dalej, nie tylko Dżusi nie umiałyby odpowiedzieć. Jak gdyby rozpacz wyparła wszystko pozostałe. Pamiętali jedynie, że kiedy byli już na zewnątrz, kiedy brodzili w ciemności, zaspach i rozedrganym czasie, podążając za Karolkiem, który z kompasem w garści i mapą w głowie prowadził ich wytrwale do najbliższej szosy, gdzieś pod nieboskłonem poniósł się naraz ni to krzyk, ni to śmiech – przeciągłe wołanie puszczyka. Stali długo z zadartymi głowami, zasłuchani w ten pożegnalny lament, ten hymn triumfu i tęsknoty, aż wołanie umilkło, by nie odezwać się już nigdy więcej.

Zębatka wskoczyła na swoje miejsce i czas ruszył.

Gdy zniknęła anomalia, zniknęły także widma przeszłości, a wraz z nimi dojmujące, podskórne mrowienie, jakie budziła atmosfera Gór Sowich, równie hipnotyzująca, co złowieszcza. Gerd przyglądał się im teraz i pomału rodziła się w nim ochota, żeby kiedyś tu wrócić, przejść się jakimś szlakiem. Odetchnąć świeżym powietrzem, nacieszyć oczy zielenią. Może za parę lat, kiedy wspomnienia zdążą wyblaknąć i wywietrzeć, uznał. Najlepiej latem, w blasku słońca.

Po tym, jak zamieć ustała, a ciężkie chmury rozstały się pod naporem wiosennego słońca, pługi z mozołem odśnieżały drogę wojewódzką. Mieszkańcy i co bardziej ochoczy turyści, tacy jak on czy Karolek, uwijali się w bocznych uliczkach miasteczka, odkopując spod zasp zaginione chodniki. Od czasu do czasu przystawali, żeby odsapnąć i przy okazji zamienić z kimś parę słów na temat tej osobliwej pogody, która na kilka dni uwięziła ich w domach.

Gerd usłyszał ciche chrząknięcie. Odwrócił się. Za nim stała Eleonora w niedopiętej kurtce.

– Dżusi mówi, że jedziecie za pół godziny.

– Jasne. Tu już skończone, jeśli Dżusi czuje się na siłach... A co z nią? Wszystko...?

Niedokończone pytanie zawisło między nimi. Eleonora podchwyciła w lot, co miał na myśli.

– Tak, w porządku. Wyspała się, ułożyła włosy i doszła do wniosku, że skoro jej młode wytrzymało taką przygodę, to wytrzyma w sumie chyba wszystko. No i cieszy się, że teraz oficjalnie może już nie wciągać brzucha – dodała z przekąsem. – Hej, to nie tabliczka czekolady wciągnięta beztrudno o dziesiątej wieczorem, to ciąża!

Wciąż się śmiali, kiedy uwagę dziewczyny przykuła czarna plama na tle pobieżnie odśnieżonego parkingu przy pensjonacie.

– Pojechał – wyjaśnił Gerd, choć równie dobrze mógł to sobie darować.

– Wiem. Przyszedł się ze mną pożegnać.

– Myślisz, że kiedyś tu jeszcze wróci? Po tym wszystkim?

– Nie sądzę – przyznała szczerze. – A jeśli nawet, to na pewno nieprędko. Przerosło go to... wszystko.

Gerd już sięgał po szufłę, żeby odnieść ją z powrotem do pensjonatu, zaraz jednak cofnął rękę i przyjrzał się bacznie Eleonorze. Poznał po niej, że chciała mu powiedzieć coś więcej, ale jeszcze to w sobie dusiła,

szukała słów, początku, który poprowadzi ją w miarę gładko przez ciąg dalszy. Postanowił zaczekać, aż skończy.

– Zapytał mnie, jak umarł Jurek.

– Co mu odpowiedziałas?

– Że umarł szybko.

Zegarmistrz odwrócił twarz w stronę słońca i przymknąwszy na moment oczy, odetchnął pełną piersią. Powietrze wciąż pachniało zimą, lecz dało się w nim uchwycić pierwsze nuty nadciągającej wiosny.

– Dobrze zrobiłaś – stwierdził i ponownie odniósł wrażenie, że całkiem niepotrzebnie. Eleonora doskonale by sobie poradziła i bez jego aprobaty.

Było jednak jeszcze coś, czym chciała się z kimś podzielić.

– Zobaczyłam to, wiesz? – rzekła, niższy głos. – Tam, w tunelu. Zobaczyłam, co się wtedy stało, z Jurkiem. Jakby na ułamek sekundy siła tej eksplozji... zassała mnie, wciągnęła wprost do jego głowy...

Wtedy

Nigdy nie podejrzewał, że słowa mogą tak boleć.

Bolała choroba, o tym już zdążył się przekonać. I śmierć, nawet ta cudza, cicha, upchnięta w pojedynczym westchnieniu pod osłoną nocy. Bolał też głód. Strach. Zimno. Samotność. Bezsilność wobec tego wszystkiego, co go dotykało, a przerastało, przerastało o głowę. Ale żeby słowa też? Czy było na tym świecie coś, co nie bolało nigdy, nikogo? Zaczynał się bać, że nie.

A najgorsze było to, że taki mały ból nikogo nie obchodził. Świat po wojnie takiego małego bólu nawet nie dostrzegał. To dlatego nikt nie zwrócił uwagi, że tamtego dnia Jurek Dobrzyń wyszedł od dyrektorki ze zwieszoną głową, pospiesznie przełykając łzy.

– Jakoś to będzie – dźwięczały wciąż mu w uszach szorstkie słowa. – Życie sobie ułożysz, pracę znajdziesz w tym Wałbrzychu. Wałbrzych to nie koniec świata. No, nie maź się. Chłopcy w twoim wieku dopiero co ginęli na barykadach!

Ano ginęli. Na to nie mógł już nic odpowiedzieć.

Długo siedział w wysokiej trawie, skubiąc świeży strup na opuchniętych kolanach, i zastanawiał się, jak on to powie Heniowi. Jak mu powie, że będzie musiał zostać sam w porcelanowym pałacu. Sam, bez starszego brata, który nie stanie już w jego obronie, kiedy te dzieciaki – za dnia rozwrzeszczane, roześmiane, upojone letnim słońcem, zapachem kwiatów i smakiem dzikich malin – wraz z nadejściem nocy zaczną czujnie węszyć i nadstawiać uszu, by wychwycić najcichszy płacz, najmniejszą oznakę słabości, bo dzięki temu same poczują się mniej słabe, poczują, że mają siłę sprawiania. Niechby i bólu. Czegokolwiek.

W jednym z okien na piętrze mignęła mu przelotem pani Helenka. Szara kobieta w szarej sukience, o spracowanych dłoniach, które odruchowo muskały dziecięce czupryny, prostowały podwinięte kołnierzyki, wysyłały dziesiątki tych milczących, zdawkowych sygnałów, że oto jest, tuż obok, że dostrzega twoje istnienie i czuwa, i zdąży cię złapać za rękę, zanim wpakujesz się w prawdziwe tarapaty.

Ale nie tym razem. Bo tym razem pani Helenka czuwała nad kimś innym, a tarapaty już się czały na zapłakanego wyrostka ze zdartymi kolanami. Nie gdzieś daleko, hen, w złowieszczych Górach Sowich, ale w przestrzeni znajomej, oswojonej, bezpiecznej.

Oto były.

Tuż obok.

Już dostrzegały jego istnienie.

Ani pani Helenka i jej niezmordowane dłonie, ani kucharka, która ostatni raz mieszała chochlą w garze z takim namaszczeniem, jak gdyby od tego mieszania cienka kartoflanka miała wreszcie nabrać smaku, ani dzieciaki, które tej kartoflanki łaknęły, czy to ze smakiem, czy też bez, byle czymś zapełnić żołądek, ani dyrektorka, która w zaciszu swojego gabinetu załamywała ręce nad rachunkami, próbując się nie mazać, jak dopiero co przykazała Jurkowi, bo kto to widział, żeby się mazać nad takimi błahostkami jak zapas węgla, kiedy wszyscy żyjemy, przeżyliśmy, a nie wszystkim przeżyć było dane – nikt nie widział, jak tamtego dnia Jurek Dobrzyń przemykał ukradkiem do pałacowych piwnic, gdzie daleko, głęboko, aż za skrzyniami z resztkami warzyw mieściła się skrytka, a w tej skrytce najprawdziwszy skarb, o którym wiedzieli tylko oni dwaj, Jurek i Henio, bracia nierozłączni.

Aż do teraz.

Po omacku, bo przez te całe łzy i ciemność nie widział zbyt wiele, Jurek wyłuskał spomiędzy cegieł niewielką metalową puszkę. *EDUSCHO Kaffee Tee Kakao Import* – głosił niezmiennie wypukły napis na wieczku, chociaż w środku, zamiast rarytasów rodem ze składu kolonialnego, od paru miesięcy spoczywała łyżeczka. Znalazł ją czystym zrzędzeniem losu. Ot, potknął się i upadł. Znowu, jak zawsze, który to już raz? Ach, ten Jurek, niby najstarszy w całym bidulu, taki stary, że prawie dorosły, a taki niezguła, wiecznie skłócony z własnymi nogami, które nigdy nie nadążały za tym, czego chciała od nich głowa. Upadł więc jak długi, ciężko i bezwładnie, aż mu się zdało, że cały świat zadrżał, że jego ciało wzbudziło falę i ta fala rozbryzgnęła się, wystrzeliła na boki. Ale zaraz wróciła, uspokoiła się, znieruchomiła, tak jak znieruchomiał Jurek.

Właśnie wtedy ją zobaczył – zapomnianą srebrną łyżeczkę w odległym kącie pod szafą, w szczelinie między deskami starej podłogi.

Skąd się tam wzięła? Skąd się wzięło to cudeńko z porcelanowego pałacu w porcelanowym bidulu, gdzie tysiącokrotnie mieszana kartoflanka

wciąż smakowała wodą i głodem? Nie wiedział wtedy, nie wiedział i teraz, gdy pociągając nosem, odrobinę rozchylił gałganki i czubkami palców musnął poczerniałe srebro. Myślał o wojnie, która pomaluśku, powoluśku rozszarpywała ich rodzinę, odrywała skrawek po skrawku. Najpierw ojca. Potem Bronię, malutką, cichutką Bronię. Wreszcie matkę. Na pocieszenie zostawiła mu Henia. Ale skąd mógł wiedzieć, że to tylko tak na chwilę...

Siedział długo w piwnicznym chłodzie, który ukoił nieco ból obrzękniętych kolan, i myślał, myślał, aż nie umiał dłużej dusić w sobie rozpacz nad tym, co już utracił i co utracić dopiero miał, chociaż jego życie zaledwie się zaczynało. Głośny szloch wyrwał mu się z piersi i razem z nim znów poczuł to samo co wtedy. Drgnięcie – a po nim chlupot, jak gdyby wokół niego rozchodziły się niewidzialne fale.

Jurek Dobrzyń podniósł głowę i rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu.

Zastygł.

Tam, na wprost, na wyciągnięcie ręki, cienki pasek światła wyraźnie przecinał u podstaw ceglana ścianę.

Przed sobą miał drzwi.

Drzwi, których nie było tam wcześniej.

Drzwi, których nie było tam później.

Nikt nic nie widział, powtarzali potem zgodnie. Nikt nic nie zauważył, a to był taki dobry chłopiec, taki spokojny, uczynny, jaka szkoda, taki dobry, dobry chłopiec...

Teraz

O czym myślisz?

Gerd zaśmiał się, słysząc to pytanie. Od dwudziestu minut stali na chodniku przed pensjonatem i rozmawiali o martwych dzieciakach, podziemiach nazistowskich kompleksów i innych nieszczęśliwie wesołych sprawach. Znowu. Miło było zaśmiać się dla odmiany, choćby z czegoś tak... banalnego. A to było chyba najbardziej banalne pytanie, jakie zdołała wymyślić ludzkość, bardzo kreatywna w tej kwestii.

– O tym, że pani Matyllda miała rację. Ty sobie poradzisz, gwiazdeczko.

– Och, mam nawet plan – odparła z dumą Eleonora. – Wiesz jaki?

– No?

– Zostanę pałacową sprzątaczką. Nie śmiej się, mówię poważnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę, przysięgam. Pani Ewa zobaczyła, jak doczyściłam wykładzinę z krwi Huberta... i mnie poleciła. Pomogła mi też znaleźć małe mieszkanie do wynajęcia, tu, w Jedlinie. Zadzwonię później do ciotki, żeby przesłała mi resztę rzeczy. Oficjalnie zaczynam od razu po świętach, ale jutro pojedę do pałacu, żeby uporać się z tym, co obiecaliśmy posprzątać teraz. Będę mogła dyskretnie zgłębiać tajemnice porcelanowego pałacu.

– A potem?

– A co? Zawsze musi być jakieś potem?

Gerd uniósł brew.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że będziesz aż do emerytury froterowała posadzki.

– Parkiety – poprawiła odruchowo, ale po jej minie poznał, że przecucie go nie myliło.

– No? No mów, co tam jeszcze kombinujesz.

– Owszem, to tylko na pewien czas – zaczęła ostrożnie.

– A potem?

– Chcę zostać dokumentalistką – wypaliła wreszcie. – Albo przewodniczką muzealną. Wiesz, zawsze miałabym w zanadrzu najlepsze historie. A może nawet jednym i drugim, czemu nie?

– Tak, to już bardziej do ciebie pasuje – zgodził się Gerd. Wciąż jednak czekał na więcej, jakby czuł, że jeszcze nie powiedziała mu wszystkiego. – No? A poza tym?

– Chcę ich znaleźć – odparła z powagą. – Wszystkich. Takich jak Jurek czy córka Hildebranda.

– Mówisz o widmach?

– Tak. O duszach, utopionych, zagubionych... I nawet wiem, od kogo zacznę – dodała Eleonora, bo przed oczami stało jej milczące widmo.

Wciąż tam było, w przedsionku, uwięzione w pułapce wieczności i własnego strachu niczym pajak w bursztynie. Widmo uciekiniera w wystrzępionym obozowym pasiaku, nieszczęśnika i szczęściarza zarazem, które wypłynęło na powierzchnię czasu i nie umiało już, nie chciało za nic powrócić do tamtych dni.

– Myślę... – podjęła po chwili – myślę, że dzięki temu zostanę kimś więcej niż przewodniczką poszukiwaczy skarbów. Będę prawdziwym psychopompem.

– Chcesz przeprowadzać utopione dusze na drugą stronę?

– Tak. Chcę się przeprowadzić. Naprawdę. Ramzes miał rację, ciągnie mnie na tamtą stronę. Ale chciałabym też... chyba jakoś naprawić zło, które wyrządzili moi rodzice. Które wyrzodziłam sama Juniorowi... tobie. Zrobić coś więcej, coś dobrego. Wiesz, tak dla odmiany. – Uśmiechnęła się, mrużąc białe oczy. – A co z tobą?

Wzruszył ramionami.

– Dopiję ostatnią butelkę... i spróbuję coś zbudować na gruzach.

Przez parę sekund patrzyli sobie w oczy, mierząc się wspólnie ze świadomością, że to już to – że nadszedł w końcu ten moment, kiedy powiedzieli sobie wszystko, co mieli do powiedzenia. Pozostało im tylko pożegnanie.

– Chyba nam nie wyszło, co, gwiazdeczko? – zapytał cicho.

– Chyba nie – odparła jeszcze ciszej.

Gerd Falk przymknął na moment powieki. A kiedy znów je podniósł, świat wciąż był tam, gdzie wcześniej.

– Okej. Niech będzie. Niech będzie i tak.

Kod do domofonu wciąż był taki sam jak przed kilkoma miesiącami, a on wciąż go pamiętał – jeden trzy pięć osiem. Gerd ostrożnie zamknął za sobą bramę i przeskakując po dwa stopnie, wszedł na wysoki parter kamienicy przy Lompy i przystanął przed wycieraczką. Spojrzał w dół, pod nogi. Ciekawe, czy znów znalazłby tam klucz pozostawiony przez Eleonorę? Kusilo go, żeby sprawdzić, mimo to nacisnął dzwonek. Wtedy to było co innego. Teraz... teraz, gdyby tylko mógł, najchętniej spędziłby na tej wycieraczkce wieczność albo dwie.

Kiedy otworzyła mu drzwi, przez dobrą chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Cześć – rzucił w końcu.

– Cześć – odparła Klara Stern.

Chyba oderwał ją od sprzątanania, bo w ręce trzymała szmatkę. Włosy zebrała w niedbały kok na czubku głowy, a długą indyjską spódnicę zamieniła na szarawary, wygodne i praktyczne. W zestawieniu z czernią koszulki z długim rękawem zielono-fioletowe maziaje szerokich spodni wydawały się jeszcze bardziej intensywne, mimo kilku przykurzonych plam mniej więcej na wysokości kolan.

Klara uśmiechnęła się, nieśmiało, jakby nie do końca pamiętała, jak to się robi, i cofnęła o krok, zapraszając zegarmistrza do mieszkania.

– Wróciliście już? – zapytała. – Czy...

– Tak, Czarnobyl posprzątanany. Ale tu...? – Gerd stanął pośrodku korytarza i nie kryjąc się z tym nawet, zajrzał przez otwarte drzwi do salonu. Kot przyglądał mu się z dostojnym dystansem z wyżyn kaflowego pieca. Raczył nawet mrugnąć. – Tu się chyba coś ostro zadziało, co?

Święty i nienaruszalny przez długie lata salon Sternów, izba pamięci i archiwum w jednym, przypominał istne pobożowisko. Cała zawartość regałów, ogołoconych do szczytu, piętrzyła się teraz na podłodze w bezwładnych stosach, między którymi ledwo dało się przestąpić. Na zielonej wersalce i niskim stoliczku leżały sterty złożonych kartonów w towarzystwie zgrzewek taśmy pakowej w rolkach.

– Jak widać na załączonym obrazku, ja też wzięłam się do sprzątanania.

Usiedli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole. Klara zapaliła papierosa i uchyliła okno. Parę sekund później Kot, z łoskotem zeskoczywszy z pieca, siedział już na parapecie i z intensywną uwagą śledził życie po drugiej stronie szyby.

– Pani Jaga miała rację – przyznała Klara, gdy połowa papierosa nieodwracalnie obróciła się w popiół, a Gerd nadal milczał z osobliwym uporem. – Uciekam. Od miesięcy nie robię w zasadzie nic innego, tylko uciekam.

– Od wspomnień?

– Też. – Machnęła ręką. – Od wspomnień... od tego mieszkania i jego trupiej atmosfery... Rany boskie, dziewczyny miały rację. To naprawdę jest mauzoleum, nie mieszkanie. Grobowiec. Tu się nie da normalnie żyć.

– Spojrzała na Gerda z mieszaniną gniewu, wstydu i bezradności. – Ale głównie to uciekam od wyrzutów sumienia – przyznała. – Ilekroć natknę się na Bimbową na klatce czy pod bramą, myślę... myślę...

– O Juniorze?

– O tym, co musiał im zrobić Ramzes, żeby zapomnieli – odparła z niechęcią Klara, znów uciekając wzrokiem. – Żeby zapomnieli o rodzonym synu, wnuku. Ta... ta pustka w jej oczach... jakby jej wyrwał kawałek duszy.

– Żeby was chronić.

– Wiem – odparła. Szczerze, bez przekąsu czy podtekstów. – Wiem, dlaczego to zrobił, ale... nie wytrzymam tego dłużej, nie wytrzymam dłużej w tym mieszkaniu... Pani Jaga chyba miała rację. Czasem trzeba odgryźć kończynę i uciec. – Cisnęła niedopałek do popielniczki. Żar tlił się jeszcze przez chwilę. – Uwierzyłybyś? – Uśmiechnęła się krzywo, kręcąc głową, jakby sama nie do końca dawała wiarę. – Mam pokój pełen bezcennych skarbów, których poszukują setki naukowców i muzealników na całym świecie, a...

– To nie są skarby, tylko śmieci. – Gerd stanowczo wszedł jej w słowo. – Zwyczajne śmieci, nic więcej. Nic.

A potem jej powiedział.

Powiedział – i patrzył, jak wypuszcza papierosa, jak chwieje się i osuwa z krzesła na ziemię, jak jedna po drugiej pękają wszystkie maski i tamy, które przez szesnaście lat trzymały w ryzach legendarną Klarę Stern. I sam nawet nie wiedział, jak to się stało, że znalazł się na podłodze, z całych sił tuląc w objęciach tę nieprzystępną, skrzywdzoną dziewczynę, którą rozpacz rozbijała na coraz mniejsze odłamki, i na przemian to całował jej rude pukle, to szeptał wprost do ucha tak cicho, tak czule:

– Tak wybrała, słyszysz? Słyszysz? Tak wybrała. Już, no już. Płacz, dziewczyno. Płacz. Płacz, ile wlezie.

A może wiedział? W końcu obiecał, że nie zostawi jej samej.

– Znowu mam wolny pokój, jakby co – rzuciła pani Jaga, prowadząc Klarę korytarzem. Za sobą zostawiała pierwsze metaliczne brzęknięcia szacownego mechanizmu oraz soczyste przekleństwa zegarmistrza, który w końcu wziął się do zmagania ze zdemolowaną materią wiekowego zegara.

– Nie wiem co prawda, jak Roy Keane zareaguje na twojego Kota – podjęła pani Jaga, gdy znalazły się w kuchni – ale chyba nie będę się tym szczególnie przejmować. No i ten twój moczymorda nie miałby już żadnej wymówki, żeby nie wyleźć od czasu do czasu ze swojej nory i odwiedzić starowinki z potrzebą. Z wieloma potrzebami.

– Nie, to nie tak – sprostowała pospiesznie Klara. – Gerd nie jest moim moczymordą, my tylko... my po prostu...

– Po prostu? – powtórzyła pani Jaga, unosząc kpiąco brew. – Tu nic nie jest proste, moje dziecko. – Szurnęła fajerkami i nastawiła czajnik na herbatę. – Ty jesteś małpio złośliwa, on nieludzko cierpliwy. Pasujecie do siebie. Jak cez w reakcji z wodą, ale pasujecie.

– Przepraszam, a co robi cez w reakcji z wodą?

– Spektakularne bum. – Roześmiała się, widząc zdumioną minę młodszej kobiety. – Możesz mi wierzyć, dziecko, o wiele gorzej by było, gdyby nie robił absolutnie niczego.

Umilkły. Przez następnych kilka minut paliły papierosy i chłonąc odgłosy niespiesznego dnia, czekały, aż zawartość czajnika na płycie zacznie bulgotać.

– Więc jak? – podjęła pani Jaga, kiedy herbata parzyła się już w imbryku.

– Nie wiem, czy na dłuższą metę dogadałabym się z papą Bolesnym. Zresztą... Przepraszam, pani Jago, ale chyba już dość widm przewinęło się przez moje życie. Wolałabym się ich sukcesywnie pozbywać, niż zapraszać kolejne – dodała Klara, unosząc wymownie brew. – No i mam już pewne... plany. Życiowe. Gerd nawet zadzwonił wczoraj do brata. Do Oskara.

– Tego historyka sztuki?

– Tak. Pomoże nam jakoś... jakoś sprawić, żeby to wszystko, co zostawili po sobie Ludwik z Ireną, ich znaleźziska, mapy, notatki i tak dalej, żeby to wszystko trafiło w końcu do muzeum. W miarę możliwości bez ujawniania nazwisk, ma się rozumieć.

– A potem?

Klara nabrała powietrza.

– Za jakiś czas – zaczęła pomału, z rozważą – wystąpimy do sądu z wnioskiem o uznanie Ludwika i Ireny za zmarłych. Przeprowadzimy postępowanie spadkowe, sprzedamy rodzinne mauzoleum w cholere, a potem... będziemy żyć.

– Żyć – powtórzyła pani Jaga w zamyśleniu. – Tak, to całkiem niezły plan.

Uśmiechnęły się do siebie, blado, lecz szczerze. Tak, to był całkiem niezły plan.

– Jak pani myśli, będzie Staś czy Jana? – zapytała Klara, zmieniając temat. – Kogo pani obstawia?

– Ja? Och, ja obstawiam trojaczki!

– Jednojąjowe? – zapytała Klara, jednocześnie zastanawiając się, czy to żart, czy przeblysłk daru dawnej mojry. Tej, która splatała nić ludzkiego losu...

– Oczywiście! Wiesz, jaka to oszczędność? Dżusi nie będzie się musiała już nigdy farbować, osiwieje sama z siebie!

Dobłą godzinę siedziały przy herbacie, jedna przez drugą snując co radośniejsze wspomnienia z własnego dzieciństwa, a potem za pomocą komórki i internetu próbując rozgryźć tajemnice niemowlęcej wyprawki i dojść, czym różni się pajac od rampersa. A jednocześnie w Klarze pomału dojrzewiała pewna myśl, którą jeszcze przed miesiącem, tygodniem nawet, odepchnęłyby od siebie bez wahania, za to z obrzydzeniem. Ale teraz... teraz wszystko, co dotąd znała, obróciło się w gruzy. A na gruzach, jak szeptem tłumaczył jej Gerd, kiedy leżeli bez sił i bez tajemnic, ciesząc się ciepłem swoich ciał, na gruzach można albo umrzeć, albo zbudować coś od nowa.

Chyba jeszcze nie chciała umierać.

– Pani Jago, pani jest lekarzem... – zagaiła, zebrawszy się wreszcie na odwagę. – Co prawda emerytowanym, ale...

– Wiadomo, pewne rzeczy w człowieku zostają na zawsze – dokończyła pani Jaga stoicko. – Traумы, odłamki, herpeswirusy... Czego ci trzeba?

„Kogoś, kto mi pomoże odgryźć tę kończynę”, pomyślała Klara. Przełknęła ślinę. Nie zwykła przyznawać się głośno do własnych słabości, czuła jednak, że jeśli nie zrobi tego teraz, na zawsze utknie w rodzinnym mauzoleum. I będzie tak tkwiła, aż pewnego dnia zostanie z niej widmo, jak te na wieczność uwięzione na samym dnie czasu. A losu Ludwika nie chciała podzielić równie mocno jak losu Ramzesa.

– Może zna pani kogoś... jakiegoś... jakiegoś psychologa albo psychiatrę, z którym mogłabym pogadać? Bo to się chyba samo po kościach nie rozejdzie.

Ku jej niewysłowionej uldze pani Jaga nie zapytała, o jakie „to” dokładnie chodzi.

– Znam – odparła krótko zamiast tego. – Na dodatek takiego, któremu możesz powiedzieć całą prawdę, bez obawy, że zaczniesz ci szukać przyjemnego pokoju bez klamek. No! – Klasnęła dziarsko i dźwignęła się z krzesła. – A teraz wołaj tego swojego moczymordę, niech usiądzie z nami na chwilę. Upiekłam ciasto.

– Ciasto?...

– Tak zwany spalony sernik! – Nie zwracając uwagi na głos Klary, który załamał się przy tym pojedynczym słowie, pani Jaga wyciągnęła swoje dzieło z lodówki i zaprezentowała z dumą. Rzeczywiście, ciasto bez wątpienia było spalone. – Matylda bardzo go lubiła. Choć chyba nigdy tak do końca mi nie uwierzyła, że ta spalenizna to zamierzony efekt.

Dźwięk tego imienia wystarczył, żeby po białych policzkach Klary w okamgnieniu spłynęły łzy.

Pani Jaga odstawiła paterę z sernikiem na stół.

– Zapamiętaj sobie, dziecko, jedną z nielicznych, ku rozpaczy mej siostry, łacińskich sentencji, które kiedykolwiek uznałam za warte zapamiętania – rzekła, głaszcząc delikatnie rude włosy Klary. – *Bella res est morte sua mori*. Czyli mówiąc w nieco żywszym języku, piękną rzeczą jest umrzeć swoją własną śmiercią... Teraz to boli. Wiem. Ale kiedyś... kiedyś zrozumiesz.

Trwały tak przez chwilę, razem zanurzone w milczeniu i tęsknocie. W końcu Klara skinęła głową. Tak, bolało. Ale świadomość, że nie jest w tym bólu sama i że pewnego dnia zrozumie, przyniosła jej pewne

pocieszenie. Otarła szybko twarz rękawem i poszła po Gerda, zostawiając ostatnią mojrę samą w pustej, pachnącej ciepłem kuchni.

Lecz zanim pani Jaga sięgnęła do szafki po talerzyki z nieśmiertelnego i niedocenianego Ćmielowa, jej dłoń wsunęła się do kieszeni i delikatnie musnęła złożony na czworo kawałek papieru. Na kartce, którą zostawiła Matylda, zanim ten ostatni raz przekroczyła próg starej willi przy Lipowej pięć, widniały numery telefonów, pod spodem zaś lakoniczny dopisek – jak zawsze po łacinie, jak zawsze... przewidująco. Cała Matylda.

Ad meliora tempora.

Jadwiga Bolesna-Tupatajkowa uśmiechnęła się przez łyzy.

Obyśmy spotkali się w lepszych czasach.

KONIEC

Podziękowania

Gdyby nie ludzie, którzy wiedzą lepiej, a na dodatek chętnie odpowiadają na dziwne pytania o dziwnych porach, wiele scen niniejszej powieści straciłoby swój smak. Dlatego serdecznie dziękuję doktor Aleksandrze Klęczar, dzięki której Jaga Bolesna mogła kląć po łacinie jak prawdziwa dama. Dziękuję również mojemu ulubionemu ratownikowi medycznemu Zbigniewowi Włóce za kolejne już nocne rozmowy o krzywdzeniu nieistniejących ludzi, komandorowi podporucznikowi Jackowi Falejczykowi za fachowe wsparcie chemiczne oraz, niezmiennie, mojemu redaktorowi Piotrowi Chojnackiemu, który ciągle podsuwa mi szalone pomysły, a ja, rzecz jasna, ciągle wcielam je w życie.

Wdzięczność winna jestem również badaczom i pasjonatom historii Gór Sowich, tak pięknej i zarazem tak tragicznej, który podzielili się swoją wiedzą w rozlicznych publikacjach naukowych i popularnonaukowych. Wszelkie przekłamania faktograficzne, mniej lub bardziej zamierzone, jakie mogły się znaleźć w niniejszej powieści, należy przypisać wyłącznie jej autorce. Niech uchylają wyłącznie jej wążłemu autorytetowi.

Największe podziękowania należą się jednak mojemu mężowi, Łukaszowi, który pewnej zimy postanowił zabrać rodzinę w Góry Sowie i nawet nie przypuszczał, że skończy się to książką. Gdyby nie jego pasja do ciągnięcia mnie w nowe miejsca, historia znana Wam z powieści *Toń* oraz *Nomen omen* nie znalazłaby ciągu dalszego. Dzięki, bejbe. Jesteś najlepszym współnikiem i towarzyszem w tym obłędzie zwanym pisarstwem, jakiego mogłam sobie wymarzyć.

A jeśli najdzie Was kiedyś ochota, by kolejny raz ruszyć śladami moich bohaterów, zapraszam Was gorąco w Góry Sowie. Odwiedźcie zamek Grodno, porcelanowy pałac w Jedlince, kameralną Jedlinę-Zdrój i Sztolnie Walimskie. Z ust wspaniałych przewodników usłyszycie niektóre historie i legendy, które postanowiłam przywołać w niniejszej powieści, oraz wiele, wiele innych.

Reszta, jak zawsze, jest zmyśleniem.

Autorka

¹ (łac.) Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.

² O wcześniejszych przygodach sióstr Bolesnych przeczytacie w powieści Marty Kisiel *Nomen omen*, Uroboros, Warszawa 2014 i 2019.

³ (łac.) Powtarzanie jest matką wiedzy.

Redaktor inicjujący: Agnieszka Trzeszkowska
Redaktor prowadzący: Ewa Pustelnik
Redakcja: Piotr Chojnacki
Korekta: Artur Kaniewski, Katarzyna Sarna

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-7967-0

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letter "v" is blue, and the remaining letters "irtualo" are black. There is a small, colorful graphic element above the "i" and "r" that resembles a stylized sun or a cluster of dots.